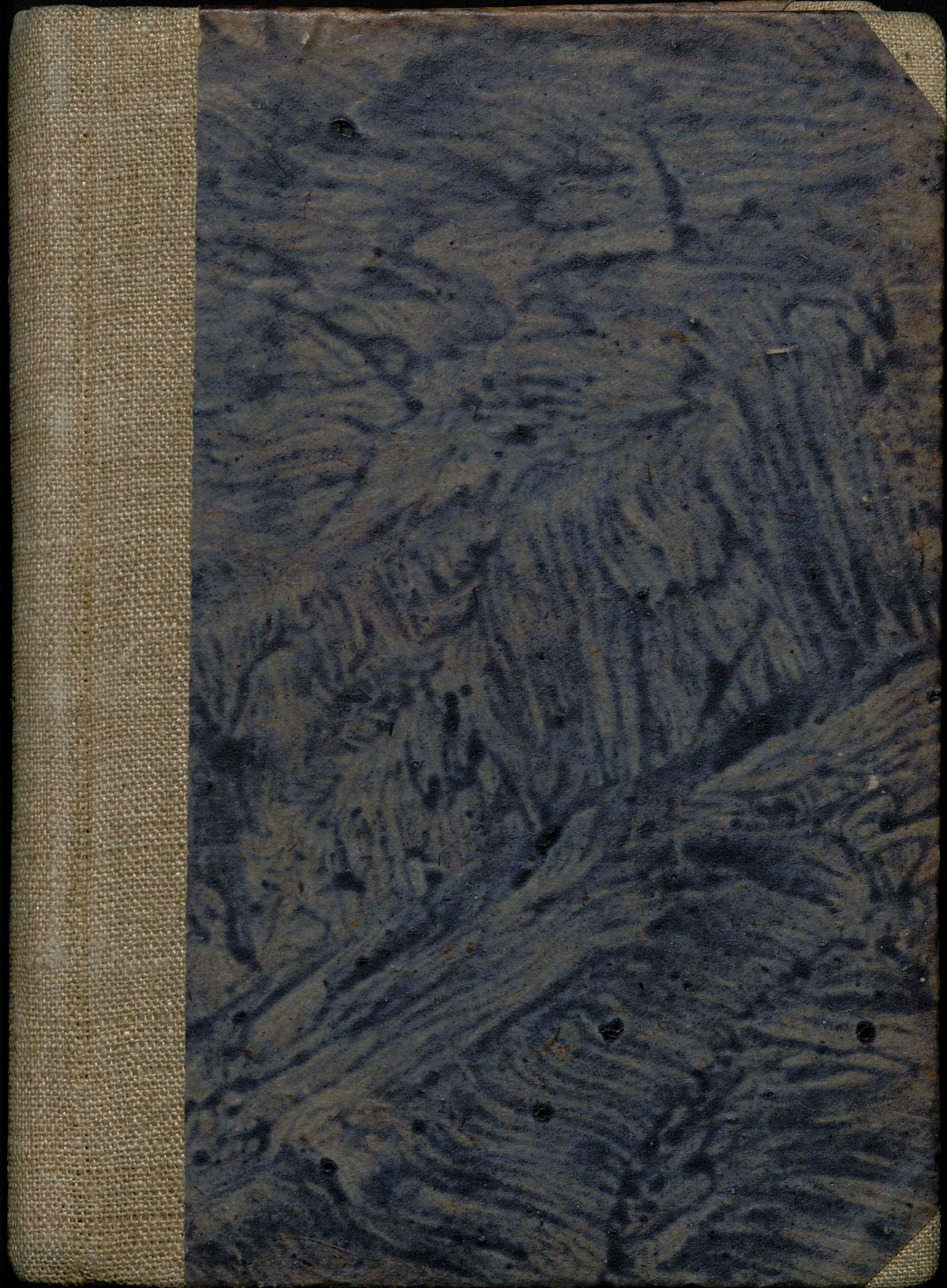




Karta terminów zwrotów.

23	Marz. 1924	
30		
6	Marz. 1924	

Termin zwrotu książki:

Spis Pogoń "R-stok Nr 1220 N. 100.000 A-7

RABELAIS
GARGANTUA I PANTAGRUEL

RABELAIS

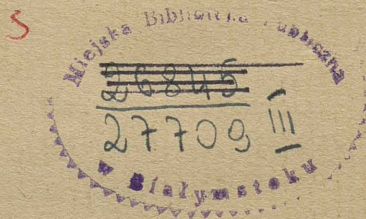
GARGANTUA I PANTAGRUEL

PRZEŁOŻYŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ
TADEUSZ ŻELEŃSKI (BOY)

Tom trzeci

1	9	4	9
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY			

Okladkę projektował
J. M. SZANCER



Podpisano do druku dn. 30. X. 1949 r.

Nakład 10.000 + 350

Arkuszy 12 1/2

Papier żeb. dziel. V kl. 61 × 86, 80 g

Wszelkie prawa zastrzeżone

Printed in Poland

Druk. 1401 Gniezno — zam. 1486/1773 5. 49 r.

K - 1718

KSIEGA CZWARTA
BOHATERSKICH CZYNÓW I RZECZEŃ
SZLACHETNEGO PANTAGRUELA

UŁOŻONA PRZEZ
MISTRZA FRANCISZKA RABELAIS
DOKTORA MEDYCYNY

74

Dar.
Min. Ośw.
4-7-50

Dawna przedmowa do czwartej księgi

Opoje wielce znamienite i wy szacowne pedogryki, słuchajcie! Owóż widziałem, przyjąłem, wysłuchałem i pojąłem ambasadora, którego Dostojność Waszych Dostojności wysłała przed moje ojcowskie oblicze; i zdał mi się dobrym i wyszczekany mówcą. Sens jego przemówienia streszczam sobie w trzech słowach, które są tak wielkiej wagi, iż niegdyś u Rzymian tymi trzema słowami pretor odpowiadał na wszystkie żądania przedłożone sądowi. Za pomocą tych trzech słów rozstrzygał wszystkie spory, skargi, procesy i klótnie; dzień, w którym pretor nie użył tych trzech słów, uważany był za złowrogi i nieszczęśliwy, zaś dzień, w którym użył, uważany był za szczęśliwy. *Dajecie, mówicie, przysądzacie.* O zacni ludzie! czemuż nie mogę was widzieć! Niechaj wspaniała moc boska ma was zawsze, a i mnie z wami, w wiekuistej opiece! Owóż, daj Boże zdrowie! nigdy nie zabierajmy się do żadnego dzieła, nim nie pochwalimy wprzód Jego świętego imienia.

Dajecie mi. Co? piękny brewiarz. Ślicznie, rybeńki! Dziękuję wam z serca, niech was to tymczasem zadowoli. Jaki by to był brewiarz, o tym nie myślałem, widząc klamerki, rozetki, zameczki, oprawę i okładkę, na której nie omieszkalem przyrządzić szpakom i sroczkom wymalowanym nadobnie i w bardzo pięknym ordynku. Przez które (jak gdyby hieroglificznymi literami) daliście mi łatwo poznać, że macie w estymie mnie i księgi moje. Wiecie, co znaczy być „szpakami karmionym”? A rzeczenie *chrupać sroczkę* wiecież, co oznacza? Oznacza niejaką folgę, wesołość, a to przez metaforę wziętą z pewnego cudownego wydarzenia, które miało miejsce w Bretanii, na

krótki czas przed bitwą stoczoną koło Św. Obina Kormeńskiego. Ojcowie nasi przekazali nam ten cud; zatem godzi się, aby i następcy nasi coś o nim wiedzieli. Było to w ów sławny rok zbiorów, kiedy ćwierć dobrego i smacznego winka można było dostać za wyszczerbioną sprzączkę, i taniej. Od wschodu nadleciała wielka ilość szpaków z jednej strony; a wszystkie ciągnęły na zachód. I uszykowały się w takim porządku, że pod wieczór szpaki usunęły się na lewe skrzydło (zrozumcież tę wyrocznę), sroki zaś na prawe, dość blisko jedne od drugich. I któreś przelatywały, sroki z całej okolicy przylączyły się do gromady srok, szpaki zaś do szpaków. Tak tedy leciało ptactwo i płynęło dalej, aż przybyło nad Andziar, miasto we Francji, na granicy Bretanii, w liczbie tak mnogiej, iż ziemi, nad którą leciały, zasłaniały wręcz jasność słońca.

W Andziarze żył podówczas stary pocziwiec, pan Dziordź, zwany Frapenem: ten sam, który ułożył owe piękne i wesołe kolędy. Miał on szpaka, bardzo rozkosznego dla swego szczeniaka, którym wszystkich odwiedzających zapraszał do picia (nigdy bowiem nie śpiewał o czym innym niż o picciu); i nazywał go pan swoim podczaszym. Ów szpak, porwany szałem marsowym, wyrwał się z klatki i przylączył do ciągnących szpaków. Sąsiedni balwierz, nazwiskiem Brzytewka, miał znowuż oswojoną sroczkę bardzo lubą. Ta znów pomnożyła swą osobą zastęp srok i pociągnęła z nimi do bitwy. Oto godne uwagi i niezwykle rzeczy widziane wszelako i stwierdzone. Zważcie dobrze wszystko. Cóż tedy się stało? Jak się to wszystko skończyło? Co stąd wynikło, jak mniemacie, dobrzy ludziska? Cudowne zdarzenie. Koło Malcharskiego Krzyża nastąpiła bitwa tak krwawa, że straszne jest wprost pomyśleć o tym. Koniec był ten, iż sroki przegrały bitwę i zostały okrutnie na miejscu wymordowane, w liczbie 2.589 362 109, nie licząc niewiast i dzieci, to znaczy samiczek i małych srocząt, rozumiecie? Szpaki odniosły zwycięstwo, nie bez straty wszelako tęgich żołnierzy, z czego była szkoda wielka dla całego kraju.

Owo tedy w trzy dni potem wrócił szpaczek z tych wojen, pokiereszowany i markotny, z podbitym okiem. W kilka godzin wszelako, gdy sobie podjadł należycie, odzyskał przytomność umysłu. Gapie zaś i szkolarze andziarsecy ciągnęli tłumnie oglądać „podczaszego“ z jednym okiem i w takim stanie. Szpak zachęcał ich do picia jak zwyczajnie, dodając na końcu zaproszenia: „Schrup sroczkę“. Mniemać należy, że takie musiało być hasło owej szpaczej armii w dzień bitwy. Sroka balwierza Brzytewki nie wróciła wcale. Musiano ją schrupać. Stąd powstało pospolite przysłowie: pić dużo i tęgim haustem nazywa się *chrupać sroczkę*. Takimi figurami kazał Frapen, ku wiecznej pamięci, ozdobić w swoim domu sień i jadalnię. Możecie oglądać je w Andziarze, na wzgórzu świętego Wawrzyńca.

Ta figura pomieszczona na waszym brewiarzu nasunęła mi myśl, że może to być coś więcej niż zwykły brewiarz. Bo też i z jakiej racji czynilibyście mi podarunek z brewiarza? Mam ich, Bogu i wam dzięki, dosyć; starych i nowych. Nie wiedząc, co o tym mniemać, otworzyłem rzeczony brewiarz i ujrzałem, iż był to brewiarz wymyślony bardzo niepoślednio, opasany nadobnymi klamerkami i ozdobiony zmyślnymi nadpisami. Żądacie zatem, abym na jutrznię pił winko białe, na tercję, sekstę i nonę podobnie; na nieszpory i komplicje czerwone? To nazywacie *chrupać sroczkę*; doprawdy, nie byle jaka była sroczka, której wypadliście niegdyś spod ogona. Spełnię, czego żądacie.

Powiadacie. Co? Że nie was nie zmierziło w moich dotychczas drukowanych książkach. Jeżeli w tej materii przytoczę wam sentencję pewnego dawnego Pantagruelisty, jeszcze mniej winienem was urazić:

*To nie jest wcale pospolitą chwałą,
Gdy książką laudem zyskać się udało.*

Powiadacie dalej, że wino trzeciej księgi przypadło wam do smaku i że jest dobre. Prawda, że było go mało, a wam nie podoba się to, co powiadają zazwyczaj: mało a dobrego. Bar-

dziej wam się udało to, co powiedział pocziwy Ewispanda Weron: dobrego a dużo. Zachęcacie mnie tedy do kontynuowania historii pantagruelicznej, powołując się na korzyści i owoce uszczknięte przy tej lekturze przez ludzi dobrej woli; wymawiając się razem, żeście nie zastosowali się do mej prośby, a mianowicie, abyście oszczędzali się ze śmiechem do siedemdziesiątej ósmej księgi. Przebaczam wam to z serca. Nie jestem tak srogi ani tak nieubłagany, jakby się zdawało. Jeśli wam to wszelako radziłem, to dla waszego dobra. I powiadam wam jako odpowiedź, zgodnie z sentencją Hektora, przytoczoną przez Newiusa, iż piękna to rzecz być chwalonym przez chwalebnych ludzi. Owóż, odwzięczając się wzajemnością, powiadam i utrzymuję aż do kary ognia *exclusive* (zakonotujcie to dobrze), że jesteście wszyscy zacni ludziska, spłodzeni, ilu was jest, przez zacnych ojców i godne macie. I przyrzekam wam, słowo piechura, że jeśli kiedy spotkam was w Mezopotamii, obiecuję każdemu w podarku pięknego krokodyla z Nilu i czarownicę z Eufratu.

Przysądzacie. Co? Komu? Wszystkie zużyte kwadry księżycyca świętoszkom, zakapturzonym nabożnisiom, pasibrzuchom, liczyróżańcom, mruczyłom, ogórkarzom, bireciarzom. Straszne imiona, już od samego słyhu niedobrze mi się robi. Przy wymawianiu których widziałem, jak włosy jeżą się na głowie waszego szlachetnego wysłannika. Dla mnie brzmiało to jak mowa turecka; nie wiem, jakiego gatunku bestie rozumiecie pod tymi przezwiskami. Poczyniwszy bardzo pilne poszukiwania w rozmaitych okolicach, nie znalazłem człowieka, który by się przyznał do nich i ścierpiał, aby go tak wołano i nazywano. Mniemam, iż musiał to być jakiś poczwarny rodzaj barbarzyńskich zwierząt za króla Cwioczka; teraz wyginęły one w przyrodzie, jako wszystkie rzeczy pod tym księżycem mają swój czas trwania i koniec; i nie wiemy, co by one miały oznaczać. Wiadomo, że gdy przedmiot zaginie, łatwo zanika i nazwa.

Jeżeli przez te terminy rozumiecie potwarców moich pism, właściwej moglibyście ich nazwać diabłami; po grecku bowiem potwarz nazywa się *diabole*. Widzicie, jak omierzłą jest przed Bogiem i aniołami owa przywara zwana potwarzą (to znaczy, kiedy ktoś zohydza dobry uczynek, kiedy źle mówi o rzeczach dobrych), iż od niej, a nie zaś od której innej (mimo że niektóre zdawałyby się jeszcze potworniejsze), diabły piekielne nazwano i ochrzczono. Nie są to, ściśle mówiąc, diabły piekielne, jeno ich parobcy i pomocnicy. Nazywam ich diabły czarne, diabły białe, diabły zaskórne, diabły domowe. I to, co uczyniły przeciw moim książkom, uczyniłyby, jeśliby im pozwolić, przeciw wszystkim innym. Ale to nie z własnego wymysłu. Powiadam, jak jest, aby się tak na przyszłość nie chlubili przydomkiem starego Katona Cenzora.

Czyście słyszeli kiedy, co to znaczy *pluć komuś do miski*? Niedługo poprzednicy onych diabłów zaskórnych, budownicy rozkoszy, wrogowie pocziwości, jak ów Filoksenus, ów Gnato i inni z podobnej mąki, kiedy w karczmie lub innej speluncie (w których to miejscach odprawiali zwykle swoje szkoły) ujrze-li, iż gościom podano jakieś smaczne potrawy i łakome kąski, szpetnie pluli do półmisków, aby goście, zmierzzeni ich ohydłą plwociną i paskudztwem, poniechali przyniesionych potraw i aby się wszystko zostało tym paskudnym plujcom i obrzydliwcom. Prawie podobną, choć nie tak plugawą historię opowiadają nam o jednym lekarzu dolejewodzie, siostrzeńcu adwokata nieboszczyka Arnera, który powiadał, iż skrzydło tuczonego kapłona jest niezdrowe i kuper niebezpieczny, szyja zasię dość zdrowa, byle zdjąć z niej skórę; tak powiadał, iżby chorzy nie jedli owych kąsków i aby wszystko zostało dla jego paszczęki.

Tak postąpiły sobie te zakapturzone diabły. Widząc cały świat przejęty apetytem oglądania i czytania moich pism (poznali to po poprzednich księgach), napluli do miski, to znaczy,

że swoimi plugastwy wszystkie je obździli, okrzyczeli i zohydzili w tym zamiarze, aby ich nikt nie poznał, nikt nie czytał, z wyjątkiem ich Klapouchostwa. Widziałem to na własne oczy (nie uszy), że przechowywali je pilnie, zgola w swoim sprzęcie nocnym, i posługiwali się nimi jak brewiarzami do codziennego użytku. Wydarli je chorym pedogrykom, nieszczęśliwcom, dla których je napisałem i ułożyłem, aby ich rozweselić w cierpieniu. Gdybym sam mógł wziąć w kurację wszystkich tych, których przycisnie kalectwo i choroba, nie byłoby potrzeby ogłaszać i drukować takich książek.

Hipokrat napisał umyślną księgę, którą nazwał *o Stanie doskonałego lekarza* (Galen opatrzył ją uczonymi komentarzami), w której zaleca, aby w lekarzu nie było takiego (zgola aż do pielęgnowania paznokci), co by mogło urażać chorego. Wszystko, co jest w lekarzu: ruchy, oblicze, ubiór, słowa, spojrzenie, dotknięcie, powinno zjednywać i cieszyć chorego. Tak i ja staram się postępować i, wedle mego prostego objęcia, dokładam trudu, aby przypaść do smaku tym, których mam w leczeniu. Więcej powiem: do siódmych potów dyskutujemy nad jednym ustępem szóstej księgi *O Epidemiach* wspomnianego ojca Hipokrata, aby rozstrzygnąć, już nie mówię, czy oblicze lekarza stroskanego, tetryka, śledziennika, zrzędy, malkontenta zasmuca chorego, zasię wesola, pogodna, radosna, roześmiana twarz lekarza raduje chorego (są to bowiem pewne i dowiedzione rzeczy); ale czy takie przygnębienie i rozweselenie wynika ze świadomości chorego spostrzegającego te cnoty, czy też przechodzi z lekarza do chorego jakoby drogą przenikania duchów pogodnych albo posępnych, radosnych albo smutnych, jak to przypuszczają platonicy i awerroiści. Skoro zatem nie jest możliwe, aby mnie wezwano do wszystkich chorych, abym wszystkich chorych sam mógł wziąć w opiekę, cóż za zawiść przekłeta każe wydierać cierpiącym i chorym ich rozkosz i lubą rozrywkę (bez obrazy Boga i króla mego pana i innych), jaką czerpią, w moim zastępstwie, z czytania tych uciesznych ksiąg?

Owo tedy, skoro za waszym darem i przysądzeniem ci omowce i potwarce zagarnęli sobie a przywłaszczyli stare i przechodzone kwadry księżycy, przebaczam im; toż to będzie radość i uciecha, kiedy ujrzymy tych wściekłych opętańców, świerzbowatych, francowatych lub zgola świerzbowatych i francowatych razem, jak gonią przez pola, łamią ploty, zgrzytają zębami, kłapią podłogę, łupią bruki, wieszają się, topią, ciskają na łeb i z puszczoneymi cugłami pędzą do wszystkich diabłów, wedle energii, zdolności i cnót kwadrów, które im przypadły: rogatych, zębatach, amficyrtycznych, poczynających się albo będących na schyłku. I odtąd wobec ich bezczelnych napaści wspomogę się jeno tą samą propozycją, jaką Tymon mizantrop uczynił niewdzięcznym rodakom ateńskim.

Tymon, zrażony niewdzięcznością ateńskiego ludu, wszedł jednego dnia na publiczną Radę prosząc, aby mu udzielono głosu w pewnej sprawie dotyczącej powszechnego dobra. Zapanała cisza; wszyscy oczekiwali rzeczy bardzo ważnych, zważywszy, iż pojawił się na Radzie, on, który tyle lat stronił od społeczeństwa i żył w odludnym pustkowiu. Za czym rzekł: „Wpodle mego domu, pod murem, rośnie piękna, duża i rozłożysta figa, na której wy, panowie Ateńczycy, mężczyźni i niewiasty, młodzieńcy i dziewczęta, popadłszy w jakoweś nieszczęście i rozpacz, macie zwyczaj po kryjomu wieszać się i stryczkiem zbawiać żywota. Ostrzegam was, iż z powodu przebudowy domu zmuszony jestem w ciągu tygodnia ściąć tę figę: dlatego ktokolwiek z was i w ogóle z miasta miałby chęć powiesić się, niech się pospieszy. Po upływie tego terminu nie będą mieli tak sposobnego miejsca ani tak dogodnego drzewa“.

Za jego przykładem radzę i ja owym diabelskim potwarcom, aby się wszyscy powywieszali w ostatniej kwadrze tego księżycy: sam gotów jestem dostarczyć im postronków. Do tego celu wyznaczam im miejsce między biegunem południowym a Łysą Górą. Po odmianie księżycy nie znajdą już takich udo-

godnień i będą zmuszeni sami, na własny koszt, kupić sobie stryczki i wyszukać drzewo dla powieszenia się, jako uczyniła panienka Leoncja, oszczerczyni tyle uczonego i wymownego Teofrasta.

Najdostojniejszemu i najłaskawszemu Księżęciu, Jego Eminencji Kardynałowi Odetowi de Chatillon

Wiadomo jest dostatecznie Waszej Wysokości, ile wielkich person, teraz i wprzódziej, codziennie, rzecz mogę, zachęcało mnie, niewoliło i zagrzewało, abym prowadził dalej swoją mitologię pantagrueliczną; a opierają się na tym, iż wielu cierpiącym, chorym albo znękanym udało się przez czytanie tych ksiąg rozprószyć swoje troski, przepędzić czas wesoło i skrzepić się nową radością i pociechą. Zazwyczaj odpowiadam na to, iż składając te księgi dla igraszki, nie pożądam stąd żadnej sławy ani pochwał; jedyną chęcią mą i celem było, za pomocą tych pism, dostarczyć wedle sił nieco ulgi chorym i udręczonym, którzy nie mają mnie przy boku; chętnie też, kiedy zachodzi potrzeba, ofiaruję je w darze tym, którzy szukają porady i usług mej umiejętności.

Niekiedy wykładam im szeroko, jak Hipokrat w wielu miejscach, a zwłaszcza w szóstej księdze *Epidemii*, opisując zalety lekarza, swego ucznia, a także Soranus z Efezu, Oribasius, Cl. Galen, Hali Abbas i inni podobnie, wyposażyli go w ruchy, wzięcie, spojrzenie, dotyk, zachowanie, przystojność, schludność oblicza, ubioru, brody, włosów, rąk, ust, zgoła aż do pielęgnowania paznokci, tak znamienicie, jak gdyby miał odgrywać rolę kochanka albo zalotnika w wybornej komedii albo też wstępować w szranki, by się mierzyć z potężnym przeciwnikiem. I w rzeczy, bardzo trafnie porównuje Hipokrat sztukę lekarską do bitwy lub do ucieśznego widowiska odgrywanego w trzy osoby, tj. chory, lekarz, choroba. Odczytując niekiedy te pisma wspominałem sobie odezwanie Julii do Oktawiana Augusta,

jej ojca. Pewnego dnia ukazała mu się w nader strojnych, swobodnych i lubieżnych szatach i bardzo mu się nie spodobała, chociaż nie pisał ani słowa. Nazajutrz odmieniła ubiór i odziała się skromnie, jak to było wówczas obyczajem cnotliwych pań rzymskich. Tak ubrana, stanęła znów przed nim. On, który poprzedniego dnia żadnym słowem nie zdradził przykrości, jakiej doznał widząc ją w szatach tak nieskromnych, nie mógł ukryć ukontentowania, iż widzi ją tak odmienioną, i rzekł: „O, jakże to odzienie bardziej przystojne i chwalebne jest dla córki Augusta!“ Na co znalazła rychłą wymówkę i z miejsca odparła: „Dziś przybrałam się dla oczu ojca; wczoraj zaś ku rozkoszy małżonka“.

Podobnie mógłby i lekarz, tak cudnie strojny z wejrzenia i ubioru, zwłaszcza w bogatą i nadobną suknię o czterech rękawach (jak niegdyś była w modzie i nazywano ją *Philonium*, wedle tego, co podaje Petrus Aleksandrinus *in VI. Epid.*), odpowiedzieć tym, którym by się wydała owa maskarada szczególną: „Jeśli się tak przystroilem, to nie po to, aby się nadymać i puszyć, jeno dla lubości chorego, którego nawiedzam, któremu chcę się we wszystkim podobać a w niczym go nie mierzić ani nie drażnić“.

Więcej jeszcze. Jeżeli się pocimy, dysputujemy i łamiemy sobie głowę nad ustępem z ojca Hipokrata w powyższej księdze, to nie dla odgadnięcia, czy stroskana, tetryczna, śledziennicza, katońska, niechętna, niezadowolona, surowa, skrzywiona mi-na lekarza zasmuca chorego; zaś czy twarz lekarza radosna, ucieśzna, pogodna, jasna, wesoła cieszy chorego (są to bowiem dowiedzione i bardzo pewne rzeczy); ale czy taki smutek i wesele pochodzą ze świadomości chorego, który spostrzega te własności w swoim lekarzu i stąd stawia koniunktury o spodziewanym końcu i obrocie choroby, czy też odbywa się to przez przenikanie duchów pogodnych lub posępnych, niebiańskich lub ziemnych, radosnych lub melankolicznych z lekarza do osoby chorego. To ostatnie jest mniemaniem Platona i Awerroesa.

Przed wszystkimi rzeczami autorowie ci udzielili lekarzowi szczególnych wskazówek co do słów, odezwań się, gawęd i przypowieści, z jakimi należy mu się zwracać do chorych i pacjentów. Te winny wszystkie zmierzać do jednego przeznaczenia i mieć jeden cel, rozweselać go bez obrazy boskiej i nie zasnuwać w żadnym sposobie. Jakoż Herofil surowo gani lekarza Kallianaksa, który pacjentowi pytającemu się i nagłacemu nań słowy: „żali umrę?“ odpowiedział bezwstydnie:

*Toć i Patroklos uległ tej potrzebie,
Który był pewnie więcej wart od ciebie.*

Innemu zaś, który chciał poznać stan choroby i pytał go słowami szlachetnego Patelina:

*A uryna moja
Żali nie mówi wam, iż śmierć mi grozi?*

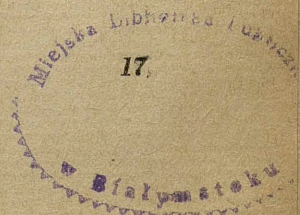
odpowiedział niedorzecznie: „Zaiste nie, jeśli wydała cię na świat Latona, matka nadobnych dzieciak Febusa i Diany“. Podobnie Cl. Galen, *lib. IV, Comment., in VI. Epidem.*, ostro potępia Kwintusa, swego nauczyciela w sztuce lekarskiej, za to: gdy pewien chory w Rzymie, znaczny i szanowny człowiek, rzekł mu: „Musielście tego popić, mistrzu, oddech wasz silnie czuć jest winem“, ów beczelnie odpalił: „Twój zasię febrą; któryż dech i zapach bardziej jest luby: febry czy wina?“

Ale oszczercze kłanania różnych kanibalów, mizantropów, odludków zwróciły się przeciw mnie w tak dotkliwy i szalony sposób, iż zwyciężyły wreszcie mą cierpliwość i postanowiłem już nie napisać ani litery. Wśród różnych bowiem oszczerstw, jakimi się posługiwali, jedno z najniewinniejszych było to, iż moje księgi naszpikowane są rozmaitymi herezjami; nie mogli wszakże wskazać ani jednego miejsca. Ucieszne figielki, bez obrazy Boga i króla mego, owszem: otoczyć jedyny przedmiot i materia tych książek; ale herezji ani śladu; chyba że przewrotnie i wbrew wszelkim prawdom rozumu i powszechnego języka zechcą wyszukać w nich to, czego pod grozą tysięcykrot-

nej śmierci (gdyby taka była możliwa) nie chciałbym pomyśleć: ot tak, jak gdyby kto zamiast chleba czytał kamień; zamiast ryba — wąż; zamiast jajko — skorpion. Na co użalając się niejednokrotnie przed Waszą Dostojnością, mówiłem otwarcie, iż gdybym nie uważał się za lepszego chrześcijanina niż oni i gdybym w swoim życiu, pismach, słowach, zgoła nawet myślach spostrzegł bodaj najmniejszą iskierkę herezji, nie potrzebowałby brnąć tak bezecnie w sieć ducha potwarzy, którym jest *diabólos*, za ich pomocą i pośrednictwem podsuwający mi taką zbrodnię. Sam bowiem, własną ręką, za przykładem feniksa nazbierałbym suchego drzewa i podpalił ogień, aby w nim żywcem spłonąć.

Wówczas rzekła mi Wasza Dostojność, iż nieboszczyk król Franciszek, wiekuistej pamięci, świadom był takowych oszczerstw. Owóż za pośrednictwem i głosem najuczciwszego i najwierniejszego anagnosty tego królestwa, pilnie wysłuchawszy i przyswoiwszy sobie zawartość moich książek (podkreślam to, ponieważ złośliwie podsuwano mi autorstwo innych, fałszywych i bezecznych), nie znalazł żadnego ustępu podejrzanym i nabrał wstrętu do onego wykrętnego podżegacza, który dopatrywał się śmiertelnej herezji w jednej literze umieszczonej zamiast drugiej z winy i niedbalstwa drukarzy.

Toż samo mniemał syn jego, nasz miłościwy, zacny i umiłowany niebu król Henryk, którego oby Bóg chciał nam najdłużej zachować; tak iż łaskawie zechciał mi udzielić szczególnego przywileju opieki przeciw potwarzom. Tę ewangelię raczyła mi Wasza Dostojność potwierdzić w Paryżu, i jeszcze później, kiedy to Wasza Dostojność odwiedziła w swoim czasie Jego Eminencję kardynała du Bellay, gdy ów, dla odzyskania zdrowia po długiej i dokuczliwej chorobie, schronił się do Saint-Maur, miejsca albo (lepiej i trafniej mówiąc) istnego raju zdrowotności, lubości, pogody, wygody, rozkoszy i wszelakich godziwych uciech wieśniaczych i sielskich.



Oto, Wasza Dostojność, przyczyna, czemu, próżen wszelkiego lęku, chwytam za pióro żywiąc nadzieję, iż w swej dobrotliwej łasce będzie mi Wasza Dostojność przeciw moim oszczercom jakoby drugim Herkulesem Galickim co do wiedzy, roztropności i wymowy; jakoby *Aleksieosem* w cnotach, powadze i mocy; o którym słusznie mogę powiedzieć to, co o Mojżesz, wielkim proroku i hetmanie Izraela, powiedział mądry król Salomon, *Ecclesiastici*, 45: człowiek lękający się i miłujący Boga, miły wszystkim ludziom, od Boga i ludzi ukochany, którego pamięć jest błogosławiona. Bóg chwalać go przyrównał go prorokom i uczynił wielkim ku postrachowi nieprzyjaciół. Ku jego czci zdziałał cudowne i przerażające rzeczy; w obliczu królów go uczył; przez niego narodowi oznajmił swą wolę i objawił światło. W wierze i pobożności uświęcił go i wybrał między mieszkańcami ziemi. Za jego pośrednictwem chciał, aby głos Jego słyszano i aby tym, którzy brnęli w ciemnościach, stał się prawem żywej wiedzy.

Wreszcie przyrzekam wam, dostojny Książę, że tych, którzy mi będą winszować onych uciesznych ksiąg, wszystkich upomnę, aby ku Waszej Dostojności obrócili całą swą wdzięczność; Jej jedynie dziękowali i prosili Stwórcę o zachowanie w chwale i przymnożenie szczęścia Waszej Dostojności. Sobie nie chcę przypisywać innej zasługi jak jeno wierne służby i powolne oddanie Jej łaskawym i niemylnym rozkazom. Przez swą bowiem tak chlubną zachętę natchnęła mnie Wasza Dostojność odwagą i dowcipem, bez niej zasię serce byłoby mi chybiło i źródło natchnienia zaschłoby nieomylnie. Niechaj Stwórca nasz zachowa Waszą Dostojność w swej świętej łasce.

W Paryżu, 28 stycznia 1552.

Waszej Dostojności najniższy i najpowolniejszy sługa

Franciszek Rabelais
lekarz.

Nowa przedmowa autora, mistrza Franciszka Rabelais'go, do czwartej księgi wiekopomnych czynów i rzeceń Pantagruelowych

Do łaskawych czytelników!

Niech Bóg ma was w swej łasce i opiece, dobrzy ludziska. Gdzie jesteście? Nie mogę was dojrzeć. Czekaście, niech wdziewą okulary.

Ha, ha! Niezgorzej wam się dzieje w ten post przenajświętszy! Już was widzę. Cóż tam z wami? Mielście podobno wcale przyzwoite winobranie, wedle tego, co mi powiadali. Nie bardzo się tym martwię, dalibóg. Otóż mamy nie zrównane lekarstwo na wszystkie utrapienia; bardzo to z waszej strony chwalebny uczynek. Wy, wasze żony, dzieci, krewni i ich rodziny wszystko zdrowe? Dobrze, doskonale, bardzo temu rad. Niechaj Bóg, nasz dobry Stwórca, będzie za to wiekuiście pochwalon i, jeżeli taka jego święta wola, obyście trwali w tej pomyślności jak najdłużej.

Co do mnie, dzięki Jego świętej łaskawości, trzymam się jakoś i polecam się waszym gościom. Jestem, dzięki odrobinie pantagruelizmu (wiadomo wam, iż jest to niejaka pogoda ducha, zasadzająca się na wzgardzie rzeczy przygodnych), zdrow i wesół; gotów popić z wami, jeśli ochota. Pytacie mnie, dlaczego, dobrzy ludziska? Odpowiedź niewzruszona: taka jest wola najlepszego i największego Boga, której jestem posłuszny, której jestem powolny, której szanuję święte objawienie, to jest Ewangelię, gdzie stoi powiedziane, *Luc. IV*, jakoby w okrutnym naigrawaniu i krwawym szyderstwie do lekarza niedbałego o własne zdrowie: „Lekarzu, lecz siebie samego“.

Cl. Galen troszczył się też o swoje zdrowie, ale nie z tego względu, mimo że mógł mieć niejakię poznanie świętych ksiąg Biblii, i znał i nawiedzał chrześcijan swojego czasu, jako świadczy *lib. II, de Usu partium; lib. II, De Differentiis pulsuum*,

cap. HI, et ibidem, lib. III, cap. II et lib. de rerum Affectibus (jeśli jest pióra Galena); ale troszczył się o nie przez obawę, aby się nie stać przedmiotem tego pospolitego i satyrycznego ucinka:

Ἰατρὸς ἄλλον, αὐτὸς ἔλκυσσι βρῶον
Z kurowania inszych żyje,
Przedsię sam od wrzodów gnije.

Tak też z wielką dumą się chwali i przyzwala, aby go nie uważano za lekarza, jeśli sam od dwudziestego ósmego roku życia do późnej starości nie przetrwał w doskonałym zdrowiu, z wyjątkiem jakiejś przelotnej i krótkotrwałej febry; mimo iż z przyrody swojej nie należał do najzdrowszych i żołądek miał nieco dyskratyczny. „Trudno bowiem (powiada w lib. V, de Sanit. tuenda) zaufać lekarzowi, iż zdoła mieć pieczę o zdrowie drugiego, jeśli własne zaniedbuje“.

Jeszcze górniej chęcił się lekarz Asklepiades, iż nie chce być uważany za lekarza, jeśli sam chorzał kiedy od czasu, jak zaczął wykonywać swą sztukę, aż do najpóźniejszej starości. Której dosięgnął w pełni, w doskonałej sile członków i tryumfując nad Fortuną. W końcu bez uprzedniej choroby przeszedł z życia do śmierci, spadłszy przez nieuwagę ze schodów źle opatrzonych i zbutwiałych.

Jeżeli, jakimś nieszczęśliwym wypadkiem, zdrowie waszych jasności gdzieś się wymknęło, czyli przebywa kędyś górą czy dołem, na przedzie, z tyłu, na prawo, lewo, wewnątrz, zewnątrz, daleko albo blisko waszych posiadłości, obyście je mogli niebawem, za pomocą najlaskawszego Stwórcy, przydybać! Obyście w rychły czas spotkawszy je, natychmiast przytrzymali, natychmiast objęli w stateczne posiadanie, przychwycili i opanowali. Prawa wam to przyzwalają, król nie broni, a ja doradzam. Ni mniej, ni więcej, jak starożytne prawa upoważniały pana, aby położył rękę na zbiegłym niewolniku, gdzie bądź by go przydybał. Mój dobry Boże i moi dobrzy ludzie! czyż nie tak jest napisane i praktykowane, wedle dawnego obyczaju na-

szego tak szlachetnego, starożytnego, pięknego, kwitnącego i bogatego królestwa Francji, iż zmarły wiedzie żywego? Patrzcież, co o tym niedawno wyłożył dobry, uczony, roztropny, ludzki, zacny i sprawiedliwy Andrzej Tiraqueau, radca wielkiego, zwycięskiego i tryumfującego króla Henryka, drugiego tego imienia, w dostojnym trybunale paryskim. Zdrowie jest naszym życiem, jak bardzo słusznie nazywa je Aryston Sycjończyk. Bez zdrowia życie nie jest życiem, życie nie jest do wyżycia: ἄβίος, βίος ἄβίος ἄβι, ῥος. Bez zdrowia jest życie jeno udręczeniem: życie jest jeno wyobrażeniem śmierci. Tak tedy wy, którzy jesteście pozbawieni zdrowia, to znaczy umarli, chwytajcie i wiedźcie żywe, chwytajcie życie, to jest zdrowie.

W Bogu mam nadzieję, że wysłucha naszych próśb, zważywszy stateczną wiarę, w jakiej je doń zanosimy, i że spełni to życzenie, ile że jest ono umiarkowane. Umiarkowanie nazywali starożytni mędrcomie złotem, to znaczy cennym, od wszystkich chwalonym, każdemu przyjemnym. Szukajcie w świętych księgach, a ujrzycie, iż nigdy nie doznali zawodu ci, którzy w proszeniu byli umiarkowani.

Przykładem mały Zacheusz, którego ciała i relikwii posiadaniem chlubią się Muzafiowie koło Orleanu i nazywają go Świętym Sylwanem. Pragnął on nie więcej, jeno oglądać naszego dobrego Zbawiciela wpodłe Jeruzalem. To była rzecz umiarkowana i każdemu dostępna. Ale był za mały i w tłumie ludu nie mógł tego osiągnąć. Drepce, przebił nogami, wysiła się, wyprężył, wdrapuje na mur. Dobry Bóg poznał jego szczere i skromne pożądanie, objawił się jego wzrokowi i nie tylko dał mu się widzieć, ale i słyszeć, odwiedził jego dom i pobłogosławił rodzinę.

Synowi proroka w Izraelu, gdy rąbał drzewo wpodłe Jordanu, ześliznęło się żelazo z siekiery (jako jest napisane IV., Reg. VI.) i wpadło do rzeki. Prosił Boga, aby zechciał mu je oddać. Toć była niewielka rzecz. I w statecznej wierze i ufności rzucił nie żelazo za drzewcem, jako w gorszącym fałszu śpie-

wają diabelskie cenzory, jeno drzewce za żelazem, jako wy słusznie powiadacie. I naraz stały się dwa cudu. Żelazo podniosło się z głębokości wody i nawdziąło się na drzewce. Gdyby był żądał wstąpić do nieba w płomienistym wozie jako Elias, rozmnożyć się w potomstwie swoim jako Abraham, być bogatym jak Hiob, silnym jak Samson, pięknym jak Absalon, czy byłby uzyskał? Wątpliwe.

Co się tyczy skromnych życzeń w przedmiocie siekiery (przypomnijcie mi, kiedy będzie czas popić), opowiem wam, co jest napisane w apologiach mądrego Ezopa Francuza: rozumiem Frygijczyka i Trojana, jako twierdzi Maksim, Panudes, od którego to narodu, wedle najwiarygodniejszych kronikarzy, wywodzi się szlachetne plemię Francuzów. Elias pisze o nim, że był to Tracjczyk; Agatias, opierając się na Herodocie, że Samijczyk; co do mnie, ani mnie to ziębi, ani grzeje.

Za jego czasu był biedny kmiotek rodem z Grawoty, zwany Jaderko, drwal i cieśla, i w tym skromnym staniku zarabiał jak tak na życie. Owóż zdarzyło się, iż zgubił siekiere. Któż tedy był stroskany i zgryziony? Juści on; siekierze bowiem zawdzięczał życie i zarobek; dzięki swej siekierze żył pocziwy i szanowany przez wszystkich zamożnych budowników, bez siekiery musiałby zginąć z głodu. Sześć dni by nie upłynęło, jak śmierć napotkawszy go bez siekiery, ścięłaby go swą kosą i zmioła ze świata. W onym tedy nieszczęściu począł krzyczeć, jęczeć, prosić i wzywać Jowisza, w bardzo wymownych modłach (jak wiadomo, potrzeba jest mistrzynią elokwencji), wznosząc oblicze ku niebu, klęcząc z gołą głową, z rękami wyciągniętymi ku górze, rozczapirzonymi palcami, powtarzając głośno i nieustrudzenie za każdą strofką modłów:

— Moja siekiera, moja siekiera; nic nie chcę, Jowiszu, jeno mojej siekiery albo pieniążków trochę, bym sobie kupił nową. Och, moja biedna siekiera!

Jowisz zasiadał właśnie w radze bogów. Radzono nad jakimiś pilnymi sprawami, przy czym głos zabierała stara Cybela

albo też młody świetlisty Febus, jeżeli wolicie. Ale tak donośne były wołania Jaderki, iż usłyszano je z wielką grozą w pełnej radzie i konsystorzu bogów.

— Kiż diabeł — zapytał Jowisz — wyje tam na dole tak straszliwie? Na Styksowe upławy! będzie nam ktoś przeszkadzał, właśnie gdy się pocimy nad tyloma ważnymi i zawikłanymi sprawami? Rozpatrzyliśmy sprzeczkę Prestama, króla Persów, i sułtana Solimana, cesarza Konstantynopolu. Zamknęliśmy przełaz między Tatarami a Moskalami. Załatwiliśmy odpowiedź na podanie Szeryfa. Tak samo uporaliśmy się z roszczeniami Golgotza Reya. Sprawa Parmy załatwiona, toż samo sprawa Magdeburga, Mirandoli i Afryki. Tak zowią śmiertelni to, co na Morzu Śródziemnym nazywamy *Aphrodisium*. Trypolis nieopatrzenie odmieniło pana: godzina jego wybiła.

Tu Gaskończycy podnoszą krzyki i domagają się swoich dzwonów. W tamtym kącie kwiczą Saksoni, Estrelinowie, Ostrogoci i Alemanowie, lud niegdyś niezwycięzony, ale dziś zepsiały i ujarzmiony przez małego kuternogę. Domagają się od nas pomsty, wsparcia, przywrócenia oleju w głowie i dawnej wolności. A co znów począć z Ramem i Gallandem, którzy, na czele kuchtów, pacholków i zauszników, mącą spokój Akademii paryskiej? Jestem zaiste w nie lada kłopotcie. Jeszcze nie namyśliłem się, na którą stronę się przechylić. Obaj zdają mi się tęgie zuchy i mocni w gałach. Jeden ma nadobne, piękne, brzęczące dukaciki; drugi bardzo rad by je mieć. Jeden uczył się tego i owego; drugi też nie jest kompletny ciemięga. Jeden rad jest pocziwym ludziom; drugiemu pocziwi ludzie są radzi. Jeden jest chytry i szczwany lis; drugi oszczerca, szkalownik i szczekający jako pies przeciw starożytnym filozofom i oratorom. Cóż o tym mniemasz, powiedz, stary kusiu, Priapie! Nieraz przekonałem się, iż rada twoja i sąd sprawiedliwe są i do rzeczy.

Et habet tua mentula mentem.

— Królu Jowiszu — rzekł Priapus uchylając kapuzy i podnosząc czerwone, płomienne i harde oblicze; — skoro jednego porównujesz do szczekającego psa, a drugiego do szczwanego lisa, jestem zdania, abyś nie gniewając się i nie psując sobie krwi dłużej, uczynił z nimi to, co niegdyś z psem i z lisem.

— He? — spytał Jowisz. — Co takiego? Kto to był? Gdzie to było?

— O, cóż za pamięć! — odparł Priap. — Ten tu czcigodny ojciec Bachus, którego widzicie oto z karmazynową twarzą, pragnąc się zemścić na Tebańczykach wypuścił na nich zaczarowanego lisa, tak iż jakiegokolwiek szkody i spustoszenia by uczynił, nie mógł być od żadnej bestii na świecie schwytany ani uszkodzony.

Ten tu szlachetny Wulkan uczynił z monezyjskiego spiżu psa i póty dmuchał, aż tchnął weń dech i życie. Dał ci go; ty zasię daleś go Europie, swojej lubce. Ona dała go Minosowi, Minos Prokrydzie, Prokrys dała go Cefalusowi. Był także zaczarowany; tak iż, na sposób dzisiejszych adwokatów, chwycił każde spotkane zwierzę, nie mu się nie wymknęło. Zdarzyło się, iż się spotkali. Cóż tedy wynikło? Pies, mocą swej własności, winien był schwycić lisa; lis, wedle swego przeznaczenia, nie mógł być schwytany.

Sprawę przedłożono przed twój trybunał. Orzekłeś, iż nie trzeba sprzeciwiać się losom. Owóz były z sobą sprzeczne. Zjawisko, cel, skutek dwóch sprzeczności istniejących razem uznano za niemożliwe w naturze. Pociłeś się diabelsko nad tym zagadnieniem. Z twojego potu spływającego na ziemię rodziły się lany kapuściłanych główek. Cały ten szlachetny konsystorz, nie mogąc zdobyć się na kategoryczną rezolucję, popadł w zdumiewające pragnienie; i wypito w tym tu zgromadzeniu więcej niż siedemdziesiąt osiem baryłek nektaru. Za moją poradą zmieniłeś ich w kamienie; i oto skończyły się wszystkie kłopoty i obwołano zawieszenie broni dla pijaków na całym Olimpie, jak długi i szeroki.

Podług tego przykładu, jestem zdania, abyś zaklął w kamień tego psa i lisa. Metamorfoza nie jest tu od rzeczy. Obaj noszą imię Pietra. I ponieważ, wedle przysłowia Limuzyńczyków, trzy kamienie potrzebne są, aby zrobić dziurę u komina, skojarzycie ich z mistrzem Pietrem z Coignet, także zmienionym niegdyś przez ciebie w kamień dla podobnej przyczyny. I każ te trzy martwe glazy w postaci równoramiennego trójkąta ustawić w wielkiej świątyni w Paryżu albo też w przedsionku, z obowiązkiem gaszenia nosem, jakby w niejkiej grze pauperskiej, świec, pochodni, gromnic, lichtarzy i stoczków; za to, iż owe tumany rozpałały za życia ognie stronnictw, facyj, sekt i swarów między próżniaczymi szkolarzami. Ku wiecznej pamięci tego, iż podobne próżnostki i błazeństwa raczej warte są twojej wzgardy aniżeli kary. Rzekłem.

— Łaskaw coś jesteś na nich, jak widzę, mości Priapie — rzekł Jowisz. — Nie wszystkim bywasz tak przychylny. Zważywszy bowiem, iż tak łasi są na to, aby uwiecznić swe imię i pamięć, o wiele łakomsza byłaby rzecz dla nich zmienić się tak po śmierci w twarde kamienie i bryły marmuru, aniżeli obrócić się w proch i zgniliznę.

Ot, tutaj z tyłu, koło Tyrreńskiego Morza i sąsiednich miejsc w Apeninach, czy widzisz, jakie tragedie zażegli niektórzy pastoforowie? Ta furia będzie trwać jakiś czas, jak pięce Limuzyńczyków, a potem się skończy; ale nie tak rychło. Będziemy mieli jeszcze z tym wiele zabawy. Widzę tylko jeden kłopot: a to, że mamy bardzo mały zapasik piorunów od czasu jak wy, moje współbogi, za mym szczególnym zezwoleniem ciskaliście nimi bez rachuby, dla uciechy, na nową Antiochię. Także później, za waszym przykładem, uczyniły owe tęgie zuchy, którzy postanowili obronić Fortecę Dyndynardzką bodaj przeciw całemu światu; owo ci zużyli całą swoją amunicję strzelając do wróbli; zasię potem, w potrzebnej chwili, nie mieli czym się bronić i walecznie ustąpili fortecy i poddali się nieprzyjacielowi, który już miał niechać oblężenia, znękany i zrozpaczony,

i nie miał pilniejszej myśli jak tylko odwrót, choćby i z niejakim wstydem. Zajmij się tym, synu Wulkanie: obudź no swoich śpiochów Cyklopów, Asteropów, Brontów, Argów, Polyfema, Steropa, Pirakmona, zagoń ich do roboty i daj im popić nieska-po. Ludziom ogniowym nie trza żałować winka. Ale załatw-myż wprzód tego wyjca tam na dole. Zobacz, Merkurze, kto to taki, i dowiedz się, czego żąda.

Merkury wyjrzał przez klapę w niebiosach, przez którą w niebie słuchają, co się mówi po cichu na ziemi (z wyglądu otwór ten podobny jest do tuby w okęcie; Ikaromenip przyrównuje go do otworu studziennego) i dostrzegł, że to Jąderko domaga się zgubionej siekiery: za czym przyniósł raport przed zgromadzenie.

— Doprawdy — rzekł Jupiter — to ładne rzeczy. Tak jak-byśmy w tej chwili nie mieli nic pilniejszego do roboty, niż zwracać zgubione siekiery? Trzeba mu ją wszelako oddać. To jest zapisane w Przeznaczeniach, rozumiecie? tak samo jak gdyby miała wartość księstwa Mediolanu. Jakoż, w rzeczy, ta siekiera ma dla niego taką wartość i cenę, jak dla króla jego kró-lestwo. No, no, niechże mu oddadzą siekiere. Niech już o tym nie będzie mowy. A teraz przystąpmy do sądzenia sporu du-ehowieństwa i kreciej jamy w Landruzie. Gdzieśmy to byli?

Priapus stał sobie w kątku wpodłe kominka. Za czym sły-sząc raport Merkurego rzekł, pełen życzliwej i dobrodusznej jowialności:

— Królu Jewiszu, w czasie gdy, za twoim rozkazaniem i oso-bliwą łaską, byłem dozorcą ogrodów na ziemi, zauważyłem, że to słówko *siekierka* posiada rozmaite znaczenia. Oznacza pewien instrument, za pomocą którego rąbie się i kawałkuje drzewo. Oznacza także (przynajmniej dawniej oznaczało) dziewczkę apetyczną i często pitirypitypirowaną. I zauważyłem, że każdy tę-gi kompan nazywa swoją dziewczkę: moja ciupażka (jako że ręko-jeść od niej ma zawsze przy sobie). Za pomocą bowiem tej rękojeści (rzekł Priapus wyciągając swoje trzystopowe drzewce)

nawdziewają je tak grzecznie i sumiennie w ich uszko, iż zba-wiają je wreszcie owego strachu, wiecznie prześladowającego pleć niewieścią, żeby w braku takowego klinika nie wypadło im z ży-wota pod nogi. I przypominam sobie (mam bowiem pyte, chciałem powiedzieć pamięć, bardzo dobrą i dość obszerną, aby wypełnić nią garczek na masło), iż raz, w dzień tubilustrów, w czas święta pocziwego Wulkana w maju, słyszałem niegdyś, w pięknie ukwieconym ogródku, Joskina Preza, Olkegana, Ho-bretza, Agrykolę, Brumela, Wigorysa, Lafagę, Brujera, Priorysa, Segina, Laruja, Midego, Mulla, Mutona, Gaskona, Lojseta, Kom-pera, Peneta, Fewina, Rużę, Ryszardforta, Russa, Konsyliona, Konstantego Festi, Jacka Berkana, jak sobie śpiewali melodyj-nie:

Kiedy raz Wojciech kładł się spać
Przy żonce, przy niebogiej,
Ukrył za łóżkiem, psia ci mać,
Stępora kawał srogi;
— O, mój Wojtusi, co to będzie,
Cóż to za straszne jest narzędzie?
— To (rzecze), by cię łupić skorzej.
— Ha (ona na to), nie bądź głupi:
Toć gruby Jasio, gdy chędoży,
Zawždy mnie tylko zadkiem łupi“.

W dziewięć Olimpiad i jeden rok przestępny później (o cóż za dzielna pyta, chciałem powiedzieć pamięć; często mi się zdarza przemówić z powodu powinowactwa i symbolizacji tych dwóch słów) słyszałem znowuż Hadriana Wilara, Gomberta, Żanekina, Arkadeta, Klodyna, Certona, Manszykurta, Oksera, Wilera, Sandryna, Hedyna, Morala, Pasera, Maja, Maliara, Ża-kotyna, Herberta, Werdelota, Karpentrasa, Herytiera, Kadeaka, Dubleta, Wermonta, Boteliera, Lupiego, Paniera, Mileta, Moli-na, Alera, Marota, Morpena, Żandra i innych uciесznych mu-zyków, jak w zacisznym ogródku, wśród nadobnych krzewów, dokoła szańca z flaszek, szynek, pasztetów i rozmaitych przy-smaków, wdzięcznie sobie przyśpiewywali:

Jeśli siekiera bez drzewca nic warta,
Ani słabego pniaczka nie rozłupie,
Weź moje drzewce i nawdziej, u czarta,
A nawet las cały ci narąbie w — trymigi.

Trzeba by tedy wiedzieć, jakiego rodzaju siekierki domaga się ten wyjec Jąderko?

Na te słowa czcigodni bogowie i boginie wybuchnęli śmiechem jakoby mikrokosmos muszy. Wulkan kuternoga wykonał, dla miłości swej lubki, kilka nadobnych podskoków.

— No, no — rzekł Jowisz do Merkurego — zleż no prędko na dół i rzuć pod nogi Jąderce trzy siekiery: jedną jego własną, drugą złotą, a trzecią z litego srebra, wszystkie jednego kalibru. Zostaw mu wolny wybór między trzema; jeśli weźmie swoją i tym się zadowoli, daj mu dwie inne w podarku. Jeśli weźmie inną niż swoją, utnij mu głowę jego własną siekierą. I od-tąd tak czyni wszystkim, którym zdarzyłoby się zgubić siekierę.

Rzekłszy te słowa Jowisz wykrzywił się jak małpa, gdy łyka pigułki, i uczynił minę tak straszliwą, że cały Olimp zadrżał.

Merkury w swoim spiczastym kapeluszu, płaszczyku, sandałach i z berłem rzuca się przez klapę niebieską, pruje powietrze, zstępuje lekko na ziemię, rzuca pod stopy Jąderki trzy siekiery, a potem rzecze:

— Dosyć już napsuleś sobie gardła; czas teraz troszkę popić. Prośby twoje wysłuchane są przez Jowisza. Spójrz, która z trzech siekier jest twoja, i weź ją sobie.

Jąderko podnosi złotą, ogląda, wydaje mu się zbyt ciężka, potem rzecze:

— Dalibóg, to nie moja. Nie chcę tej.

Toż samo uczynił ze srebrną, i rzekł:

— Nie, to też nie ta. Zabierz ją sobie.

Po czym wziął w rękę siekierę z drewnianą rękojeścią; ogląda ją z szerszego końca, poznaje swój znak i drżąc z radości jak lis, który przydybie zabłąkaną kure, uśmiechając się gębą rozdziałoną od ucha do ucha, rzecze:

— Psia ci mać, ta jest moja. Jeśli chcesz mi ją zostawić, poświęcę ci na Idy (to jest piętnasty dzień majowy) piękny i duży garnek mleka, cały przysypany rumianymi poziomkami.

— Masz, pocziwcze — rzekł Merkury — daję ci ją, weź sobie. I za to, żeś okazał umiarkowanie w swoich życzeniach, dodaję ci, z rozkazu Jowisza, i tamte dwie. Masz teraz z czego żyć w bogactwie, trzymaj się ciepło i zdrowo.

Jąderko podziękował pięknie Merkuremu, oddał cześć wielkiemu Jowiszowi, przytroczył dawną siekierę do skórzanego paska i opasał się dookoła zadka jak Marcin Kambreński. Dwie pozostałe, cięższe, załadował na plecy. Tak idzie, dumnie się niosąc, przez całą wieś, zadzierając nosa do góry wobec kumotrów i sąsiadów.

Nazajutrz, odziewszy czyściutką siermięgę, ładuje na plecy dwie kosztowne siekiery i wędruje do Szynionu, miasta znacznego, szlachetnego, miasta starożytnego, ba, pierwszego na świecie wedle osądu i twierdzenia najuczciwszych w Piśmie. W Szynionie zmienia srebrną siekierę na piękne talarki i inną srebrną monetę, złotą na piękne dukaty, czerwienice, cząte. Kupuje za to siła folwarków, spichlerzy, brogów, siła włók, chałup, zagrod, łąk, winnic, młynów, lasów, gajów, ogrodów, stawów, pasiek, wołów, krów, owiec, baranów, kóz, macior, wieprzów, osłów, koni, kogutów, kapłonów, kurecząt, gęsi, kaczek, indyków i innej gadziny. I w krótkim czasie stał się najbogatszym kmieciem w okolicy.

Wszyscy drwale i kmiotki w sąsiedztwie zdumieni się sro-dze, patrząc na tę fortunę Jąderki; litość i współczucie, jakie mieli wprzód dla biedaka, zmieniły się w tajoną zazdrość z przyczyny tak wielkich i niespodziewanych bogactw. Zaczęli tedy biegać, wywiadywać się, szperać i węszyć, w jaki sposób, gdzie, kiedy, o jakiej porze, czym i z jakiego powodu spadły nań te wielkie dostatki? Usłyszawszy, że to było z okazji zgubionej siekiery, rzekli sobie: „Hm, hm, więc wystarczy po prostu zgubić siekierę, aby dojść do bogactwa? Sposób łatwy i zai-

ste niezbyt kosztowny. Takie jest zatem obecnie ukształtowanie niebios, konstelacja gwiazd i rozmieszczenie planet, iż któkolwiek zgubi siekiere, natychmiast stanie się bogaczem? Hej, hej, jak mi Bóg miły, siekiereczko, muszę cię zgubić, za twoim pozwoleniem“. Jakoż wszyscy pogubili siekiery. Niech mnie diabli wezmą, jeśli bodaj jeden ostał się przy swej ciupażce. Nie było w okolicy jednego syna dobrej matki, który by nie zgubił siekiery. Przestano rąbać drzewo w całej okolicy, nikt bowiem nie miał siekiery.

I jeszcze powiada apologia Ezopa, że wielu pomniejszych szlachetków, którzy posprzedawali Jaderce swój kawałek ziemi, młyn i chałupkę, aby hulać i udawać panów za tę troszkę gotowizny, teraz, dowiedziawszy się, w jaki prosty sposób on skarb ten uzyskał, posprzedawali swoje szpady, aby pokupować siekiery i potem je zgubić, jako czynili chłopkowie spodziewając się, za pomocą tej zguby, zyskać w bród złota i srebra. Rzekłbyś, owi opętani romipeci, co to sprzedają swoje, pożyczają cudze, aby jeno dobić do Rzymu i nabyć parę korcy od pustów u nowoobranego papieża. I dopieroż w krzyk, w lament, w błagania do Jupitera. „Moja siekiera, moja siekiera, Jowiszu! Siekiera tędy, siekiera owędy, moja siekiera, och, och, och, och, Jowiszu, moja siekiera!“ Powietrze naokół drżało od krzyku i wycia zuchów, co pogubili siekiery.

Merkury w lot znosił siekiery, każdemu przedkładając jedną jego własną, drugą ze złota, a trzecią ze srebra. Każdy wybierał złotą i zabierał jak swoją, dziękując wielkiemu dobroczyńcy Jowiszowi; ale skoro który nachylił się ku ziemi, aby ją podnieść, Merkury ucinał mu głowę, jak to miał nakazane od Jowisza. I była liczba głów uciętych równa i odpowiadająca liczbie zgubionych siekier. Ot co jest. Oto, co zdarza się tym, którzy w prostocie swojej życzą sobie i pragną jedynie rzeczy umiarkowanych.

Bierzcie wszyscy z tego przykład, wy tam pijaczyny z dolin, którzy powiadacie, iż za dziesięć tysięcy franków intraty nie

wyrzeklibyście się swoich życzeń; i odtąd nie macie pyskiem tak zuchwale, jako nieraz słyszałem was życzących: „Dałby Bóg, abym miał w tej chwili sto siedemdziesiąt osiem milionów dukatów! Hej! jakbym sobie używał!“ Niechże was frybra ściśnie! A cóż mogliby król, cesarz, papież życzyć sobie więcej?

Toteż widziecie z własnego przykładu, iż kiedy czynicie takowe przesadne życzenia, macie stąd jeno dużo wiatru w gębie, w sakiewce zasię ani szeląga; podobnie jak zdarzyło się dwom rzezimieszkom, też takim życzieliom wedle paryskiej mody, z których jeden życzył sobie pięknych czerwienców tyle, ile ich w Paryżu przetargowano, to jest, za ile kupiono i sprzedano od czasu, jak rzucono pierwsze fundamenty tego miasta, aż do dnia dzisiejszego; a wszystko obliczone wedle wysokości taryfy i cen najdroższego roku, jaki zdarzył się w ciągu tego czasu. Jak wam się zdaje, nie żałował sobie pocziwina? Drugi pragnął, aby kościół Najświętszej Panny napchać szczelnie igłami, od posadzki aż do samego sklepienia, i pragnął mieć tyle czerwonych złotych, ile mogłoby się zmieścić w tyle worków, ile można by naszyć tymi wszystkimi igłami, aż się wszystkie nie zetrą albo nie połamią. To się nazywa życzyć! Jak wam się to podoba? I cóż wynikło? Do wieczora każdy z nich miał

*Na podeszwach odciski,
Z chłodu spuchnięte pyski,
Płuco kaszlem stargane,
Dwie dziurki zasmarkane,
Na tyłku srogą ranę,*

i czerstwą skórę od chleba, aby sobie miał czym wykałać zęby.

Bądźcie tedy umiarkowani w życzeniach: wówczas spełni się wam, czego pragniecie, i więcej jeszcze, jeżeli przez ten czas będziecie pilnie krzątać się i pracować. „Tak, ale — powiadacie — toć Bogu toż samo jest dać mi siedemdziesiąt i osiem tysięcy, co trzynastą część połówki, jest bowiem wszechmogący. Milion dukatów to dla Niego taka sama drobnostka jak obol“.

He, he, he. I od kogóżeście tak się nauczyli rozprawiać i mędrkować o potędze i zamiarach Boga, niebożęta? Cisza, cyt, cyt, cyt, ukórzcie się przed jego świętą mocą i poznajcie własne ułomności.

Na tym tedy, mili pedogrycy, funduję swą nadzieję i wierzę statecznie, iż jeśli spodoba się Bogu, otrzymacie zdrowie, o ile nie będziecie na teraz żądać nic więcej oprócz zdrowia. Poczekajcież trochę i miejcie za pół uncji cierpliwości.

Nie tak czynią Genueńczycy, którzy rano w swoich kantorach nauradzawszy się, narozprawiawszy i uchwaliwszy, od kogo i którego dnia mogą wyciągnąć denary i kogo chytrą swoją oplaczą, oszukają, opętają i przywiodą na hak, wychodzą potem na ulicę i pozdrawiają się wzajem, mówiąc: *Sanita et gaudain, messer*. Nie zadowolają się zdrowiem, ale życzą i zarobku, ba, nawet dukatów Gadeniowych. Z czego przychodzi nieraz, iż nie mają ani tego, ani tego. Owóż, odkrząknijcie sobie trochę w dobrym zdrowiu; pociągnijcie trzy lyki, potrząśnijcie wesoło uszami, a posłyszycie nowe cuda o szlachetnym i dobrym Pantagruelu.

I. Jako Pantagruel ruszył na morze, aby odwiedzić wyrocznię boskiej Bakkuk

W miesiącu czerwcu, w dzień uroczystości Westalek, ten właśnie, w którym Brutus podbił Hiszpanię i ujarzmił Hiszpanów; w którym również chciwy Krassus był pokonan i ubit przez Partów, Pantagruel, pożegnawszy się z dobrym Gargantuą, swoim ojcem, który tymczasem modlił się (jako w pierwotnym kościele było chwalebny zwyczajem świętych chrześcijan) za pomyślną żeglugę syna i całej wyprawy, Pantagruel, powiadam, rozwinął żagle w porcie Talassy, w towarzystwie Panurga, brata Łomignata, Epistemona, Gymnasta, Eustenesa, Rizotoma, Karpalima i innych dworzan i domowników; był z nimi także Ksenomanes, wielki podróżnik i żeglarz, sprowa-

dzony na kilka dni przedtem wezwaniem Panurga. Ten, dla ważnych i szczególnych przyczyn, nakreślił i pozostawił Gargantui, w jego wielkim i powszechnym geograficznym atlasie, plan drogi, której się będą trzymać wędrując w odwiedziny do wyroczni boskiej Flaszy Bakkuk.

Liczbę okrętów wyszczególniłem wam już w trzeciej księdze: dodajcie do tego też samą liczbę tryremów, galer, galionów i liburnów; wszystko dobrze zaopatrzone, zaprowiantowane, wyposażone w amunicję, jak również wielki zapas pantagruelionu. Zebranie wszystkich oficyjerów, tłumaczy, pilotów, kapitanów, sterników, marynarzy, puszkarzy i majtków odbyło się na talamedze. Tak nazywano głośny admirałski statek Pantagruela, który miał u steru, jako sztandar, wielką i pakowną Butlę, w połowie z pięknie lśniącego i politurowanego srebra, w połowie ze szkarłatno emaliowanego złota. Z czego łatwo było osądzić, iż białe z czerwonym były to barwy szlachetnych podróżników i że wędrują, aby otrzymać słowo wyroczni z ust boskiej Flaszy.

U steru drugiego okrętu wznosiła się wysoko starożytna latarnia, zmyślnie wykonana z przeświecającego kamienia, zwanego fengitem; co zwiastowało, iż mają zamiar wędrować przez kraj Latarników.

Trzeci miał za dewizę piękny i obszerny porcelanowy puchar. Czwarty, garnek złoty z dwoma uszami, jakoby starożytna urna. Piąty, konew ogromną z chryzolit. Szósty, roztruchan klasztorny, odlany z czterech zespolonych metali. Siódmy, hebanowy lejek, wykładany złotem bardzo misternie. Ósmy, bardzo cenny kubek z bluszczu, wybijany złotem modą damasceńską. Dziewiąty, naczynie z najlepszego złota czyszczonego w ogniu. Dziesiąty, wazkę z pachnącego agalochu (nazywacie go drzewem aloesu) wykładanego złotem cypryjskim, w perski deseń. Jedenasty, kosz do noszenia wina zdobiony mozaiką. Dwunasty, miarę na wino z matowego złota, ozdobiona gałązką winną z wielkich indyjskich pereł. Tak, iż nie masz

i nie było w świecie osoby tak smutnej, stroskanej, markotnej, melankolicznej (by nawet i sam płaczliwy Heraklit), która by się nie rozweseliła żywą radością i nie uśmiechnęła z serca widząc ów szlachetny konwój okrętów płynący pod takimi gołdami; i każdy snadnie mógł osądzić, iż żeglarze są wszyscy zacne pijaki, poczciwe ludziska, i mógł wyróżnić z wielką pewnością, iż cała podróż, tak w jedną jak i w drugą stronę, odbędzie się w wesołości i zdrowiu.

Na talamedze tedy zgromadzili się wszyscy. Pantagruel zwrócił się do nich z krótkim a zbożnym napomnieniem, opartym na ustępach z Pisma odnoszących się do spraw żeglarskich. Następnie odmówili wszyscy głośno modlitwę, słyszana i rozumiana wyraźnie przez wszystkich mieszkańców i obywateli Talassy, którzy zbiegli się nad wodę, aby widzieć, jak odbijają od brzegu.

Po tej modlitwie odśpiewano melodyjnie psalm św. króla Dawida, zaczynający się: *Kiedy Izrael rzucił Egipt srogi*. Skończywszy ustawiono na pokładzie stoły i nakryto je zwinnie wszelkimi potrawami. Telasseńczycy, którzy również odśpiewali ów psalm, kazali z domów przynieść obfitość jadła i napoju. Wszyscy przepijali do nich. Oni przepijali do wszystkich. Co było przyczyną, iż nikt z całego zgromadzenia nie dostał na morzu choroby morskiej i nie czuł dolegliwości w głowie ani w żołądku. Której dolegliwości nie byłiby tak skutecznie zapobiegli pijąc na kilka dni przedtem wodę morską, czystą albo mieszaną z winem; ani używając miększu pigwy, łupki cytrynowej, kwaskowatego soku granatu; też zachowując długą dietę lub okrywając sobie żołądek papierem, albo jeszcze co innego czyniąc z rzeczy, które przyglupsze medyki zalecają puszczającym się na morze.

Skoro kolejki obeszły w koło, każdy wrócił na swój okręt, i szczęśliwie podnieśli kotwicę, mając wiatr północno-wschodni, zwany greekim, wedle którego głośny sternik, nazwany Kuba Brajer, wytyczył drogę i nastawił wskazówki wszelkiej busoli.

Jego bowiem i Ksenomanesa zdanie było, aby wobec tego, iż wyrocznia boskiej Bakkuk leży blisko Chin w Indiach Górnych, nie trzymać się zwykłej drogi Portugalczyków, którzy przebywając równik i okrążając Przylądek Dobrej Nadziei na południowym krańcu Afryki, poza równoleżnikiem tracą z oczu przewodnictwo gwiazdy polarnej i czynią ogromną drogę; jeno dzierżyć się jak najbliżej drogi równoległej z rzeczonymi Indiami i wykręcić się koło tegoż bieguna na zachód, tak aby obracając się ku północy, znaleźć się względem niego w podobnej wysokości jak port w Olonie, nie posuwając się bliżej z obawy, aby się nie dostać w Morze Lodowate i tam nie ugrzęznąć. I idąc ciągle wedle tego kanonu po tej samej równoległej, muszą je mieć ku wschodowi na prawo, podczas gdy przy wyjeździe mieli je na lewo.

Ten plan okazał się bardzo zbawienny. Bez rozbicia się bowiem, bez niebezpieczeństwa, bez straty w ludziach, wśród stałej pogody (z wyjątkiem jednego dnia koło wyspy Makeronów) przebyli drogę do Indyj w mniej niż cztery miesiące, z którą to drogą Portugalczycy uporali się ledwie w trzy lata, wśród mnóstwa utrapień i niebezpieczeństw. I jestem tego zdania, z całą rewerencją dla czyjegóż lepszego osądzenia, że tą samą szczęśliwą drogą wędrowali owi Hindusi, którzy żeglowali do Niemiec i byli godnie podejmowani od króla Szwedów, w czasie gdy Q. Metellus Celer był prokonsulem w Galii, jak to opisują Corn. Nepos, Pomp. Mela, i Pliniusz za nimi.

II. Jako Pantagruel przybywszy do wyspy Medamothi poczynił tam różne piękne zakupy

Przez ten dzień i dwa następne nie ujrzeli ani ziemi nowej, ani nic nowego: nieraz już bowiem przebywali tę drogę. Czwartego dnia odkryli wyspę zwaną Medamothi, miłą i powabną dla oczu dla wielkiej ilości latarni morskich i wysokich mar-

murowych wież, którymi cały jej obwód (nie mniejszy od Kandy) był otoczony.

Pantagruel spytał, kto jest jej panem, i usłyszał, że król Filofanes, wówczas nieobecny z przyczyny małżeństwa brata swego Filoteamona z infantką Engysu. Za czym zawiął do portu, podczas gdy okręty zaopatrywały się w wodę; i oglądał kolejno rozmaite obrazy, rozmaite dywany, hafty, rozmaite zwierzęta, ryby, ptaki i inne zamorskie i cudaczne towary, zgromadzone na molo i w halach portowych. Był to bowiem trzeci dzień wielkiego i uroczystego jarmarku, na który co rok zjeżdżali się najbogatsi i najsławniejsi kupcy z Afryki i Azji. Brat Jan zakupił dwa stare i cenne obrazy; na jednym było namalowane z natury oblicze lapiducha; na drugim portret sługi szukającego swego pana; i był przedstawiony ze wszystkimi potrzebnymi zaletami, ruchami, gestem, twarzą, zachowaniem, fizjonomią i uczuciem; malowany był i stworzony przez mistrza Karola Chamoisa, nadwornego malarza króla Megista; i zapłacił je obligiem płatnym na św. Nigdy.

Panurg kupił wielki obraz namalowany i skopiowany wedle roboty wykonanej niegdyś w hafcie przez Filomełę, za pomocą którego przedstawiła i wyobrazila siostrze swej Progne, jako jej szwagier Tereusz wziął jej dziewictwo i uciął język, aby nie mogła wyjawic tej strasznej zbrodni. Przysięgam wam, na rękojeść tego grubego chwosta, że było to ponętne i okazałe malowidło. Nie myślcie tylko, proszę was, iż był tam przedstawiony samiec sparzony z dziewczyną. To by było zbyt głupie i ciężkie. Malowidło było całé inne i bardziej zrozumiałe. Możecie je oglądać w Telemie, po lewej, przy wejściu do wielkiej galerii.

Epistemon kupił inne, na którym były żywcem namalowane idee Platona i atomy Epikura. Rizotom kupił obraz, na którym było Echo w naturalnej postaci.

Pantagruel kupił przez Gymnasta Życie i Czyny Achillesa, w siedemdziesięciu i ośmiu sztukach gobelinów, długich na czte-

ry, szerokich na trzy sążnie, całé w jedwabiu frygijskim, przetykane złotem i srebrem. I zaczynały się te hafty od zaślubin Peleusa i Tetydy; dalej narodziny Achillesa i jego młodość opisana przez Stacją Papiną; jego czyny i zwycięstwa opiewane przez Homera; śmierć i pogrzeb opisane przez Owidego i Kwinta Kalabry; kończyło się zaś objawieniem jego cienia i ofiarą Polikseny opisaną przez Eurypidesa.

Kazał także kupić trzy piękne i młode jednorożce: jednego samca, maści gniadonakrapianej, i dwie samice, maści szaropąbkowatej. Wraz z nimi i taranta, którego sprzedał mu Scyta z okolic Gelonów.

Tarant jest to zwierzę wielkości młodego byczka, mające głowę podobną do jeleniej, jeno nieco większą, z dużymi, szeroko rozłożonymi rogami; kopyta ma rozszczerzone, sierść długą jak u dużego niedźwiedzia, skórę mało co mniej twardą od pancerza. I powiedział ów Gelończyk, iż niewiele takich znajduje się w Scytii; zmienia bowiem barwę zależnie od miejsc, w których pasie się i przebywa. I może przybierać kolor ziół, drzew, zarośli, kwiatów, łąk, skał i kamieni, w ogóle przedmiotów, w których pobliżu żyje.

Ta własność jest mu wspólna z pulpą morską, to jest polipem, z szakalami, z lykaonami indyjskimi, z kameleonem, który jest rodzajem jaszczurki i tak dziwnym, iż Demokryt całą księgę napisał o jego postaci, budowie, własnościach i magicznych talentach. Wierzę temu, gdyż sam widziałem nieraz, jak odmienia barwę; i to nie tylko za zbliżeniem ubarwionych przedmiotów, ale sam z siebie, ze strachu albo innych uczuć, jakich doznawał. Takżé widziałem, jak na zielonym dywanie wyraźnie stawał się zielony, ale skoro zostawał na nim jakiś czas, stawał się kolejno żółty, niebieski, brązowy, fioletowy; tak jako widzicie, iż grzebienie kogutów indyjskich zmieniają barwę wedle ich humoru. Co nas najbardziej w tym tarancie dziwiło, to iż nie tylko twarz i skóra, ale i cała sierść przybierała tę barwę, jaką miały sąsiednie przedmioty. Koło Pa-

nurga ubranego w szarą siermięgę sierść stawiała się szara; koło Pantagruela ubranego w płaszcz szkarłatny, sierść i skóra czerwieniały; koło sternika ubranego na sposób Izjaków Anubisa w Egipcie sierść stawiała się cała biała. Zasię dla kameleona są te dwa kolory niedostępne. Kiedy próżen wszelkiego strachu i wzruszenia, wrócił do swego naturalnego koloru, barwa sierści była taka jak u osłów mengijskich.

III. O tym, jak Pantagruel otrzymał list od ojca swego Gargantui, i o szczególnym sposobie otrzymywania rychłych wiadomości z krajów obcych i dalekich

Gdy Pantagruel zajęty był kupnem tych zamorskich zwierząt, usłyszano nagle od portu dziesięć strzałów z moździerzy i falkonetów, a zarazem głośnie i radosne krzyki z okrętów. Pantagruel obrócił się w tę stronę i ujrzał, że to był jeden z szybkołotów ojca jego, Gargantui, zwany Chelidonem, u steru bowiem wyobrażona była, w rzeźbie z koryntyjskiego spiżu, jaskółka morska. Jest to ryba wielka jak szczupak z Loary, silnie umięsiona, bez łuski, o chrząstkowatych skrzydłach (podobnych jak u nietoperza) bardzo długich i szerokich, za pomocą których, jak sam nieraz widziałem, może latać na sążeń ponad wodą, dalej niż na strzelenie z łuku. W Marsylii nazywają ją lendolą. Podobnie i ten statek był lekki jak jaskółka, tak iż raczej zdawał się latać niż płynąć po falach. W nim siedział Malikorn, przyboczny giermek Gargantui, wysłany umyślnie przezeń dla dowiedzenia się o zdrowiu i powodzeniu syna jego, dobrego Pantagruela, oraz doręczenia mu listów wierzytelnych.

Pantagruel, uściskawszy go i przywitawszy wdzięcznie, z nim otworzył listy albo inne jakie słowo rzekł do Malikorna, spytał:

- Masz z sobą gołębia, boskiego posłańca?
- Tak — odparł — jest zamknięty w tym oto koszyku.

Był to gołąb wzięty z gołębnika Gargantui; w chwili gdy posel miał ruszać, wysiadywał właśnie młode. Gdyby jakie nieszczęście zdarzyło się Pantagruelowi, byłby mu do nóżek umocował czarną nitkę; ale ponieważ wszystko mu się darzyło szczęśliwie i pomyślnie, przywiązał mu do nóg wstążeczkę z białej tafty i nie zwlekając natychmiast puścił go swobodno. Gołąb wraz pomknął, prując atmosferę z niepojętą szybkością, jako wiecie, że nie ma nic szybszego niż lot gołębia, który zostawił swoje jajka lub młode, a to z przyczyny uporczywej chęci (jaką natura weń włożyła) odnalezienia i wspomagania swoich gołębiąt. Tak iż w mniej niż w dwie godziny przebył powietrzem długą drogę, którą szybkołot z wielką pilnością skutecznił w trzy dni i noce, żeglując wiosłami i żaglami i mając ciągle pomyślny wiatr. I ujrzało go, jak wefrunął do gołębnika, prosto do gniazdka młodych. Za czym pocziwy Gargantua ujrzawszy białą wstążeczkę rad był i upewniony o dobrym zdrowiu syna.

Taki był zwyczaj szlachetnych Gargantui i Pantagruela, kiedy chcieli szybko mieć wiadomość o jakiej rzeczy bardzo bliskiej sercu i gwałtownie upragnionej, jako obrót bitwy, tak na morzu jak na lądzie, wzięcie albo obrona fortecy, załagodzenie ważnych sporów, zlegnięcie szczęśliwe albo nieszczęśliwe jakiej królowej albo wielkiej damy, śmierć albo ozdrowienie przyjaciół lub sprzymierzeńców, w razie choroby i innych podobnych. Brali gołębia i pocztą dawali go nieść z ręki do ręki, aż do miejsca, z którego oczekiwali nowin. Gołąb, niosący białą lub czarną wstążeczkę wedle wypadków i okoliczności, rozpraszał ich wątpliwości, robiąc za powrotem w godzinę więcej drogi, niż jej zrobiło lądem trzydziestu posłańców w całą dobę. To się nazywa zyskiwać i oszczędzać na czasie! I możecie wierzyć jako w szczerą prawdę, iż w gołębnikach królewskich w każdym miesiącu i porze roku zawsze można było znaleźć obfitość gołębi na jajkach albo przy młodych. Co nie trudno jest uzyskać w gospodarstwie przy pomocy saletry i świętego ziela werweny.

Uwolnwszy gołębia Pantagruel odczytał pismo ojca swego Gargantui, którego zawartość była:

„Najdroższy synu! Przywiązanie, które już z natury żywi ojciec dla ukochanego syna, tak bardzo wzrosło we mnie przez wzgląd i baczenie na szczególne przymioty pomieszczone w tobie za łaską Najwyższego, iż od czasu twego wyjazdu nie jeden raz zbawiło mnie wszelkiej innej myśli, zostawiając w sercu tę jedyną i uporczywą obawę, czy w tej podróży nie trafi ci się jakiś wypadek albo nieszczęście; jako wiadomo ci jest, iż ze szczerą i prawdziwą miłością zawsze łączy się ustawiczna obawa. A ponieważ, jak powiada Hezjod, w każdej rzeczy początek jest połową wszystkiego, co rychlej, aby zbawić umysł od takiej obawy, wyprawilem Malikorna, iżbym przez niego upewnił się o twym powodzeniu w pierwszych dniach podróży. Jeśli bowiem jest dobre i takie, jakiego ci życzę, łatwo mi będzie przewidzieć i osądzić dalsze koleje. Otrzymałem kilka uciech-nych książek, które ci doręczy oddawca tego listu. Możesz je czytać, kiedy zechcesz się orzeźwić po poważniejszych studiach. Ów wysłannik opowie ci obszerniej wszystkie nowiny ze dworu. Pokój Przedwiecznego niechaj będzie z tobą. Pozdrów Panurga, brata Jana, Epistemonę, Ksenomanesę, Gymnastę i innych twoich domowników, a moich dobrych przyjaciół.

W twym rodzinnym domu, dnia 13 czerwca.

Twój ojciec i przyjaciel

Gargantua“.

IV. *Jako Pantagruel pisze do swego ojca Gargantui i posyła mu wiele pięknych i rzadkich upominków*

Skończywszy czytanie listu Pantagruel wdał się w rozmowę z giermkim Malikornem, co przeciągnęło się tak długo, iż Panurg przerwał mu w końcu, mówiąc:

— Kiedyż wy myślicie popić? Kiedyż nareszcie popijemy? Kiedy pan giermek popije? Czy nie dosyć ugadaliście się, żeby na teraz popić?

— Słusznie powiedziane — odparł Pantagruel. — Każcie zastawić przekąskę w sąsiedniej gospodzie, nad którą wisi za godło obraz konnego satyra.

Tymczasem zajął się Pantagruel odpowiedzią na list i napisał do Gargantui, co następuje:

„Ojcie najłaskawszy! jako przy każdym wydarzeniu tego doczesnego życia nie oczekiwanym i nie przewidywanym, zmysły nasze i władze żywotne doznają znaczniejszych i głębszych zaburzeń (tak iż zgoła dusza może oddzielić się od ciała, chociażby takie nieoczekiwane nowiny były radosne i upragnione), niż gdyby zawczasu były przygotowane i przewidziane, tak i mnie bardzo wzruszyło i wstrząsnęło niespodziane zjawienie się giermka twego Malikorna. Nie spodziewałem się bowiem ujrzeć żadnego z twych domowników ani usłyszeć o tobie wiadomości przed końcem podróży. I łatwo godziłem się z tym, w słodkim przypomnieniu twego łaskawego Majestatu zapisanym, zgoła nawet wyrzeźbionym i wyrytym w najgłębszych komórkach mego mózgu, i często przywołując sobie na pamięć twą osobę w żywej i właściwej postaci.

Ale skoro zaskoczyłeś mnie dobrodziejstwem tak łaskawych listów i skoro świadectwo onego giermka orzeźwiło mój umysł wiadomościami o twym zdrowiu i pomyślności, a także całego twego królewskiego domu, czuję teraz potrzebę (co i poprzednio uczynilem z dobrej woli) po pierwsze, pochwalić dobrotliwego Stwórcę, który w swej boskiej dobroci zachowuje cię tak długo w doskonałym zdrowiu. Po wtóre, dziękować ci nieustannie za to żywe i trwałe przywiązanie, jakie chowasz dla mnie, swego bardzo pokornego syna i bezpożytecznego sługi. Niedługo Rzymianin pewien, zwany Turnius, otrzymawszy od cesarza Augusta łaskę i przebaczenie dla swego ojca, który przyłączył się do stronnictwa Antoniuszowego, rzekł: „Wyświad-

czając mi dziś to dobro, wtrąciłeś mnie w hańbę, żyw bowiem czy umarły, na wieki będę musiał być uważany za niewdzięcznika, a to dla niemożności odwzięczenia się“. Tak ja mogę powiedzieć, iż nadmiar twego ojcowskiego przywiązania wtrąca mnie w tę obawę i skazuje na to, iż będzie mi trzeba żyć i umierać niewdzięcznikiem. Chyba iż rozgrzeszon będę z takiej zbrodni wedle nauki stoików, którzy mówią, iż trzy składniki wchodzi w dobrodziejstwo: pierwszy datek, drugi przyjęcie, trzeci odwzięczenie się; jako iż przyjmujący może w pełni odwzięczyć się dającemu, jeśli przyjmuje wdzięcznym sercem dobrodziejstwo i przechowuje je w wiecznej pamięci. Na odwrót zasię, obdarzony byłby największym niewdzięcznikiem, gdyby wzgardził czym dobrodziejstwem i zapomniał go.

Będąc tedy przynięciony zobowiązaniami płynącymi z twej niezmierniejszej łaskawości i niezdolny do odwzięczenia się by w najskromniejszej mierze, uchronię się przynajmniej od hańby tym, iż nigdy w duchu mym pamięć o nich się nie zatraci i język nie przestanie wyznawać i zaklinać się, iż godnie odpłacić twe łaski jest rzeczą przekraczającą zdolność mą i potęgę.

Co do reszty, mam tę nadzieję w przychylności i pomocy dobrego Stwórcy, iż w tej naszej wędrówce koniec będzie podobien początkowi i że wszystko się dokona w doskonałym zdrowiu i weselu. Nie zaniedbam utrwalić w komentarzach i codziennych zapiskach całego przebiegu naszej żeglugi, abyś za powrotem otrzymał do rąk jej wierny opis.

Znalazłem tutaj scytyjskiego taranta, osobliwe i cudowne zwierzę, jako iż odmienia maść skóry i sierść wedle różnego zabarwienia sąsiednich przedmiotów. Niech ci, ojcze, będzie do usług. Jest posłuszny i łatwy do hodowania jak baranek. Posyłam ci również trzy młode jednorożce, łaskawe i oswojone jak młode kocięta. Mówiłem z giermkim i objaśniłem mu sposób obchodzenia się z nimi. Nie pasą się na łące, ile że przeszkadza im ów wielki róg na czole. Trzeba im szukać pożywienia po drzewach owocowych albo ze stosownego żłobu,

albo z ręki, gdy im się daje zioła, trawę, jabłka, gruszki, jęczmień, orkisz, słowem wszystkie rodzaje owoców i jarzyny. Dziwię się, czemu dawni pisarze ogłosili je za tak dzikie, okrutne i niebezpieczne i że nikt ich nie widział żywych. Jeśli wasza łaska, możesz, ojcze, przekonać się, iż rzecz ma się cał przeciwnie; ujrzysz, że to są zwierzęta najłagodniejsze w świecie, byle ich złośliwie nie drażnić.

Zarazem posyłam ci, ojcze, Życie i Czyny Achillesa w bardzo pięknym i misternym hafcie. I upewniam cię, iż wszystkie osobliwości w zwierzętach, roślinach, ptakach, kamieniach, jakie będę mógł znaleźć i zgromadzić w ciągu naszej wędrówki, wszystkie ci przywiozę przy pomocy Boga, naszego opiekuna, którego proszę, aby cię raczył zachować w świętej łasce.

W Medamothi, piętnastego czerwca. Panurg, Brat Jan, Epistemon, Ksenomanes, Gymnastes, Eustenes, Rizotomos, Karpalim, ucałowawszy z uszanowaniem twą rękę oddają ci stokrotnie pozdrowienie.

Twój posłuszny syn i sługa
Pantagruel“.

Podczas gdy Pantagruel pisał powyższy list, cała gromada podejmowała Malikorna, ściskając się z nim i racząc do upadłego. Sam Bóg wie, co się przy tym działo i jak się na wszystkie strony bratano i świadczone sobie wzajem. Pantagruel ukończywszy pisanie też podszedł trącić się i przekąsić co z giermkim. I dał mu duży łańcuch złoty wartości ośmiuset dukatów, w którym co siódme ogniwo zdobne było dużym diamentem, rubinem, szmaragdem, turkusem lub perłą. Każdemu zaś z jego żeglarzy kazał wypłacić pięćset talarów. Gargantui, ojcu swemu, posłał taranta okrytego czaprakiem z jedwabiu przetykanego złotem, wraz z dywanami przedstawiającymi Życie i Czyny Achillesa i trzema jednorożcami przybranymi kędzierzawym złotogłowiem. Tak wyruszyli z Medamothi: Malikorn, aby wrócić do Gargantui, Pantagruel, aby podjąć dalej

swą podróż. Kiedy znaleźli się na pełnym morzu, kazał Epistemonowi czytać książki przywiezione przez giermka; i zdały mu się tak uciężne i zabawne, że chętnie użyję wam ich odpisu, jeżeli w pokorze będziecie o to prosili.

V. *Jako Pantagruel napotkał okręt z podróżnymi wracającymi z kraju Latarneńczyków*

Piątego dnia, już zaczawszy po trosze okręcać się koło bieguny i oddalając się od zwrotnika, spostrzegliśmy statek kupiecki płynący ku nam pełnymi żaglami. Radość była niemą, tak dla nas jak i dla kupców: dla nas, iż usłyszymy wieści z morza, dla nich, iż usłyszą coś nowin z lądu stałego. Skorośmy się spotkali, przekonaliśmy się, że to są Francuzi, Santogęńczycy. Gwarząc tedy i uradzając z nimi Pantagruel dowiedział się, iż wracają z kraju Latarneńczyków. Za czym ucieszył się jeszcze bardziej, on i cała gromadka; kiedyśmy się bowiem zaczęli wypytywać o kraj i obyczaje Latarneńczyków, dowiedzieliśmy się, iż z końcem lipca ma być zwołana generalna kapituła latarneńska; i że jeśli przybędziemy na ten czas (co nam było bardzo łatwo), ujrzymy piękną, szacowną i wesołą kompanię Latarni; i że czynią się tam wielkie przygotowania, tak jakby wszystko miało być z gruntu wylatarnione. Powiedzieli nam również, iż przejeżdżając przez wielkie królestwo Gebarim, znajdziemy chlubną gościnę u króla Ohaby, władcy tamecznej ziemi, który jak i wszyscy jego poddani, mówią gwarą francuską z okolic Turenii.

Gdyśmy słuchali tych nowin, Panurg wdał się w sprzeczkę z pewnym kupcem taliburskim, nazwiskiem Jendorek. Przyczyna sporu była następująca: ów Jendorek widząc Panurga bez szaszki i w okularach na czapce rzekł do towarzyszków:

— Otoć wdzięczna gębusia rogala.

Panurg, który z przyczyny swych okularów słyszał na uszy o wiele bystrzej niż zwyczajnie, usłyszawszy to ozwanie się spytał kupca:

— Jakoż mógłbym być rogalem, nie będąc żonaty, jak pewno ty nim jesteś, o ile mogę sądzić z twej nieskrobanej gęby?

— Tak, w istocie — odparł kupiec — jestem; i nie chciałbym zmienić swego stanu za wszystkie okulary całej Europy ani binokle Afryki. Mam bowiem za żonę jedną z najpiękniejszych, najmilszych, najpocziwszych, najstateczniejszych niewiast, jakie istnieją w całym kraju Santogęńskim z przeproszeniem wszystkich innych. Wiozę jej z podróży piękną, na jedenaście cali długą gałązkę koralu jako upominek na kołędę. A ty do czego nos wściubiasz? Czego się wtrącasz? Ktoś zacz? Skąd się prowadzisz? O ty okularniku Antychrysta, odpowiedz, jeśliś jest od Boga.

— Pytam się ciebie — rzekł Panurg — gdybym ja, za zezwoleniem i zgodą wszystkich elementów, spierdosubtylidrydryndolizował twoją tak piękną, miłą, pocziwą i stateczną małżonkę w ten sposób, iż sztywny bóg ogrodów, Priapus, który oto mieszka na wolności, uwolniony z niedoli szaszki, owóz, mówię, ów Priapus utkwilby jej w ciele tak nieszczęśliwie, że w żaden sposób nie mógłby wynieść i na wieki musiałby tam zostać, chyba żebyś go wyciągnął zębami, co byś wówczas uczynił? Zostawiłbyś go tam na wieki wieków? Czy też wyciągnąłbyś go zębami, pełną gębą? Odpowiedz ty, trykarzu Mahometa, i wszystkich diabłów w przydatku.

— Wpakowałbym ci — odparł kupiec — szpadę w to zakokularzone ucho i ubiłbym cię jak tryka.

To mówiąc chciał dobyć szpady. Ale zacięła się w pochwę, jako wiecie, iż na morzu wszelki oręż łatwo podlega rdzy z przyczyny nadmiernej i słonej wilgoci. Panurg biegnie ku Pantagruelowi szukając pomocy. Brat Jan dobywa świeżo wyostrzonego mieczyka i byłby ubił kupca bez pardonu, gdyby kapitan i inni podróżni nie ubłagali Pantagruela, aby nie dopuścił zgorzelenia na swoim statku. Za czym załagodzono spór; Panurg i kupiec uścisnęli sobie ręce i przepili wzajem do się na znak zupełnego pojednania.

VI. Jako po załagodzeniu sporu Panurg targuje u Jendorka barana z jego stada

Skoro spór ze wszystkim uśmierzono, Panurg rzekł po cichu do Epistemona i brata Jana:

— Usunąć się nieco na stronę i poglądajcie pilnie; ręczę, że się ubawicie. Będzie dobra zabawa, jeśli się sznurek nie urwie.

Następnie zwrócił się do kupca i z miejsca przepił doń tegim pucharem latarneńskiego, dobrego winka. Kupiec odwzajemnił mu z szczerej chęci, jak grzeczność wymaga. To uczyniwszy Panurg poprosił uprzejmie, aby mu uczynił tę łaskę i odsprzedał jednego ze swoich baranów.

— Ho, ho, przyjacielu, serdeńko, jak ty umiesz pięknie dworować sobie z ludzi. Doskonały z ciebie odbiorca. A to mi tegi kupiec na barany! Dalibóg, toć ty masz gębę nie kupca na barany, ale czystego rzezimieszka. Do kroćset kieszek baranich, dobrze by było spotkać cię z pełną kieską wpodłe flaczarni na odmrozk! He, he, kto by cię nie znał, ten by cię kupił. Patrzcie mi go, dobrzy ludziska, jak on tu piaskiem w oczy ciska!

— Powoli — odparł Panurg. — Mówię zatem, jeśli wasza łaska, sprzedajcie mi jednego barana. Jaka cena?

— Hola — odparł kupiec — a cóż ty sobie wyobrażasz, serdeńko? To są barany o długiej welnie. Jazon z takiego ściągnął swoje runo. Godło domu Burgundzkiego stąd pochodzi. Barany lewentyńskie, barany wysokiej rasy, barany tuczne.

— Zgoda — rzekł Panurg — ale, jeżeli łaska, sprzedajcie mi jednego; mam swoje powody. Płacę wam zaraz i gotówką, w monecie zachodniej, w litych talarach, ważnych dukatach, pięknych czerwienicach. He?

— Sąsiedzie, serdeńko — odparł kupiec — nadstaw no trochę drugie ucho.

Panurg: Do usług.

Kupiec: Jedziesz do kraju Latarników?

Panurg: Coś niby.

Kupiec: Zobaczyć kawał świata?

Panurg: Coś niby.

Kupiec: Wesolo?

Panurg: Coś niby.

Kupiec: A na imię ci, o ile pamiętam, Kuba Tryk?

Panurg: Jak wasza łaska.

Kupiec: Nie chciałem was obrazić.

Panurg: I ja tak rozumiem.

Kupiec: Jesteś, o ile mniemam, błaznem królewskim?

Panurg: Coś niby.

Kupiec: Dawaj łapę! Ha, ha! jedziesz zobaczyć kawał świata, jesteś błazen Króla Imci, imię masz Kuba Tryk; patrzże na tego tryka, na imię mu Kuba, jak i tobie. Kuba, Kuba, Kuba, bee, bee, bee! O, cóż za piękny głosik!

Panurg: Bardzo piękny i harmonijny.

Kupiec. Posłuchaj tedy, jaką ci zaproponuję umowę, miły kumie i przyjacielu. Ty, imieniem Kuba Tryk we własnej osobie, ustawisz się na tej stronie wagi, mój tryczek Kuba po drugiej; zakładam się o setkę ostróg berneńskich, że co do wagi, wartości, szacunku, przeważy ciebie ze wszystkim i huśtnie cię wraz z twą szalką tak wysoko, jak wysoko przyjdzie ci kiedyś huśtnąć się i zadyndać na stryczku.

— Powoli — rzekł Panurg. — Powiadam, że wyświadczysz wielką łaskę mnie i waszemu potomstwu, jeśli zechcesz mi sprzedać tego tryczka albo innego z waszego statka. Proszę was bardzo o to, panie signor.

Przyjacielu — odparł kupiec — sąsiedzie, serdeńko; z welny tych baranów wyrabia się najcieńsze rueńskie sukno; limesterńskie przy nim to jeno prosta gunia. Ze skóry ich sporządza się nadobne trzewiki, które się sprzedają jako trzewiki tureckie albo montelimarekie, albo już co najmniej hiszpańskie. Z kieszek ukręci się struny na skrzypce i harfy, które rozprzedaje się tak

drogo, jak gdyby były rodem z Munikanu albo Akwilei. Cóż ty na to?

— Jeśli wasza łaska — rzekł Panurg — sprzedajcie mi jednego barana, a chcę być przez całe życie waszym najpokorniejszym sługą. Patrzcie tu, oto gotowe pieniądze. He?

To mówiąc potrząsnął sakiewką pełną nowych złotych henryków.

VII. Dalszy ciąg targu pomiędzy Panurgiem a Jendorkiem

— Mój przyjacielu — odparł kupiec — mój kmotrze, serdeńko, toć to smakołyk dla samych książąt i królów. Mięsko jest tak delikatne, tak soczyste i smaczne, że to istny balsam. Wiozę je z kraju, gdzie świnię (odpuść mi Boże) jadają samą gałkę muszkatu. Maciory w połogu (z przeproszeniem towarzystwa) karmią się jeno kwiatem pomarańczowym.

— Wierzę — rzekł Panurg — ale sprzedajcie mi jedną sztukę, a zapłacę wam po królewsku, słowo piechura. He?

— Przyjacielu odparł kupiec — sąsiedzie, serdeńko, trzeba ci wiedzieć, że te barany pochodzą wszystkie z rasy tego, który niósł niegdyś Phryksusa i Hellę przez morze zwane Hellespontem.

— Psiakość — rzekł Panurg — widzę, że z was szczery *clericus vel adiscens*.

— Ita, kwita, kopusta, *vere* świnia jest tłusta — odparł kupiec. — Hej, hej rr, rrr, rrr, rrr. Ho, Trysiuniu, rr, rr, rr. Nie rozumiesz tej mowy. Jeszcze jedno. Gdziekolwiek w polu się zeszczają, zboże się udaje, jak gdyby sam Pan Bóg tam oddał wodę. Nie trzeba innego gnoju ani nawozu. Więcej jeszcze. Z uryny ich wyciągają kwintesencyści najprzedniejszą saletrę pod słońcem. Za pomocą ich łajna (niech was to nie mierzi) lekarze naszego kraju leczą siedemdziesiąt osiem rodzajów chorób. Najlejsza z nich to choroba św. Eutropy z Ksaintes, od której niech

nas Bóg strzeże i chroni. Cóż ty na to, sąsiedzie, przyjacielu, serdeńko? Ale też kosztują mnie słono.

— Niech kosztują, kiedy warte — odparł Panurg. — Sprzedaj mi jednego ino, zapłacę dobrze.

— Mój przyjacielu — rzekł kupiec — sąsiedzie, serdeńko, popatrz no na te cuda natury, jakie objawiają się w cnym bydłatkach, i to w członku, który mógłby ci się zdawać bezużyteczny. Weź no mi te rogi, utłucz no mi je trochę tłukiem z żelaza albo stęporem kuchennym: czym ci się żywnie podoba. Potem posiej je w słonecznym miejscu, gdzie ci się zda, i często podlewaj. W niewiele miesięcy ujrzysz, jak wyrosną z nich najwyborniejsze szparagi. Nie oddałbym ich nawet za raweńskie. He? cóż wy na to? czy wasze rogi, panowie rogale, mają tak cudowne przymioty i własności?

— Powoli — odparł Panurg.

— Nie wiem — rzekł kupiec — czyś ty jest uczony, serdeńko. Widziałem wielu uczonych, powiadam wysoce uczonych, a przy tym rogalów. Ojoj! Com ja to chciał powiedzieć? Aha, jeżeli jesteś uczony, musi ci być wiadomo, że w dolnych odnóżach tych boskich zwierząt, to jest nogach, jest jedna kość, to nazywa się pięta, *astragalus*, jeśli wolicie. Tą kością (nie zaśię z żadnego innego zwierzęcia, oprócz osła indyjskiego i gazel libijskich) grywano za dawnych czasów w królewską grę w piątkę, w którą cesarz Oktawian August wygrał jednego wieczora więcej niż 50 000 talarów. Wy, rogale, długo moglibyście trykać waszymi rogami, za czym byście tyle wytrykali.

— Powoli — rzekł Panurg. — Ale dobijajmy targu.

— A kiedy dopiero — rzekł kupiec — zacznę wam, mój przyjacielu, kumie, serdeńko, godnie chwalać członki wewnętrzne! łopatki, dyszek, boczek, cynaderki, bruścik, wątróbkę, śledzionę, flaki, ozorek, pęcherz wyborny do gry w piłkę, żeberka, z których w Pygmii robią proce, aby strzelać pestkami z wiśni do żurawi; głowę, z której przy odrobinie siarki robi się

czarodziejski odwar, aby pobudzić do bejania psy cierpiące na zatwardzenie...

— I co jeszcze? g...a do równa — rzekł kapitan okrętu zbliżając się. Dość już mielenia ozorem. Sprzedaj, jeśli masz wolę, a jeśli nie masz, nie kręć mu głowy.

— Niechaj więc będzie — odparł kupiec — dla waszej przyjaźni. Ale musi mi zapłacić trzy turneńskie funty za sztukę do wyboru.

— To dużo — rzekł Panurg. — W naszych stronach dostalibyśmy pięć, ba, sześć sztuk za tyle pieniędzy. Bacz, aby to nie było za dużo. Znałem już niejednego, co to nazbyt rychło chcąc się stać bogatym, upadł na wznak w ubóstwie, a nieraz i kark skrzył.

— Niechże cię febra ściśnie — rzekł kupiec — ty głupcze, pało zatracona! Na pępek świętego Kapistrana, toć najlichszy z tych baranów wart jest cztery razy więcej niż najwspanialszy z owych, które niegdyś Koraksowie w Tudytanii hiszpańskiej sprzedawali sztuka w sztukę po talencie złota. A jak ty myślisz, ty głupcze, mospanie tani kupcze, ile wart był talent złota?

— Czcigodny panie — rzekł Panurg — zagrzaście się w waszym chomacie, o ile widzę i miarkuję. Dobrze tedy, oto pieniądze, bierzcie.

Panurg, zapłaciwszy umówioną cenę, wybrał spośród całego stada pięknego i dużego tryka i uprowadził go z sobą krzyczącego i beczącego; zasię wszystkie inne słysząc jego beczenie zaczęły też pobekiwać i oglądać się, dokąd to wiodą towarzysza. Tymczasem kupiec mówił do owczarzy:

— Ha! jak on dobrze umiał wybrać, ten kupiec! Rozumie się hycel na towarze. Jak mi Bóg miły, tego właśnie przeznaczyłem dla pana Kankala, znam bowiem, co mu jest do smaku. Taką ma ten dobry pan przyrodę, iż bardzo rad jest i wesół, kiedy trzyma w garści soczystą i smaczną łopatkę barania, jakoby rakiętę do gry w piłkę; do tego dajcie mu ostry nóż, a Bóg świadkiem, co on za cudów dokaże!

VIII. Jako Panurg utopił w morzu kupca i barany

Nagle, nie wiem sam jak, stało się bowiem tak szybko, iż nie mogłem tego postrzec, Panurg, nie mówiąc ni słowa, rzucił w pełne morze krzyczącego i beczącego tryka. Wszystkie inne barany, krzycząc i becząc z tego samego tonu, jęły sznurkiem, jeden po drugim, skakać i zanurzać się w morze. Powstał tłok na pokładzie, który pierwszy skoczy za swoim towarzyszem. Nie było sposobu ich wstrzymać, jak wiecie, iż przyroda barania każe mu zawsze iść za przodownikiem, gdziekolwiekby ów szedł. Powiada też Arystoteles: *lib. IX., de Histor. anim.*, iż jest to najgłupsze i najtępsze zwierzę w świecie.

Kupiec, całe przerażony tym, iż w jego oczach giną i topią się piękne barany, próbował im przeszkodzić i zatrzymać je z całej mocy. Ale próżno. Wszystkie sznurkiem skakały do morza i ginęły. Kupiec w rozpacz chwycił jednego, dużego i mocnego tryka za welnę, jeszcze na pokładzie, w nadziei, iż go wstrzyma i tym samym ocali resztę. Ale baran był tak mocny, iż porwał za sobą kupca w morze i utopił go, w podobny sposób, jak barany Polifema, ślepego cyklopa, wyniosły z jego jaskini Ulissesa i towarzyszków. Ten sam los spotkał pasterzy i owczarzy chwytających je za rogi, za nogi, za welnę. I wszyscy podobnie wpadli do morza i poginęli nędzną śmiercią.

Panurg, stojąc koło kuchni okrętowej i trzymając w ręku wiosło (nie aby pomóc owczarzom, ale aby im przeszkodzić, gdyby chcieli się ratować i czepiać pokładu), przemawiał do nich ozłobnie niby wymowny kaznodzieja, przedstawiając im retorycznymi figurami nędzę doczesnego świata, smak i błogosławieństwo drugiego życia, twierdząc, iż szczęśliwsi są ci, co pomarli, niżli pozostali przy życiu na tym padole, i każdemu z nich obiecując wznieść piękny nagrobek i chlubny monument na najwyższym szczycie góry Cenis, skoro tylko wróci z krainy Latarników; w razie wszelako gdyby ich nie mierziło jeszcze życie między śmiertelnymi i utopienie zdało się im nie

w porę, życzył im pomyślnego ocalenia i spotkania jakiego wieloryba, który by trzeciego dnia wydalil ich z siebie zdrowych i całych w jakim błogosławionym kraju, kosztem Jonasza.

Skoro okręt opróżnił się z kupca i baranów, rzekł Panurg:

— Zali została tu jeszcze jaka żywa dusza barania. Ha, tom wam pokazał starą sztuczkę wojenną. Jak ci się to podoba, bracie Janie?

— Z całym respektem — odparł brat Jan. — Wszystko w porządku; zdaje mi się jeno, że jak niegdyś w czasie wojennym był zwyczaj w dniu bitwy albo też szturmury przyrzekać wojakom za ten dzień podwójną płacę (jeśli wygrali bitwę, było z czego zapłacić; jeśli przegrali, wstyd było żądać, jako uczynili Grujersey zmykacze po bitwie pod Seryzolem); tak samo i ty powinienes być schować zapłatę na koniec, a pieniążki zostałyby ci w kalecie.

— Usrać się na pieniądze — odparł Panurg. — Do kroćset czartów, ubawiłem się za więcej niż pięćdziesiąt tysięcy. A teraz jazda! wietrzyk dmucha jak zamówiony. Słuchaj no, bracie Janie. Nigdy człowiek nie uczynił mi czego dobrego, żebym mu nie odplacił lub przynajmniej nie zachował o tym pamięci. Nie jestem niewdzięcznikiem, nie byłem i nie będę. Ale znowuż nigdy mi nikt nie dopiekł, aby nie pożałował tego na tym świecie albo na tamtym. Bajbardzo bowiem też ze mnie nie jest.

— Za to — odparł brat Jan — sam żeglujesz prostą drogą w czeluście piekieł, nikiej stary diasek. Napisano jest: *Mihi vindictam, etc.* Tak stoi w brewiarzu.

IX. O tym, jako Pantagruel przybył do wyspy Płaskonosów i o szczególnych pokrewieństwach w tym kraju

Zefir był nam wciąż wierny z domieszką południowego wietrzyka i przewędrowaliśmy dzień nie spostrzegłszy ziemi. Trzeciego dnia, o komarzym świecie, ukazała się nam wyspa trójkątna, bardzo podobna z kształtu i położenia do Sycylii. Nazywano ją

Wyspą Krewniaczą. Mężczyźni i kobiety podobni byli do rudych Poltweńczyków, z tą odmianą, że wszyscy, mężczyźni, kobiety i małe dzieci, mieli nosy w kształcie treflowego asa. Dla tej przyczyny starodawne miano wyspy było Płaskonozja. I byli wszyscy spokrewnieni i spowinowaceni z sobą, jak sami się chęlpili, i podesta tamtejszy rzekł nam swobodnie:

— Wy, ludzie z innego świata, uważacie za rzecz zadziwiającą, iż z jednej rodziny rzymskiej (byli to Fabiusze) jednego dnia (trzynastego lutego) przez jedną bramę (Brama Karmen-talska, położona niegdyś u stóp Kapitolu, między Skalą Tarpejską i Tybrem, później nazwana Scelerata) przeciw pewnym nieprzyjaciołom Rzymu (Wejentowie Etruscy) wyruszyło trzystu sześciu uzbrojonych rycerzy, wszystkich krewnych między sobą, z pięcioma tysiącami żołdactwa, swych wasali, którzy wszyscy polegli (było to koło rzeki Kremery, wypływającej z Bakańskiego Jeziora). Z tego kraju w jednej potrzebie wojennej wyruszyło więcej niż trzysta tysięcy samych krewnych i z jednej rodziny.

Ich pokrewieństwa i powinowactwa były bardzo osobliwego rodzaju: chociaż bowiem wszyscy byli sobie krewni i bliscy, zauważyliśmy, iż nikt nie był nikomu ojcem ani matką, bratem ani siostrą, wujem ani ciotką, kuzynem ani siostrzeńcem, zięciem ani synową, chrzestnym ojcem ani matką. Jednego tylko spotkaliśmy wyniosłego starca płaskonosą, który, jak sam widziałem, mówił do małej dziewczynki, w wieku trzech lub czterech lat: mój ojciec; dziewczynka zwała go swoją córusią.

Pokrewieństwo i związki pomiędzy nimi polegały na tym, iż jeden z nich nazywał kobietę: moja flądrowa; kobieta nazywała go: mój sztokfisz.

— Tych dwoje — rzekł brat Jan — musi być dobrze czuć solą, kiedy pocierają o się swoje sadła.

Jeden wołał z uśmiechem do jakiejś ładnej dziewczyny: „Dzień dobry ci, moja kabzo“. Ona pozdrowiła go wzajem, mówiąc: „Dzień dobry ci, mój dukacie“.

— Hu, hu, hu — wykrzyknął Panurg — chodźcie zobaczyć, do kata, tego dukata i kabzę, jak się ją nabija. A ile dukaków pomieścisz w sobie, kabzuniu?

Inny pozdrowił lubkę mówiąc: „Bywaj, moja Izbo!“ odparła: „Bywaj, mój procesie“.

— Na świętego Tryniana — rzekł Gymnastes — ten proces musi często przetrząsany być w owej Izbie.

Inny nazywał znów drugą swoją muterką. Ona go nazywała swoim świderkiem. Inny pozdrowił swą gołąbkę: „Pomagaj Bóg, moja siekierko“. Ona odparła: „I tobie, moje drzewce“.

— Do kroćset czartów — wykrzyknął Karpalim — jakże to? czy tę siekierkę nawdziewa się na drzewce, czy też drzewce wbija się w tę siekierkę?

Przechodząc mimo ujrzałem jakiegoś draba, który pozdrawiając miłą nazywał ją swą beczulką, ona zaś jego swoim czopem. Jakoż i wyglądał na szczerego czopa. Jeden nazywał drugą swoją skórką, ona jego swoim ośrodkiem. Jeden drugą nazywał swoim kominem, ona jego swoją miotłą. Jeden drugą swoim sabotem, ona jego swoim pantoflem. Jeden drugą swoim bucikiem, a ona go swoim chodaczkiem. Jeden nazywał drugą swoją mitenką, ona go zwała swoim zarękawkiem. Wedle podobnego pokrewieństwa jeden nazywał swoją duszkę omletem, a ona jego jajkiem; i byli w powinowactwie jak omlet z jajkami. Inny pozdrawiając swoją rzekł: „Witaj, moja skorupko“. Ona mu odparła: „I ty, moja ostrzyżko“.

— Nielacno — rzekł Karpalim — musi być wydłubać tę ostrzyżkę z jej skorupki.

Inny znowuż pozdrawiał swoją mówiąc: „Szczęść Boże, mój strączku“. Ona odparła: „Pomagaj Bóg, groszku“.

— Można odtąd mówić — rzekł Gymnastes: — „Szczęśliwy jak groch w strączku“.

Inny jakiś obwieś spod ciemnej gwiazdy, krocząc na wysokich drewnianych chodakach, spotkawszy grubą, krótką i tłustą

dziewczynę rzekł jej: „Niech Bóg cię strzeże, mój bączku“ Odparła mu ostro: „Nawzajem, mój harapie“.

— Święci niebiescy — rzekł Ksenomanes — czy jest harap dość zwinny, aby zakręcić tym oto bączkiem?

Pewien pięknie wyczesany i utrefiony fircyk porozmawiawszy jakiś czas z dostojną panienką, żegnając się z nią rzekł: „Serdecznie dzięki, dobra mino“. — „I tobie nawzajem, licha gro“.

— Przy lichej grze dobra mina — rzekł Pantagruel — to wcale przyzwoite powinowactwo.

Jakiś szkolarz wędrowny przechodząc rzekł do dziewczątka: „Ho, ho, ho! wieki cię nie widziałem, mój saku“. — „I ja ciebie rada widzę, mój rogu“ — odparła.

— Sparzcie ich razem — rzekł Panurg — i nabijcie tego: będzie ruksak.

Inny nazwał drugą swoją maciorą, ona zaś jego swoim truflem. Z czego mi przyszło na myśl, iż ta maciorka musi pilnie grzebać za tym truflem. Inny znowu, opodał, pozdrowił swą miłą mówiąc: „Dzień dobry, moja podszewko“. Ona pozdrowiła go również, mówiąc: „Dzień dobry ci, mój płaszczu“. Brat Jan rzekł:

— Boję się, aby nie trzasła ta podszewka, kiedy ją będą przyszywać do płaszcza.

Inny znowuż rzekł do swojej: „Bywaj, moja szklenico“. A ona: „Bywaj, mój gąsiorze“.

— Tak mniemam — rzekł Ponokrates — iż ta szklenica często się musi nadstawiać pod szyjkę tego gąsiora.

Jakiś gładosz rozmawiając z młodą sikorką rzekł jej: „Pamiętaj o tym, bździno“. — „Dobrze już, wietrze“ — odparła.

— Cóż to — rzecze Pantagruel do podesty — czy i tych dwoje nazywacie krewnymi? Toć w naszym kraju nie można lepiej obrazić kobiety, niż tak ją przezywać.

— Dobrzy ludzie z tamtego świata — odparł podesta — mało jest u was krewnych takich i tak bliskich jak ten wiatr

i owa bździna. Wyszli niewidocznie oboje z jednej dziury i w jednym momencie.

Dobry Pantagruel wszystko baczył i rozważał, ale to mu się wydawało bardzo dziwne.

X. Jako Pantagruel zawinął do wyspy Szeli i poznał jej króla, świętego Panigona

Południowy wietrzyk popędzał nas z tyłu, kiedy opuściliśmy tych głupawych Pokrewniaków z ich płaskimi nosami, wypłynęliśmy na pełne morze. Gdy słońce miało się ku zachodowi, wylądowaliśmy na wyspie Szeli, dużej, żyznej, bogatej, w której władał król Panigon. Ten, w towarzystwie swych dzieci i książąt swego dworu, udał się aż do portu, aby przyjąć Pantagruela. Wraz zaprowadził go do zamku; u bram zaś pojawiła się królowa w towarzystwie córek i dam dworu. Panigon chciał, aby ona i cały jej orszak ucałowały Pantagruela i jego kompanię. Taka była dworność i obyczaj miejscowy. Jakoż dopełnili tego wszyscy, z wyjątkiem brata Jana, który wymknął się i schował pomiędzy oficyjerów królewskich. Panigon usilnie pragnął zatrzymać Pantagruela na ten dzień i następny. Pantagruel wymówił się ze względu na piękną pogodę i pomyślny wiatr, który częściej jest upragniony podróżnym niż spotykany, i trzeba zeń korzystać, gdy się zdarzy, nie przychodzi bowiem na zawołanie. Na to przedłożenie i po wychyleniu dwudziestu pięciu do trzydziestu kolejek Panigon pozwolił nam odjechać.

Pantagruel wracając do portu i nie widząc brata Jana spytał, kędyby się podziewał i czemu go nie ma wraz z całą kompanią.

Panurg nie wiedział, jak go wymówić, i chciał spieszyć szukać go do zamku, kiedy brat Jan nadbiegł rozpromieniony i z wielką wesołością serca wykrzyknął:

— Niech żyje szlachetny Panigon! Do kroćset spaśnych wołów, ten zna się na kuchni! Idę stamtąd; nie szafuję inaczej niż miskami. Nie omieszkam, wedle obyczaju i rytuału zakonnego, dobrze wymaćścić swojej sakwy brzusznej.

— Zatem, przyjacielu — rzekł Pantagruel — zawsze koło kuchni!

— Do kroćset jader kapłonich — odparł brat Jan — lepiej się rozumiem na tamecznych obyczajach i ceremoniach niż na tym obsrywaniu z babami, *dudli, dudli, sralis mazgalis*, atencja, rewerencja, cmok, cmok, tiu, tiu, całuję rączki waszego Dzieńdobry, waszego majestatu, tiurlulu, tiututiu, gównu Jego Świątobliwości strzyżone w koronkę. Thi, nie powiadam żebym i ja nie pociągnął czasem z tej szklenicy po mojemu, po chłopsku, dobywszy szpuncika, co go zawsze noszę pod rewerendą. Ale to obsrywanie się i mościapannowanie mlierzi mnie jak sto diabłów. Święty Benedykt też tak mniema, a on wcale nie był głupi. Mówicie o cmokaniu panienek; z przyczyny świętego i godnego habitu, który noszę, chętnie usuwam się od tego lekając się, aby mi się nie trafiło toż samo, co się przygodziło panu Gierszy.

— Co takiego? — zapytał Pantagruel — znam go, to jeden z mych najlepszych przyjaciół.

— Zaproszono go — rzekł brat Jan — na bardzo wspaniałą i kosztowną ucztę, którą wydawał sąsiad jego i krewny; zarazem zaproszona była cała szlachta, wszystkie damy i panny z sąsiedztwa. Te oczekując na jego przybycie przybrały paziów w całym zgromadzeniu i ustroiły ich za bardzo strojne i powabne panienki. Gdy ów rycerz wjeżdżał w bramę, paziowie tak wypanieńczeni wyszli naprzeciw niego do zwodzonego mostu. Uściskał ich wszystkich z wielką dwornością i wdzięcznymi pokłonami. W końcu panie, które przyglądały się z kruzganku, wybuchnęły śmiechem i dały znak paziom, aby się rozdiali ze swych wspaniałości. Co widząc ów dobry pan ze wstępu i rankoru nie chciał już ucałować owych rzetelnych pań i pa-

nien; przytaczając, iż skoro tak mu poprzebierano paziów, to i te, do kroćset psich zadków, muszą być szczere pacholki jeszcze zmyślniej poprzebierane.

Bożeż ty miłosierny, *da iurandi*, i czemu raczej nie przenieść wszystkich naszych akademii do pięknej kuchenki bożej? Czemu tam nie podziwiać w zachwyceniu obracania różnów, harmonii patelniów, nadobnych kształcików, słoninki do szpikowania, pomiernej temperatury polewki, przygotowań do wetów, porządku dań, wina. *Beati immaculati in via*. Tak jest napisano w brewiarzu.

XI. Czemu mnichy rade przebywają w kuchni

— To się nazywa — rzekł Epistemon — mówić jak szczerzy mnich. W istocie przywodziś mi na pamięć to, co widziałem i słyszałem we Florencji przed jakimi dwudziestoma laty. Była nas ładna kompania ludzi chciwych wiedzy, miłośników podróży, żarliwych w odwiedzaniu uczonych mężów, w badaniu starożytności i osobliwości Italii. I wówczas pilnie studiowaliśmy położenie i piękności Florencji, budowę katedry, wspaniałości świątyń i pysznych pałaców. I kiedy tak mierzyliśmy się z sobą, który z nas zdatniej potrafi wysławić je godnymi pochwałami, pewien mnich z Amiens, imieniem Bernard Spyrka, wyraźnie zgniewany i podrażniony, rzekł do nas: „Ja nie wiem, co wy, u diaska, widzicie tutaj tyle do chwalenia. Przyglądałem się tak dobrze jak i wy i nie jestem bardziej ślepy od was. I ostatecznie, cóż tu jest? Ładne domy. To i wszystko. Ale niechaj Bóg i święty Bernard, nasz dobry patron, będą mi tak ku pomocy, jeśli w tym mieście widział bodaj jedną traktiernię; a pilniem patrzył i rozglądałem się. Ba, powiedziałam wam, że sumiennie się przyglądałem, niby ktoś wysłany na przeszpiegi, gotów liczyć i karbować, tak po prawej jak po lewej ręce, ile i po której stronie więcej napotkam smakowitych traktierni. U nas w Amiens, na drodze cztery albo trzy razy krótszej niż ta, którą

przebyliśmy w naszych kontemplacjach, mógłbym wam pokazać więcej niż czternaście starożytnych i pięknie woniejących gar-kuchni. Nie wiem, co za przyjemność sprawiło wam oglądać owe lwy i afrykany (tak, zdaje mi się, nazywaliście to, co oni nazywają tygrysy) koło strażnicy; podobnie one jeżozwierze i strusie w palacu pana Filipa Strozzi. Na honor, moi ludkowio, wołałbym ujrzeć piękną i tłustą gaskę na rożnie. Te porfiry, te marmury piękne są, pewnie. Nie przyganiam im; ale kiszki amieńskie więcej są wedle mego smaku. Te starożytne posągi dobrze są odrobione, nie będę się sprzeczał; ale na świętego Bandziocha, patrona gęsiej wątroby, młode dziewczuszki w naszych stronach sto razy bardziej są apetyczne“.

— Co to oznacza i skąd się bierze — rzekł brat Jan — że zawsze spotkacie w kuchni mnicha, a nigdy nie ujrzycie tam królów, papieży ani cesarzy?

— Czy to jest — odparł Rizotomos — jakaś tajemna siła i specyficzna własność ukryta w rondlach i patelniach, która przyciąga do się mnichów jak magnes żelazo; nie przyciąga zaś cesarzy, papieży ani królów? Czy też to jest indukcja i przyrodzona skłonność zrośnięta z habitami i kapturami, która sama z siebie prowadzi i popycha dobrych zakonników do kuchni, bez żadnej intencji i zamiaru z ich strony?

— Ma na myśli — rzekł Epistemon — formy, które idą za materią. Tak je nazywa Awerroes.

— Juści, juści — rzekł brat Jan.

— Opowiem wam coś — rzekł Pantagruel — nie odpowiadając na rzucone zagadnienie, jest bowiem nieco drażliwe i trudno by wam było dotknąć go nie pokłuszy palców. Otóż, przypominam sobie, czytałem, że Antygonus, król Macedoński, wszedłszy jednego dnia do kuchni obozowej i spotkawszy tam poetę Antagorasa, który smażył węgorza morskiego i sam trzymał patelnię, spytał żartując wesoło: „Zali Homer smażył węgorze, kiedy spisywał bohaterskie czyny Agamemnona?“ — „A czy sądzisz — odparł Antagoras — że Agamemnon, kiedy do-

konywał tych czynów, miał czas troszczyć się o to, czy kto w obozie smaży węgorze?" Królowi zdało się nieprzystojnym, że w jego kuchni poeta trudni się takim rzemiosłem. Poeta zwrócił mu uwagę, iż spotkać króla w kuchni jest rzeczą bardziej niegodną.

— Pobię was — rzekł Panurg — opowiadając, co Bretończyk Willander odpowiedział raz księciu panu Gizowi. Rozmawiali właśnie o jakiejś bitwie króla Franciszka przeciw cesarzowi Karolowi Piątemu, w czas której Bretończyk był bardzo grzecznie upancerzony, ba, zgoła unagolenniczony i uostrożony, konia też miał zacnego pod sobą, nie widziano go wszelako w bitwie. „Na mą cześć — odpowiedział Bretończyk — byłem tam, łatwo mi to będzie dowieść, jeno w miejscu, w którym nie śmielibyście się pokazać“. To słowo nie spodobało się księciu panu, jako nazbyt pyszne i zbyt lekce rzucone; za czym widząc kozła na jego czole Bretończyk, ku wielkiemu śmiechu obecnych, łącno go uśmierzył mówiąc: „Byłem między furgonami; w którym miejscu Wasza Wysokość pewnie nie chciałby się ukrywać, jako ja czyniłem“.

Wśród takiej gawędki zbliżyli się ku okrętom. I dłużej już nie pozostali na tej wyspie Szeli.

XII. O tym, jak Pantagruel przebył Prokurację i o szczególnych obyczajach Pozwańców

Wędrując dalej naszym szlakiem przebyliśmy następnego dnia Prokurację, krainę całą zabazgraną i pokreśloną. Nie mogłem się wyznać w tym kraju. Tam ujrzeliśmy Prokuperków i Pozwańców, ludzi obrosłych grubą szczecią. Nie poczęstowali nas ani jadłem, ani napitkiem. Jeno mnożąc w nieskończoność uczzone pozdrowienia oznajmili, iż wszyscy są do naszych usług, rozumie się za wynagrodzeniem. Jeden z tłumaczy opowiedział Pantagruelowi, jako ten naród zarabia na życie w sposób bardzo osobliwy i najzupełniej sprzeczny zwyczajom Romiko-

lów. W Rzymie mnóstwo ludzi zarabia na życie truciem, mordowaniem i zabijaniem. Pozwańcy zarabiają na życie tym, że bywają bici. Tak iż jeżeli dłuższy czas nikt ich nie obije, giną nędznie z głodu, oni, żony ich i dzieci.

— To — powiedział Panurg — tak samo jak ci, którzy, wedle Cl. Galena, nie mogą nerwu jamistego wyprężyć ku obręczy ekwatoriálnej, jeżeli ich porządnie nie oćwiczyć. Na świętego Tybota, gdyby mnie tak kto oćwiczył, ten by mi właśnie, cał przeciwnie, ochwacił przyrodę do wszystkich diabłów.

— Obyczaj — rzekł tłumacz — jest taki: kiedy mnich, ksiądz, lichwiarz albo adwokat ma złość do szlachcica w tym kraju, posyła doń jednego z owych Pozwańców. Pozwaniec go pozowie, zacytuje, oszczeka, zelży bezecnie, wedle swego stanu i instrukcji; tak iż szlachcic, jeśli nie jest sparaliżowany na rozumie i bardziej dumny niż ciołek folwarczny, musi wyspać mu kije i wyplazować go po łbie albo rzemieniem po łydkach, albo wyrzucić przez okno zamkowe. Co gdy się stanie, oto Pozwaniec z bogacił się na cały kwartał. Jak gdyby kije i batogi były jego przyrodzonym żniwem. Otrzyma bowiem od mnicha, lichwiarza czy adwokata bardzo piękną zapłatę, od szlachcica zaś odszkodowanie niekiedy tak ogromne i nieumiarkowane, iż szlachcic postradał całe swoje mienie. Inaczej trzeba mu nędznie zgnić w więzieniu, jak gdyby uderzył samego króla.

— Przeciw takiej niegodziwości — rzekł Panurg — wiem bardzo dobre lekarstwo, którym posługiwał się pan Buś.

— Jakie? — spytał Pantagruel.

— Pan Buś — rzekł Panurg — był to człek dzielny, pocciwy, wspaniałomyślny, rycerski. Otóż wróciwszy z długiej wojny, w której książę Ferrary, wspierany przez Francuzów, dzielnie bronił się przeciw furii papieża Juliusza Drugiego, codziennie był pozywany, cytowany, nękan, wedle ochoty i zabawy tłustego przeora od Świętego Wawrzyńca.

Jednego dnia, gdy śniadał ze swoim dworem (jako iż pan był dobry i ludzki), posłał po swego piekarza, zwanego Lora, i po

jego żonę, i wraz po proboszcza, nazwiskiem Udar, który mu służył za szafarza, jak to był wówczas obyczaj we Francji. I rzekł im w przytomności dworskiej szlachty i innych domowników: „Dzieci, widzicie, do jakiego utrapienia przywodzą mnie te hultaje Pozwańce; do tego doszło, iż jeśli mi nie pomożecie, myślę opuścić kraj i wynieść się do sułtana albo do wszystkich diabłów. Otóż kiedy najbliższy raz tu przyjdą, bądźcie gotowi, ty, Lora, i twoja żona, zjawić się w wielkiej sali w pięknych weselnych szatach, jak gdyby to były wasze zrękowiny i jakbyście byli dopiero zmówieni. Macie sto złotych talarów; daję je wam, byście się zaopatrzyli w odświętną przyodziewę. Wy, księżę proboszczu, nie zaniechajcie również pojawić się w najpiękniejszej komży i stule, z wodą święconą, jakoby gotowy ich skojarzyć. Ty także, Trudonie (tak się nazywał tulumbasista), bądź w pogotowiu z fletem i bębniem. Skoro padną słowa błogosławieństwa i oblubienica dostanie buziaka, wówczas przy dźwięku bębna zaczniecie sobie wzajem rozdawać pamiątki weselne, to znaczy co nieco kuksańców, jako jest obyczaj. To wam tylko doda apetytu do wieczerzy. Ale kiedy padnie na Pozwańca, młóćcież twardo nikię w zielone żyto, nie szczędźcie pięści. Walcie, tłuczcie, bijcie, proszę was o to. O, macie tu, weźcie sobie po rękawicze żelaznej obciążonej koźlą skórką. Grzmóćcie bez rachuby, na prawo i lewo. Kto lepiej będzie walił, będę go uważał za życzliwszego sługę. A pamiętajcie rozdawać te kuksy śmiejący, wedle obyczaju przestrzeganego przy zrękowinach“.

„Tak, ale — rzekł Udar — po czym poznamy tych Pozwańców? Toć że tu, w pańskim domu, wciąż pełno bywa ludzi ze wszystkich stron?“

„Już zarządziłem — odparł pan Buś. — Kiedy do bramy tutaj przybędzie jaki człowiek albo pieszo, albo na lichej szkapie, z dużym i szerokim srebrnym pierścieniem na kciuku, to będzie Pozwaniec. Odźwierny, wprowadziwszy go uprzejmie, pociągnie

za dzwonek. Tedy bądźcie gotowi, i na znak spieszcie do sali odegrać tragiczną komedię, którą wam wyłożyłem.“

Tegoż samego dnia, jakby umyślnym zrządzeniem boskim, przybył do zamku stary, gruby i czerwony Pozwaniec. Skoro zadzwonił do bramy, odźwierny poznał go po grubych i tłustych buciskach, lichej kobyle, płóciennym worku pełnym cytacyj u pasa, a zwłaszcza po grubym srebrnym pierścieniu na lewym kciuku. Przyjął go grzecznie, wprowadził skwapliwie, z radością i pociągnął za dzwonek. Na ten dźwięk Lora i jego żona przystroili się w odświętne szaty i z poważnym obliczem wkroczyli na salę. Udar przybrał się w komżę i stulę, a wychodząc ze swej kancelarii natknął się na Pozwańca. Za czym zawiódł go do kancelarii z powrotem, napił obficie (wszyscy tymczasem pilnie wkładali rękawice) i rzekł: „Nie mogliście się zjawić w szczęśliwszą godzinę. Nasz pan w doskonałym humorze; będziemy hulać co wlezie i spuszczać wino garncami: właśnie idziemy do ślubu; macie, pijcie, weselcie się“.

Gdy Pozwaniec tak popija, pan Buś widząc, iż wszystko przygotowane jest jak należy, posyła po Udara. Księżyna spieszy co żywo, niosąc święconą wodę. Pozwaniec za nim. Wchodząc do sali skłonił się uniżenie każdemu po kolei, po czym odczytał pozew panu Busiowi. Pan Buś przyjął go jak najuprzejmiej; dał dukata za fatygę i zaprosił, aby zechciał być świadkiem kontraktu i zaślubin. Tak się też stało. Pod koniec zaczęły fruwać tam i sam kuksańce; kiedy zaś przyszła kolej na Pozwańca, uraczyli go tak grzecznie onymi rękawiczkami, iż został na placu cały ogluszony i potłuczony, z okiem podbitym na czarno, z ośmioma nadłamanymi żebrami, wgniecionym mostkiem, łopatkami rozlupanymi na czworo, szczęką dolną na trzy kawałeczki, a wszystko wśród zabawy i śmiechu. Bóg widzi, jak dobry księżyna Udar tam pracował, rękawem komży zakrywając dużą kutą rękawicę wypchaną gronostajem, był bowiem chłop siarczysty.

Tak powrócił na wyspę Pozwaniec, pocętkowany jak tygrys; bardzo wszelako zadowolony i rad z pana Busia; i dzięki pomocy zdatnych chirurgów okolicznych żył jeszcze tyle, ile sami chcecie. I nie było już o tym więcej mowy. Pamięć wydarzenia zamarała z dźwiękiem dzwonów, które przygrywały na jego pogrzebie.

XIII. Jako, za przykładem mistrza Franciszka Wilona, pan Buś chwali swoich ludzi

Skoro Pozwaniec opuścił zamek i wsiadł z powrotem na ślepą kobylę, pan Buś kazał zwołać żonę, dzieci i czeladź do cieniastej altany; kazał przynieść wina, zastawić obficie pasztetów, szynkę, owoców i sera, przepił do nich bardzo rad i wesół, po czym rzekł:

„Mistrz Franciszek Wilon osiadł sobie na stare lata w Św. Maksancie w Polcie, pod opieką zacności czleka, miejscowego proboszcza. Tam, aby dać nieco zabawy ludowi, umyślił odegrać Pasję w gwarze półtweńskiej. Skoro rozdano role, zgromadzano aktorów, przygotowano scenę, oświadczył wójtowi i ławnikom, iż widowisko może być gotowe pod koniec jarmarku; trzeba jedynie wystarać się o stosowne przebrania dla grających. Wójt i ławnicy zakrzętnęli się duchem. Zasię mistrz Wilon ze swej strony, szukając przebrania dla starego wieśniaka, który miał grać Boga Ojca, poprosił brata Stefana Walizada, zakrystiana miejscowych franciszkanów, aby mu pożyczył kapy i stuły. Brat Stefan odmówił powołując się na to, iż wedle zakonnych przepisów, surowo jest zabronione cokolwiek dawać albo pożyczać grającym. Wilon odpowiedział, iż ustawy te mają na myśli jeno grających krotofile, błazeństwa i płocze widowiska, jako to widywał w Brukseli i indziej. Mimo to Walizad odparł stanowczo, aby szukał sobie gdzie indziej, jeśli ma wolę, a niczego nie spodziewał się z zakrystii, z pewnością bowiem nic nie uzyska. Wi-

lon zawiadomił o tym grających z wielkim oburzeniem, dodając, iż niebawem dosięgnie Walizada zemsta boża i przykładna kara.

Następnej soboty Wilon dowiedział się, iż Walizad na jałowie klasztornej (tak nazywali klacz nie postanowioną przez ogiera) wybrał się po kweście do Św. Ligiery i że będzie z powrotem o drugiej po południu. Za czym na placu targowym urządził wielką rewię swoich diabłów. Wszystkie były pięknie odziane w cielece i baranie skóry, ozdobione łbami baranami, rogami wołowymi i wielkimi kuchennymi pogrzebaczami; opasane rzemieniami, u których wisiały duże dzwonki krówskie i dzwoneczki mule, wydające straszliwy hałas. Jedne diabły trzymały w rękach czarne kije ubabrane w sadzy, drugie niosły rozżarzone gównie i raz po raz ciskały na nie pełnymi garściami sproszkowaną żywicę, z czego powstawał płomień i dym straszliwy. Oprowadziwszy ich tak z wielkim ukontentowaniem gapiów i przestraszeniem małych dzieci, w końcu zawiódł ich na ucztę do gospody, tuż przy bramie, którą prowadzi droga do Św. Ligiery. Zbliżając się do gospody z dala spostrzegł Walizada powracającego z kwesty i rzekł do towarzyszy wierszem makaronicznym:

*His est de patria, natus de gente szubrawa,
Qui solet antiquo resztkas portare tornistro.*

„Do kroć czartów! (rzekły na to diabły) nie chciał pożyczyc mizernej kapy Bogu Ojcu; napędźmyż mu strachu co wlezie”. — „Dobrze powiedziano — rzekł Wilon; — owo ukryjmy się, aż będzie przechodził koło nas, i nagotujcie race i gównie”. Jakż skoro Walizad przybliżył się do zasadzki, wszyscy wypadli naprzeciw niemu, czyniąc wielki tumult, ziejąc ogniem ze wszystkich stron na niego i jego kobylę, potrząsając dzwonkami i wyjąc jak szczere diabły: „Hu! hu! hu! brru! brrubrru, rrru, rrru. Hu, hu, hu. Ho, ho, ho. Hej, bracie Stefanie, zali nie dobrze przedstawiamy diabłów?”

Kobyła, wielce przerażona, zaczęła płoszyć się, pędzić, skakać, wierzgać, stawiać dęba i galopować popierdując z przestraschu, tak iż zrzuciła na łeb Walizada, mimo iż dzierzył się lęku z całej mocy. Strzemiona były z postronków: owóz z tej strony, z której się wsiada, sandał mu się zaplątał, tak iż nie mógł go wydobyć. I tak go wlekła kobyła zadkiem po ziemi, coraz niespokojniej wierzgając i gnając ze strachu przez rowy, krzaki i chaszcze. Aż wreszcie rozwalila mu zupełnie głowę i mózg wypadł z niej na ziem, wpodłe przydrożnego krzyża, potem ramiona poszły w kawałki, jedno tu, drugie tam, nogi też samo; potem flaki wlekły się i ciągnęły po kamieniach, tak iż gdy wreszcie kobyła dobiegła do klasztoru, doniosła z furtiana już tylko prawą nogę i trzewik uwikłany w postronki.

Ujrawszy Wilon, iż stało się to, co przypuszczał, rzekł swoim diabłom: „Dobrze będziecie grali, panowie diabli, dobrze będziecie grali, ręczę. Hej, hej, jak wy to zagracie! Wzywam całe diabelstwo z Somuru, z Dowy, z Momerylionu, z Langry, z Andziaru, ba nawet z Poltiru, zali mogliby się mierzyć z wami. Hej, hej, jak wy to zagracie“!

„Tak i ja — rzekł pan Buś — przewiduję, dobrzy przyjaciele, iż na przyszłość zagracie dobrze tę tragiczną farsę, zważywszy, iż przy pierwszym ćwiczeniu i próbie tak sumiennie przygrzaliście, pogłaskali i polaskotali owego Pozwańca. Od tego dnia podwajam wszystkim płacę. Ty, moja duszko (rzekł do żony), rządz się, jak ci się podoba. Masz w swoich ręku i pieczy wszystkie moje dostatki. Co do mnie, przede wszystkim piję do was, dobrzy przyjaciele. Ot co, w wasze ręce, pićcie, póki dobre i chłodne. Następnie ty, kredencarzu, weź tę srebrną miszkę, daję ci. Wy giermki, weźcie te dwa złocene puchary. I żebyście mi trzy miesiące pofolgowali pażiom z ćwiczeniem skóry. Moja duszko, daruj im moje białe pióra ze złotą zapinką. Książę Udarze, niech wam służy ta srebrna kruża. Tę drugą daję kucharzom; pokojowcom ten srebrny koszyk; koniuszym te złocene wazon; odźwiernym te dwa talerze; mulnikom tych dziesięć

miseczek. Gertrudo, weź sobie łyżki srebrne i tę cukiernicę; wy, pacholki, weźcie tę wielką solniczkę. Służcie mi dobrze, przyjaciele, a będę się umiał odwdziżyć; i wierzajcie mocno, iż, jak mi Bóg miły, wolałbym w bitwie dostać sto razy koncerzem po szyszaku w służbie naszego dobrego króla, niż raz być zacytowanym przez obwiesiów Pozwańców, z łaski na uciechę tego pasibrzucha przeora“.

XIV. Dalszy ciąg młocki Pozwańców w domu pana Busiowym

W cztery dni później przybył inny, młody, wysoki i chudy Pozwaniec, aby zacytować pana Busia z polecenia tegoż przeora. Skoro się zjawił, odźwierny poznał go natychmiast i uderzył w dzwon. Na ten dźwięk cały zamek wiedział już, o co chodzi. Lora miesił właśnie ciasto, żona przesiewała mąkę. Ksiądz Udar pisał w kancelarii. Szlachta dworska zabawiała się grą w palanta. Pan Buś grał w warcaby ze swą magnifiką. Panny grały w gaskę. Oficjerowie grali w mariasza; pażiowie grali w morę, hałasując przy tym co wlezie. Nagle usłyszeli wszyscy znak, iż Pozwaniec jest w okolicy. Dalejże Udar za komeżkę, Lora i jego żona zaczęli się przebierać w godowe szaty, Trudon jął przygrywać na fletni i walić w bęben; wszystko weseli się, krząta, gotuje, nie przepominając o rękawicach.

Pan Buś wyszedł na dziedziniec. Tam Pozwaniec ujrawszy go ukląkł i prosił, aby mu nie brał za złe, jeżeli go pozwie w imieniu przeora. Wyłożył w ozdobnej przemowie, jako jest osobą publiczną, sługą klasztoru, namiestnikiem mitry opata, i że gotów jest też samo uczynić dla pana Busia, ba, nawet dla najniższego z jego domu, gdziekolwiekby się podobało panu Busiowi użyć go i posłać. „Jako mi Bóg miły — rzekł szlachcie — nie prędzej mnie będziesz pozywał, aż wprzód skosztujesz mego winka i będziesz świadkiem wesela, które właśnie się u mnie od-

bywa. Księżę Udarze, napójdzie go i uradzie dobrze, a potem przywiedzie mi go do sali. Będę ci rad serdecznie“.

Pozwaniec, sumiennie nakarmiony i napojony, wchodzi z proboszczem do sali, gdzie znaleźli się aktorzy farsy w pełnym porządku, dobrze przygotowani. Za jego wejściem wszyscy zaczęli się uśmiechać. Pozwaniec rozśmiał się przez grzeczność także. Ksiądz Udar wyrzekł nad oblubieńcami tajemnicze słowa, po czym uściśniono sobie ręce, ucałowano pannę młodą, pokropiono wszystkich wodą święconą. Kiedy wnoszono wino i pierniki, kuksańce poczęły obiegać w kółko. Pozwaniec dał ich sporą porcyjkę proboszczowi. Udar miał pod komeżką swoją rękawicę, nawdziął ją tedy jak mitenkę i dalejże kropić Pozwańca, i dalejże grzmocić Pozwańca; dopieroż ze wszystkich stron poczęły się nań sypać krzepkie ciosy. „Gody, gody — wołali — zdrowie panny młodej!“ Tak go dobrze obrobili, że krew mu się lała ustami, nosem, uszami, oczyma. Poza tym był połamany, opuchnięty, okryty sińcami, głowa, kark, plecy, piersi, ramiona i wszystko. Wierście mi, iż nawet w Awinionie w czas karnawału szkolarze nie grają melodyjniej w kuksa, niż grano wówczas na onym Pozwańcu. Wreszcie zwałił się na ziemię. Nalano mu sporo wina na twarz, przywiązano do rękawa piękną żółtą i zieloną wstęgę i posadzono go na jego parszywą szkapę. Nie wiem, czy za powrotem na wyspę dobrze go tam opatrzyła i kurowała żona i okoliczne znachory, więcej bowiem nie było o nim słyhu.

Nazajutrz powtórzyło się to samo, ponieważ w ładunku i w torbie chudego Pozwańca nie znaleziono protokołu. Za czym gruby przeor wysłał nowego Pozwańca z pozwem do pana Busia i dodał mu dwóch świadków dla pewności. Odźwierny uderzając w dzwon napełnił radością wszystkich domowników, dając tym znak, iż pojawił się nowy Pozwaniec. Pan Buś siedział właśnie przy stole, obiadując w towarzystwie żony i dworzan. Nakazał, aby przyprowadzono Pozwańca, posadził go przy stole, świadków między pannami, i obiadowali bardzo smacznie i wesoło. Podczas wetów Pozwaniec podniósł się od stołu i w obec-

ności i przytomności świadków odczytał pozew; na co pan Buś uprzejmie poprosił go o kopię zlecenia. Była gotowa. Za czym przyjął pan Buś pozew do wiadomości, Pozwaniec i świadkowie otrzymali po cztery bite talary i wszyscy rozpierzchli się, aby przygotować widowisko. Trudon rozpoczął bić w bębenek. Pan Buś zaprasza Pozwańca, aby zechciał być świadkiem jednego z jego oficyjerów i spisać młodym kontrakt, za dobrą zapłatą i wynagrodzeniem. Pozwaniec przystał z całą gotowością; wnet dobył kałamarza, rozwinął papier, ciągle w asyście świadków. Lora wchodzi do sali jednymi drzwiami, żona jego i panny dworskie drugimi, wszystko w przebraniu weselnym. Udar, w szatach kapłańskich, ujmując ich za ręce pyta o wolę, daje błogosławieństwo, nie szczędzi święconej wody. Po czym ułożono i podpisano kontrakt. Z jednej strony wnoszą wino i pierniki, z drugiej mnóstwo białych i pstrokatych wstąg; równocześnie nawdziewa się chłykiem rękawicę.

XV. Jako Pozwaniec wskrzesza starożytne obyczaje zrękowin

Pozwaniec wygoliwszy dużą szklenicę bretońskiego winka rzekł do pana zamku: „Wielmożny panie, a cóż to takiego? Nie rozdaje się już godowych upominków? Dalibóg, giną już dawne, dobre obyczaje. Jaje dziś mędrsze od kury. Nie ma już przyjaściół. Świat w piętkę goni, jak mi Bóg miły. Koniec już mu snadź bliski. Ot, poczekajcie, macie: gody, gody gody!“ To mówiąc zaczął okładać kuksami pana Busia, jego żonę, panny dworskie i proboszcza.

Za czym puszczono w ruch rękawicę, tak iż Pozwańcowi rozwalono głowę w dziesięciu miejscach; jednemu ze świadków wytknięto ramię prawe, drugiemu wyważono szczękę górną, tak iż mu wylazła do połowy brody; do tego skaleczono mu języzek w gardzieli i przyprowadzono o poważne straty w zębach, siecznych, trzonowych i kłach. Skoro głos bębna odmienił hasło,

wraz schowano rękawice, których nikt nie zauważył, podano świeże łakocie i znów zaczęło się wesele. I dalej kompania przepijać do siebie, a wszyscy do Pozwańca i świadków, wyrzekając przy tym co wlezie. Udar wyklinał i zarzekał się tych godowych upominków, skarżąc się, że jeden ze świadków wyzawiasował mu ramię z łopatki. Mimo to wszakże przepijał do niego bez urazy, wesoło. Świadek z wyważoną szczęką składał jeno ręce i znakami prosił go o przebaczenie; przemówić bowiem nie mógł. Lora skarżył się, iż ów świadek z wytkniętą ręką tak mocno go uderzył pięścią w łokieć, iż piętę ma od tego wytentegorampamtylilizowaną.

„Ba — rzekł Trudon zakrywając lewe oko chustką i pokazując bęben przedziurawiony na wylot z jednej strony — ale cóż ja im zawiniłem, nieboraczek? Nie dość im było, że mi tak srodze wytereferekukubildrydrytaraminizowali moje biedne oko, jeszcze musieli mi do tego przedziurawić bęben. Zwykle przy godach wali się w bęben, ale tamburowi daje się pić, a nie wali w niego. Niechże diabli w piekle po nich bębnią!“ — „Bracie — rzekł ochwacony Pozwaniec — dam ci parę pięknych, starych, wielkich patentów królewskich, które mam tu ze sobą, abys załatał swój bęben; nie bądź mi już krzyw. Na brzemię świętej Genowefy, nie myślałem ci zrobić nic złego“.

Jeden ze stajennych utykając i kulejąc zwrócił się do świadka z wyważoną szczęką i rzekł: „A wy żbiki, zbijaki, zabijaki jedne! Czy nie dość wam było, żeście nam wytarabanilupucuputramblamtędyiowędywytenbikowali wszystkie członki górne, waląc nas swymi buciarami, jeszczeście musieli nam dogodzić szuruburufikmiktralapontyfiryczurumurując nas szpicami chodaków po goleniach? To mają być żarty? Ten mi nic warty, kto jest zażarty na takie żarty“.

Świadek złożywszy jeno ręce zdawał się błagać go o przebaczenie, myrdając jeno językiem i mamrocąc, mun, mun, mon, mon. Panna młoda to śmiała się popłakując, to płakała zanosząc się od śmiechu, mówiąc, iż Pozwaniec nie zadowolilił się tym,

iż młócił ją gdzie padło, nie przebijając w członkach, ale jeszcze wydarł jej sporo włosów, a co więcej podtyrmynipolityrindolipikonibrynizował zdradliwie wstydlive cząstki. „A niechże go diabeł kocha! — rzekł pan Buś. — Także mi było potrzeba, aby Jegomość pan Król (tak się nazywają Pozwańce) wyłoił mnie w taki nieumiarkowany sposób po krzyżu. Nie chcę mu tego pamiętać; to są drobne upominki weselne. Ale to muszę powiedzieć, że porwał mnie jak anioł, a wygrzmocił jak diabeł. Ma coś w sobie z brata Walisza. Piję doń z całego serca; do was także, panowie świadki“. — „Ale — rzekła pani Busiowa — z jakiej przyczyny i za co mnie niebogę uraczył tyloma razami pięści? Niech mnie diasek porwie, jeśli o to prosiła. Nie prosiłam, to pewna, ale mogę powiedzieć, że ma najtwardsze kości, jakie kiedykolwiek czułam na swoim grzbiecie“.

Marszałek dworu trzymał lewe ramię na temblaku, jak gdyby całkiem wytentegokaputnięte: „Diabli mi kazali — rzekł — pchać się na to wesele. Jak mi Bóg miły, wszystkie ramiona mam potyrmokrachmachzdubetyryzowane. I wy to nazywacie zaślubiny? Ja to nazywam zafajdziny gówniane. Jak mi Bóg miły, to czysta uczta Lapitów, opisana przez Samosatejskiego filozofa“.

Pozwaniec już się nie odzywał. Świadkowie tłumaczyli się, że grzmocąc w ten sposób nie mieli złych intencji: owo proszą, dla miłości Boga, o przebaczenie. I tak odjechali. O pół mili od zamku Pozwańcowi zrobiło się trochę słabo. Świadkowie przybyli wreszcie do wyspy, głosząc wszem wobec, że nigdy nie widzieli zaniejszego człowieka niż pan Buś i godniejszego domu niż jego; i że nie byli jeszcze na tak pięknych godach. Cała zaś wina była po ich stronie, iż pierwsi zaczęli bijatykę. I żyli jeszcze nie wiem ile dni, aż do samej śmierci.

Stąd poszła wieść, jako rzecz pewna, iż pieniądze pana Busia są dla Pozwańców i świadków bardziej zatrute, śmiertelne, zgubne niż niegdyś złoto Tuluzy i koń sejański dla tych, którzy go posiadali. Od tego czasu zostawiono zanego pana w spokoju, a gdy pana Busiowe stały się u ludu powszechnym przysłowiem.

XVI. Jako brat Jan doświadcza natury Pozwańców

— Ta historyjka — rzekł Pantagruel — zdałaby się wcale uciechą, gdyby nie to, żeśmy powinni mieć ustawicznie przed oczami pamięć bojaźni bożej.

— Lepsza — rzekł Epistemon — byłaby, gdyby ten deszcz twardych rękawiczek spadł był na tłustego przeora. Ten bowiem wydawał dla rozrywki pieniądze, trochę, aby dokuczyć Busiowi, trochę, aby widzieć, jak tłuką Pozwańców. Te kuksy byłyby pięknie ozdobiły jego ogoloną palękę. Ale w czymże zawiniły te biedne nieboraki Pozwańcy?

— Przychodzi mi na pamięć — wtrącił Pantagruel — pewien starodawny szlachcic rzymski, nazwiskiem L. Neracjusz. Był ze szlachetnej rodziny i bogaty, jak na owe czasy. Ale miał w sobie jakowąś tyrańską kompleksję, iż wychodząc z pałacu zawsze kazał napełniać sługom sakwy złotą i srebrną drobniejszą monetą i skoro spotkał na ulicy jakich wymuskanych i wystrojonych gladiatorów, owo bez żadnej zaczepki z ich strony, je-no dla swej uciechy kropił ich, co mógł najrażniej, pięścią w głowę. Wraz potem, aby ich udobruchać i powstrzymać od dochodzeń sądowych tej krzywdy, rozdzielal między nich pieniądze, póki mu się nie udało załagodzić sprawy, wedle przepisu prawa z dwunastu tablic. W ten sposób wydawał całe dochody bijąc ludzi za swoje pieniądze.

— Na święty but świętego Benedykta — rzekł brat Jan — zaraz dowiemy się, co o tym mniemać.

Za czym zeszedłszy na ziemię, zanurzył rękę głęboko do mieszka i dobył zeń dwadzieścia bitych. Następnie rzekł głośno, tak iż mogła go usłyszeć wielka ciżba pozwańskiego narodu:

— Kto chce zarobić dwadzieścia złotych talarów i pozwoli sobie wygarbować skórę jak diabli?

— Ja, ja, ja — krzyknęli wszyscy. — Walcie, panoczku, walcie, co wlezie; warto przecierpieć za tak piękny zarobek.

I wszyscy przybiegli tłumnie, tłocząc się, który zdąży pierwszy docisnąć się do tak intratnych kijów. Brat Jan wybrał z całej

zgrał jednego Pozwańca z czerwoną gębą i dużym a szerokim pierścieniem na prawym palcu.

Na ten wybór ujrzałem, iż lud zaczął szemrać; pewien słuszny, młody i szczupły Pozwaniec (bystry i uczony w prawie i, jako wieść głosi, zdalny w rzeczach kościelnych) zaczął się skarżyć i wyrzekać, iż ten czerwonołęby zabiera im całą klientelę. Jeżeli w całej okolicy jest jeno trzydzieści kijów do utargowania, to on z pewnością zgarnie ich dwadzieścia osiem i pół. Ale wszystkie te skargi i żale wynikały jedynie z zazdrości. Brat Jan wyłożył tak sumiennie czerwonołębego po grzbiecie, po brzuchu, po rękach, udach, po łbie i gdzie jeszcze padło, nie żalując ręki i kija, iż myślałem, że utłucze go na miejscu. Następnie dał mu dwadzieścia talarów. — I oto hultaj skoczył na równe nogi, wesół i rad jak król albo i dwóch. Drudzy zaś mówili do brata Jana:

— Mospanie diable, jeśli wasza ochota wygrzmocić jeszcze kilku za tańsze pieniądze, otośmy wszyscy na wasze usługi, bracie diable. Wszystko do waszych usług, nasze skóry, torby, papiery, pióra i wszystko.

— Ale czerwonołęby powstał przeciwko nim, wykrzykując głośno:

— A, do kroćset! a wy hultaje! cóż wy tu przychodzicie psuć mi targ? To wy mi chcecie odbierać i odmawiać klientelę? Pozwę was przed wszystkie trybunały po kolei! sprocessuję was do ostatnich gaci. — Następnie zwracając się do brata Jana z wesołą i śmiejącą twarzą rzekł: — Czcigodny ojciec w Belzebubie i osobliwy mój dobrodzieju, jeśli przypadło wam do smaku trzepanie moich sukien i jeśli chcecie rozerwać się dając mi kije, zadowolę się połową ceny, po dobremu, bez targu. Nie oszczędzajcie mnie, proszę was. Jestem na wasze usługi, panie diable; głowa, płuco, bebechy i wszystko. Mówię z szczerego serca.

Brat Jan przerwał te oświadczenia i obrócił się w inną stronę. Inni Pozwańcy obiegli Panurga, Epistemona, Gymnasta i innych, błagając umiarkowanie, aby ich wygrzmocili za umiarkowaną cenę,

inaczej grozi im, że długo będą musieli pościć. Ale nikt nie chciał ich wysłuchać.

Następnie szukając świeżej wody dla załogi spotkaliśmy dwie stare Pozwańczy, które obie żałośnie płakały i zawodziły. Pantagruel został był na okręcie i kazał trąbić na odwrót. My przypuszczając, iż to są jakieś krewne Pozwańce, który dostał kije, spytaliśmy je o przyczyny takiej boleści. Odparły, iż słuszną mają rację biadać, ile że przed chwilą założono stryczki na szyję dwom najzacniejszym ludziom, jacy istnieli w całym kraju Pozwańczym. Skorośmy zapytali o powód tej egzekucji, odparły, iż ukradli sprzęty kościelne do mszy i ukryli je pod dzwonnica.

— Oto — rzekł Epistemon — straszliwie alegoryczne określenie.

XVII. *O tym, jako Pantagruel przebył wyspy Tohu i Bohu, i o dziwnej śmierci Nosodmucha, lykacza wiatraków*

Tegoż samego dnia Pantagruel minął dwie wyspy Tohu i Bohu, na których nie znaleźliśmy co żryć: Nosodmuch, wielki olbrzym, pozjadał wszystkie garnki, rondle, brytfanny, patelnie i farfurki w kraju, a to dla braku wiatraków, które były jego zwyczajnym pożywieniem. Z czego wynikło, iż bardzo wprędce, w porze, o której zwykle trawił, popadł w ciężką chorobę dla pewnej dolegliwości żołądka wynikłej z tego (jak powiadali lekarze), iż własność konkockcyjna tegoż żołądka, przeznaczona z natury do trawienia wiatraków obracających się w całym pędzie, nie mogła równie dobrze strawić patelni i rondli; garnki i farfurki strawił natomiast dość dobrze, jako rozpoznali lekarze po hypostazach i eneoremach czterech wiader uryny, które oddał tego ranka na dwa zawody.

Aby go ratować, użyli rozmaitych środków swej sztuki. Ale choroba była mocniejsza niż lekarstwa. I oto szlachetny Noso-

dmuch wyzionął ducha tegoż samego ranka i to w sposób tak szczególny, iż więcej mu się dziwić trzeba niż śmierci Eschylosa. Który (jako iż mu nieomylnie przepowiedzieli wróżbiarze, że pewnego dnia zginie wskutek jakiejś rzeczy, która spadnie na niego), skoro nadszedł ów dzień, trzymał się z dala od miasta, od domów, drzew, skał i innych rzeczy, które mogłyby grozić spadnięciem i narazić jego życie. I schronił się na środku wielkiej łąki, pokładając ufność w niebie rozpościerającym się szeroko i swobodnie i czując się zupełnie bezpiecznym w swoim mniemaniu, chyba samo niebo runęło, co mu się nie wydawało możebne. Powiadają wszelako, iż skowronki bardzo się obawiają upadku walących się niebiosów, gdyby się bowiem niebo zawaliło, wszystkie by się złapały.

Również obawiali się tego niegdyś Celtowie mieszkający w pobliżu Renu; a są to właśnie owi szlachetni, dzielni, rycerscy, waleczni i zwycięscy Francuzi. Tych gdy zapytał raz Aleksander Wielki, czego najbardziej obawiają się w świecie (spodzielając się, iż z niego jednego uczynią wyjątek w uznaniu jego wielkich czynów, zwycięstw, zdobyczy i tryumfów), odpowiedzieli, iż niczego się nie obawiają, chyba jeno zaważenia niebios. Nie wzbraniłi się wszelako wejść w sojusz, przymierze i przyjaźń z tak dzielnym i wielkodusznym królem, jeśli mamy wierzyć Strabonowi, ks. VII, i Arianowi, ks. I. Także Plutarch (w księdze napisanej przezeń o postaci ciała księżycowego) przytacza człowieka imieniem Fenaka, który bardzo obawiał się, aby księżyc nie spadł na ziemię, i miał wielkie współczucie i litość dla tych, którzy mieszkają pod nim, jak Etiopczycy i Taprobanie, gdyby tak wielka masa miała spaść na nich. O niebo i ziemię żywił tę samą obawę, gdyby nie to, iż są mocno spojone i wsparte kolumnami Atlasa, jako było mniemanie starożytnych, wedle świadectwa Arystotelesa, Ks. V. *Metaphys.*

Eschylos mimo to zginął ugodzony skorupą żółwia, która ze szponów orla, szybującego wysoko w powietrzu, spadła mu na głowę i rozszarpała mózg.

Śmierć jego była dziwniejsza niż śmierć Anakreonta poety, który zginął udławiwszy się pestką winnego grona. Bardziej dziwna niż Fabiusza, pretora rzymskiego, który zmarł uduszony włosiem kozy pijąc mleko z czary. Bardziej niż owego wstydlivca, który, iż wstrzymywał wiatry i wzdragał się, gdy go sparło, pierdnąć spod serca jak należy, umarł nagle w przytomności Klaudiusza, cesarza rzymskiego. Bardziej niż tego, który w Rzymie jest pogrzebion przy Drodze Flamińskiej, a na swoim nagrobku żali się, iż umarł z przyczyny kotki, która ukąsiła go w mały palec. Bardziej niż śmierć Q. Lekamiusza Bassa, który zmarł nagle z tak małego zakłucia igłą w palec lewej ręki, iż ledwie można się go było dopatrzeć. Bardziej niż Kwenelota, normandzkiego lekarza, który nagle wyzionął ducha w Montpelier z tego, iż nożykiem do zacinania piór wyciął sobie brodawkę na rękę. Bardziej niż śmierć Filomena, któremu służący przygotował świeżych fig jako przekąskę przed obiadem; owo w czasie gdy poszedł po wino, wpadł zablakany dziki osieł do mieszkania i zaczął z apetytem spożywać przygotowane figi. Na to wszedł Filomenes i patrząc zdziwiony na owego figożernego osła rzekł do służącego, który tymczasem wrócił: „Skoro temu zacnemu osłu zostawiłeś figi, logika wymaga, abyś go także poczęstował smacznym winkiem, które właśnie przyniosłeś“. Rzekłszy te słowa wpadł w tak niezmierną wesołość umysłu i wybuchnął tak uporczywym i niepohamowanym śmiechem, iż natężenie śledziony zaparło mu w zupełności oddech i nagle umarł.

Bardziej niż Spuriusza, który zmarł zjadłszy jajko na miękko tuż po wyjściu z kąpielii. Bardziej niż tego, o którym Bokacjusz powiada, iż zmarł nagle, wykałając sobie zęby żdźbłem szalwii.

*Bardziej niż Filip Dostały,
który, będąc zdrow i cały,
zadarł zniemacka giczały,*

placąc dawny dług, bez żadnej uprzedniej choroby. Bardziej niż zgon Leuksina malarza, który nagle umarł z gwałtownego śmie-

chu, patrząc na gębę i na portret staruszki wyobrażonej przezeń na płótnie. Bardziej niż tysiąc innych, o których moglibyście czytać czy to u Weriusza, czy u Pliniusza, czy u Walera, czy u Baptysty Fulgozjusza, czy u Bakabery starszego.

Dobry Wiatrodmuch (niestety!) zmarł z udławienia, jedząc podplomyk na świeżutkim maśle wprost z pieca, na zlecenie lekarzy.

Tamże powiedziano nam potem, że król Żadzik w Bohu rozgromił satrapów króla Mechlota i spustoszył fortece Beliny. Następnie minęliśmy wyspy Kiepskie i Łepskie. Również wyspy Teneliabin i Geneliabin, obfitując w substancje sposobne do sporządzania lewatyw. Także wyspy Enig i Ewig, na których przyszedł się niegdyś szpetny figiel landgrafowi heskiemu.

XVIII. Jako Pantagruel wyszedł cało z gwałtownej burzy morskiej

Następnego dnia spotkaliśmy w drodze dziesięć trójmasztowców pełnych mnichów: jakobinów, jezuitów, kapucynów, eremitów, augustianów, bernardynów, celestynów, egnatynów, amadeanów, franciszkanów, karmelitów, minimów i innych świętych zakonników, którzy ciągnęli na sobór do Szezyłu, aby roztrząsać artykuły przeciw świeżo powstałym heretykom. Na ich widok Panurg wpadł w niezmierną radość, upewniony, iż spotkanie to zapewni nam pomyślny los na ten dzień i na długi szereg następnych. Za czym, pozdrowiwszy grzecznie pobożnych ojców i poleciwszy zbawienie swej duszy ich żarliwym modłom i szczególnej opiece, kazał im rzucić na pokład siedemdziesiąt i osiem tuzinów szynek, sporo beczulek kawioru, tyleż różańców kielbasy, mnogość innej wędliny i dwa tysiące pięknych dukatów z aniołkiem za dusze zmarłych.

Pantagruel tymczasem trwał pogrążony w melankolicznej zadumie. Spostrzegł to brat Jan i zapytał, skąd się bierze przy-

ezyna tego niezwykłego frasunku. Aliści sternik, widząc, jak flaga tańczy u steru, przewidując gwałtowną burzę i odmianę pogody, zawołał wraz wszystkich, tak majtków, wioślarzy i chłopców okrętowych jak i nas podróżnych, iżbyśmy byli w gotowości ku pomocy; kazał zwinąć żagle, przednie, tylne, krzyżowe, mestrale, mufle, sywadiery; opuścić na dół maszt przedni, sterniczy i ów z bocianim gniazdem; nachylić artemon i na wszystkich rejach zostawić jeno drabiny a postronki.

Jakoż niebawem morze poczęło się wzdymać i bałwanić z najgłębszych odmętów; potężna fala jęła walić o boki statków; gwałtowny mistral począł dąć i świstać między reje, a morze skłębiło się lejami wirów i bryzgami piany. Niebo dalejże huzeć grzmotem, walić piorunem, lyskać, smagać ulewą i gradem; powietrze straciło swą przejrzystość, stało się ciemne, chmurne, mroczne, tak iż nie widzieliśmy innego światła prócz piorunów, lyskawic i chmur jaskrawych od ognia; kategidy, thyelle, lelapy i presteny jaśniały dokoła nas psoloentyjskimi, elicyjskimi i innymi eterycznymi ejakulacjami. Horyzont cały zaćmił się i zmącił; straszliwe tyfony piętrzyły dokoła góry wodne. Wierzajcie, iż zdało się to nam jakoby starożytny chaos, w którym ogień, powietrze, morze, ziemia skłębiły się w ustawicznym starciu i pomieszaniu.

Panurg, nasyciwszy sumiennie zawartością swego żołądka ryby łajnożerne, stał przycupnięty na pokładzie, przerażony, znękany i wpółumarły: wzywał wszystkich błogosławionych, świętych i święte ku pomocy, ślubował, iż pójdzie wypowiadać się w najbliższym czasie i miejscu, następnie zaś wykrzyknął w ogromnym popłochu:

— Hej tam, szafarzu, och, och, mój przyjacielu, mój ojczulku, mój wujaszku, podaj no trochę jakiej wędliny; przyjdzie nam napić się niebawem aż nadto, wedle tego, co widzę. Jedz skromnie, a popij obficie, to będzie odtąd moja dewiza. O, dałby Bóg i błogosławiona, święta i niepokalana Dziewica, abym teraz,

powiadam w tej chwili, mógł stapać z lubością po stałym i spokojnym lądzie.

O trzykroć i czterekroć szczęśliwi ci, którzy sadzą kapustę! O Parki, czemuście mnie nie uprządlili sadzącym kapustę! O jakże nazbyt mała jest liczba tych, których Jowisz, w niepomiernej łaskawości, stwarzając przeznaczył do sadzenia kapusty! Zawszy bowiem są jedną nogą na lądzie, druga zaś jest niedaleczko! Niech rozprawia, kto chce, o szczęśliwości i najwyższym dobru; w tej chwili wszelako bezspornym wyrokiem uznaję błogosławionym każdego, który sadi kapustę. I czynię to z większą o wiele słusnością, niż Pyrron, będąc w podobnym niebezpieczeństwie, w jakim my jesteśmy, i widząc na wybrzeżu świnie jedzącą rozsypany jęczmień, oświadczył, iż szczęśliwszą jest ta świnia w dwóch swoich właściwościach; to jest, że ma pod dostatkiem jęczmienia, a po wtóre, iż znajduje się na lądzie.

Ha, czyż może być wspanialsze i bardziej pańskie mieszkanie niżli krowia obora? Boże miłosierny! ta fala zmiecie nas ze wszystkim! O moi przyjaciele, octu, octu troszeczkę. Pocę się z okropnego strachu.

Och, och, żagle podarły się w szmaty, kołowrót połamany w sztuki, okucia puszczają, maszty nosami kąpią się w wodzie, ster ino patrzeć, jak trzaśnie. Och, och, gdzie są żagle? Wszystko poszło do czarnego diaska. Bocianie gniazdo huśta się po fali, czeka, aż je kto wyłowi. Hej tam, przyjacielu, podeprzyjcie tam trochę maszcik. Hej, dzieci, latarka wam spadła. Hej, hej, słyszycie: drążek u steru trzeszczy; czy już nadłamany? Hej, hej, ratujmy postronki, o maszty się już nie troszczcie. Bebebe, bu bu, bu, hej tam, jeśli łaska, panie Astrofilu, zajrzyjcie trochę na busołę, skąd nam przychodzi ta burza? Dalibóg, mam tęgiego pietra. Bu, bu, bu, bu. Już po mnie. Wszystkom popuścił ze statecznego strachu. Bu, bu, bu, bu. Hu, hu, hu, bu, bu, topię się, topię się, już mnie nie ma. Topię się, dobry ludkowie.

XIX. Jakie było zachowanie Panurga i brata Jana w czas burzy

Pantagruel, wezwawszy uprzednio na pomoc Boga, wielkiego ratownika, i odmówiwszy publicznie modły z żarliwym nabożeństwem, dzierżył, za radą sternika, ster krzepką dłonią; brat Jan rozdził się do kaftana, aby pomagać majtkom. Toż samo Epistemon, Ponocrates i inni. Panurg dzwonił jeno ze strachu zadkiem po pokładzie, płacząc i lamentując. Ujrzał go brat Jan przechodząc mimo i rzekł:

— Na Boga, Panurgu cielaku, Panurgu plakso, Panurgu wyjeu, o wiele lepiej byś zrobił pomagając nam tutaj, niżli tam płacząc jak krowa i siedząc na własnych jajkach jak magot.

— Be, be, be, bu, bu — odparł Panurg — bracie Janie, przyjacielu, dobry ojczulku, topię się, topię się, mój przyjacielu, topię się. Już po mnie, ojciec duchowny, mój przyjacielu, już po mnie. Już mi i twój kordelas nie pomoże. Och, och, jużemy się dostali ponad *fis*, poza wszelką gamę. Be, be, bu, bu. Och, teraz znów jesteśmy pod gamą, niżej *c*. Topię się. Och, mój ojczulku, wujaszku, moje wszystko. Woda mi się nalała przez kołnierz do trzewików. Bu, bu, bu, phu, hu, hu, hu, brr, brr, brr, topię się. Och, och! hu, hu, hu, be, be, be, bu, bu, bu, hu, huhu, och! O, patrz, stanąłem na łbie jak rosochate drzewo, nogi na górze, głowa na dole. O, dalby to Bóg, abym w tej chwili był na okręcie tych dobrych i błogosławionych ojców soboropetów, których spotkaliśmy dziś rano, tak nabożnych, pulchnych, wesółych, tak tłusciutkich i życzliwych. Hola, hola, hola, hola, och, och, ta fala diabelska (*mea culpa, Deus*), chcę powiedzieć ta fala zesłana przez Boga zatopi nas ze szczętem. Och, bracie Janie, ojciec, przyjacielu, spowiedzi! Oto już jestem na kolanach. *Confiteor*, wasze święte błogosławieństwo.

— Chodźże tu, ściervo diabelskie — rzekł brat Jan — chodź nam tu pomagać, do trzystu legionów diabłów, chodźże; ruszysz się stamtąd?

— Nie klnijmy — rzekł Panurg — mój ojciec, mój przyjacielu, nie klnijmy teraz. Jutro, ile zechcesz. Olaboga, och, och! Okręt pije wodę, topię się, och, och! Be, be, be, be, bu, bu, bu. Jużemy na dnie. Och, och! Daję osiemnaścieset tysięcy intraty temu, kto mnie wysadzi w tej chwili na ląd, takiego ofajdanego i omażganego, jak jestem. *Confiteor*. Och, och! bodaj słówko testamentu, bodaj mały kodycyłek.

— Tysiąc diabłów — rzekł brat Jan — tłucze się po ciebie tego wściekłego rogala! Do kroćset czartów, gadasz o testamentie teraz, kiedy jesteśmy w niebezpieczeństwie i kiedy trzeba jak nigdy wziąć wszystkie siły w kupę? Przyjdiesz tu, diable przeklęty? Tutaj, panie majtek, tutaj, o, co za dzielny z was kompan! Gymnaście, tu, na pomost! Ha, dalibóg, już nam dało radę! Latarnia zgasła. Wszystko idzie do stu milionów diabłów.

— Och, och — rzekł Panurg — och, och, bu, bu, bu, bu. Och, och! zali tu nam było przeznaczone zginąć? Hola, hej, dobrzy ludzie, topię się, umieram. *Consummatum est*. Już po mnie.

— Mnia, mnia, mnia — rzekł brat Jan. — A cóż za paskuda ten wyjec zasrany. Hej, chłopiec, do stu par diabłów, podeprzyj tę belkę. Skaleczyłeś się? Do kroćset, przywiąż wyżej: tu, do kroćset diabłów, hej, tak, moje dziecko.

— Och, bracie Janie — rzekł Panurg — mój ojciec duchowny, mój przyjacielu, nie klnijmy. To grzech. Och, och, be, be, be, bu, bu, bu, topię się, umieram, przyjaciele. Przebaczam wszystkim ludziom. Żegnajcie mi, *in manus*. Bu, bu, buuu. Święty Michale Orski, święty Mikołaju, jeszcze ten raz i już nigdy. Czynię tu uroczysty ślub wam i Bogu, naszemu Stwórcy, że jeśli mi dopomożecie w tej potrzebie, to jest, rozumiem, jeśli mnie wysadzicie na ląd w bezpiecznym stanie, wybuduję wam piękną dużą kapliczuškę albo dwie.

*Wpódle Kwandy i Monsiorowa,
Gdzie się nie pasie wół ni krowa.*

Och! och! nalało mi się do gęby więcej niż osiemnaście wiader wody. Bu, bu, bu, bu. O jakąż gorzka i słona!

— Do kroćset czartów — rzekł brat Jan — na ich krew, ciało, bebechy i głowę, jeśli jeszcze raz usłyszę twoje skomlenie, rogalu diabelski, oporządę cię jak psa morskiego. Dalibóg, czemu my nie praśniemy tego gnojka przez pokład na wodę? Hej tam, wiosłarzu, mój dobry druhu, pomóż no mi tutaj. Trzymaj no dobrze. Ha, to się ucziwie lysnęło i zagrzmiało też setnie. Myślę, że wszystkie diabły urwały się dziś z łańcucha albo że Prozerpina legła w boleściach rodzenia. A wszyscy diabli tańczą z dzwonkami dokoła.

XX. *Jako żeglarze zdają okręty na wolę burzy*

— Ha — rzekł Panurg — grzeszysz, bracie Janie, mój były przyjacielu. Były, powiadam, bo teraz ja jestem niezym i ty jesteś niezym. Przykro mi, że ci to muszę mówić. Sądzę bowiem, iż tak się wykląć, to bardzo dobrze robi na śledzionę; tak jak rąbiącemu drzewo wielką jest pomocą, gdy kto za każdym uderzeniem krzyknie mu nad uchem: Han! z pełnej piersi, a grającemu w kręgle, skoro nie rzucił kuli prosto, sprawia niezmierną ulgę, jeśli przytomny człowiek koło niego pochyli i wykręci głowę i ciało do połowy, w tę stronę, z której dobrze rzucona kula trafilaby prościutko w kręgle. Czyniąc to wszelako grzeszysz, mój słodki przyjacielu. Ale gdybyśmy teraz przegryźli nieco pieczeni uzarskiej, czyby nas to nie zabezpieczyło przeciw tej burzy? Czytałem, że na morzu w czasie burzy nigdy nie doznawali strachu i zawsze byli bezpieczni słudzy bogów Uzarów, tak wysławianych przez Orfeusza, Apoloniusza, Pherecydesa, Strabona, Pausaniasza, Herodota.

— Bredzi — rzekł brat Jan — bredzi biedny ciemięga. A niechże tysiąc milionów i setek milionów diabłów porwie tego diabelskiego rogatego rogalu! Pomóżże nam tu, hej, ruszysz się? Tu, na lewy bok. Głowo Pańska pełna relikwii, a cóż ty tam za ojczenaszki mamrotasz pod nosem? Ten wściekły pies morski jest przyczyną całej burzy i on jeden nie pomaga w ro-

bocie. Dalibóg, jak ja tam przyjdę, to cię nauczę, jak się godzinki odmawia w czas burzy. Tutaj, chłopczyño, mój rohaczku, trzymaj dobrze, aż zwiążę porządny supel. Poczciwy chłopczyña! Dalby Bóg, abys był kiedyś opatem w Talmuzie, a żeby obecny opat został furtianem w Krule. Ponokrates, bracie, poranisz się tutaj. Epistemonku, z dala od parapetu! przed chwilą widziałem, jak weń piorun wyrzwał. — Heep! w górę! — Słusznie powiedziane. Heep! w górę, w górę. Dobra nasza! Heep! Do kroćset, a to co? Dziób poszedł w drzazgi. Grzmijcie, diabły, pierdźcie, rzygajcie, fajdajcie. A fala zaszra! O mało że mnie, do kroćset, nie zmiotła z pokładu. Myślę, że wszystkie miliony diabłów odprawiają tu kapitułę prowincjonalną albo zeszły się na wybór nowego rektora. — Le-ewo! — Dobrze powiedziane. Pilnuj tam głowy — he! majtek, do stu diabłów, hej! le-wo! le-ewo!

— Be be bu, bu — jęczał Panurg — bu, bu, he, be, bu, bu, topię się. Nie widzę nieba ani ziemi. Och, och! Z czterech elementów zostały nam tu jeno ogień i woda. Bu, bu, bu, bu. O gdybyż Bóg w łaskawości swojej zezwolił, abym w tej chwili znajdował się w ogródku w Seliu albo u Inocentego pasztetnika w pięknie malowanej piwnicy w Szynionie, choćbym nawet miał się rozebrać do kamizelki i pomagać mu piec kapuśniaczki! Hej, panie sterniku, nie moglibyście mnie na ład wysadzić? Podobno z was tęgi marynarz, wedle tego, co mi mówiono. Dam wam całą Salmigondę i mój wielki gabinet z muszlami, jeśli za waszą pomocą powącham kiedy bodaj skrawek stałego ładu. Och, och, topię się. Słuchajcie no, przyjaciele, skoro nie możemy zawinąć do porządnego portu, zahaczmyż się bodaj gdziekolwiek, spuścicie wszystkie kotwice. Starajmy się znaleźć poza niebezpieczeństwem, proszę was. Mój przyjacielu, rzuć no z łaski swojej sznurek z ołowianką. Zbadajmy, jak tu głęboko. Sonduj no, kochanku, mój dobry druhu, na imię Pana, Naszego Zbawiciela! Zmierzmy, czy tutaj mógłby się człowiek napić stojący, bez schylania. Tak mi się coś widzi.

— Cią-ą-gnij górą! — zakrzyknął pilot — g-ó-łą! Liny w garść. Hej! gó-ó-łą! Baczność. Na pra-a-wo! Tak. Hej, dość. Uff!

— Już na to przyszło? — rzekł Pantagruel. — Niechajże dobry Bóg ma was w swojej opiece.

— Pu-uszczaj! o hej! — wykrzyknął Jakub Brajer, główny sternik. — Trach! Niech każdy myśli o duszy i poleci się Bogu: już tylko cud niebios byłby mocen nas ocalić.

— Uczynimy — rzekł Panurg — jaki piękny i smakowity ślub. Och, och, bu, bu, be, be, bu, bu. Olaboga, ślubujemy jaką pielgrzymkę. Tak, tak, niech każdy złoży tu dwa denary.

— Huż-ha! — rzekł brat Jan — do kroćset fur diabłów! Na prawo. Cią-ą-gnij, na imię boskie! Zdejmij ster, hu! Cią-ą-gnij! Cią-ą-gnij. Napijmy się! Napijmy się, powiadam, i najlepszego, kordialnego. Słyszysz, bracie piwniczny. Dawaj, przynoś. Już wszystko idzie do stu milionów diabłów. Hej ty, paziu, przynoś tu mój breweriarz (tak nazywał brewiarz). Czeka-jcie. Cią-ą-gnij, przyjacielu, taak! Tam, do czarta, to mi pięknie łyśło i zagrzmiało, jak mi Bóg miły. Trzymajcie dobrze tam w górze, proszę was. Kiedy to mamy Wszystkich Świętych? Myśle, że dziś mamy Wszystkich Milionów Diabłów.

— Och — rzekł Panurg — bracie Janie, samocheąc pchasz się na potępienie. O jakiegoż dobrego przyjaciela tracę! Och, och, to jeszcze gorzej niż wprzód. Jedziemy ze Scylli w Charybde, hola, topię się. *Confiteor*, słówko choć testamentu, bracie Janie, mój ojczulku; panie abstraktorze, mój przyjacielu, mój Achacie; Ksenomanie, moje wszystko. Och, och, topię się; dwa słówka testamentu. Chodźcie tu na pomostek.

XXI. Dalszy ciąg burzy i krótka rozprawka o testamentach czynionych na morzu

— Czynić testament — rzekł Epistemon — w chwili, w której powinniśmy zebrać się w kupę i wspomagać załogę pod grozą roz-

bicia, zdaje mi się czynnością równie niedorzeczną i niewczesną, jak to uczynili panicyzki i ulubieńcy Cezara wkraczając do Galii. Bawili się w układanie testamentów i kodycyłów, biadali nad swym losem, płakali, że nie ma przy nich żon i rzymskich przyjaciół wówczas, gdy trzeba było chwycić za broń i wyteńczyć wszelkie siły przeciw Ariowistowi, ich wrogowi. To jest takie głupstwo jak postępek owego woźnicy, któremu gdy wóz przewrócił się na wyboju, na kolanach błagał pomocy Herkulesa, a nie poganiał wołów ani też ręką nie ruszył, by podważyć koła. Na co ci się tu przyda robić testament? Albo ocalimy się z niebezpieczeństwa, albo utoniemy. Jeśli się ocalimy, testament nie zda się na nic. Testament staje się ważnym i prawomocnym dopiero przez śmierć testatora. Jeżeli utoniemy, czyż i on nie utonie z nami? Któż go zanieśie egzekutorom?

— Pocziwa fala — odrzekł Panurg — wyrzuci go może na brzeg jak Ulissa; jaka córka królewska, idąc w pogodny dzień na przechadzkę, znajdzie go i każe bardzo sumiennie wypełnić, i koło brzegu każe mi wznieść wspaniały sarkofag, jak Dydonę mężowi swemu Sichejowi; Eneasza Dejfobusowi na wybrzeżu trojańskim koło Roety; Andromacha Hektorowi w mieście Butrocie; Arystoteles Hermiaszowi i Eulubusowi; Ateńczycy poecie Eurypidesowi, Rzymianie Druzusowi w Germanii i Aleksandrowi Sewerowi, swemu cesarzowi, w Galii; Argentynus Kalajszerowi; Ksenokryt Lizydychowi; Tymares synowi swemu Teletagorowi; Eupolices i Arystodyces synowi Teotymowi; Onestes Tymoklesowi; Kalimach Sopolizowi, synowi Dioklida; Katullus swemu bratu; Stacjusz swemu ojcu; German z Brie Herwemu, bretońskiemu żeglarzowi.

— Co tobie się bzdurzy — rzekł brat Jan. — Pomagaj tutaj, do pięciuset tysięcy milionów fur diabłów, pomagaj; bodajże ci wrzody zeżarły gębę aż po same wąsy, bodajżeś nabył trzy łokcie francy na nowe portki i nowy rozporek! Okręt siadł na mieliznie? Do kroćset, jakże go wyholujemy? A, do stu tysię-

cy par diabłów morskich! Noga żywa z nas nie wyjdzie albo niech mnie wszyscy czarci porwą.

Wówczas rozległ się wzruszony głos Pantagruela, który wykrzyknął:

— Boże wszechmogący, ocal nas, albowiem ginimy. Wszelako niech się dzieje nie wedle naszego życzenia, jeno twoja święta wola niech się spełni.

— Bóg — jęknął Panurg — i najświętsza Dziewica niech będą z nami! Hej, hej tam, topię się. Be, be, bu, bu. *In manus*. Wielki Boże, ześlij mi jakiego delfina, aby mnie zaniósł do brzegu jak owego małego Arionka. Będę pięknie grał na harfie, jeśli nadto nie zamokła.

— Niech wszyscy czarci porwą — rzekł brat Jan (Boże, bądź nam miłościw, szepnął Panurg między zębami); — skoro tam zejdziesz ku tobie, pokażę ci w całej oczywistości, że twoje jajka wiszą u zadka głupiego cielaka, bezrogięgo rogala. Mnia, mnia, mnia! Chodźże nam tu pomagać, cielaku stary, mazgaju przeklęty, do trzystu milionów diabłów, które tłuką ci się po bebeciach. Przyjdiesz raz, ciolku morski? Pfuj, co za obrzydliwy mazgaj! Ciągłe powtarzasz to samo. Dalej, ty pocieszna maszkaro, ja cię tu zaczeszę pod włos. *Beatus vir, qui non abiit*. Umiem to na pamięć. Przypomnijmy sobie legendę imię świętego Mikołaja:

Horrida tempestas montem turbavit acutum.

Burzą był straszny kat na szkolarzy w kolegium montegińskim. Jeśli za ćwiczenie biednych małych dzieci, niewinnych uczniów, bakałarze cierpią potępienie, musi on być teraz, na honor, wpleciony w koło Iksjona, ćwicząc psa, który nim obraca; jeżeli natomiast zbawieni są ci, którzy ćwiczyli niewinne dziatki, musi być ponad...

XXII. Koniec burzy

— Ziemia, ziemia — wykrzyknął Pantagruel — widzę ziemię! Dzieci, odważnie, odważnie jak jagniątko! Jesteśmy niedaleko portu. Widzę, jak niebo od północy zaczyna się wyjaśniać. Czujecie sirocco?

— Odwagi, dzieci — rzekł sternik — fala zaczyna opadać. Hej tam, prostować maszty! W górę, w górę. Naciągać reje. Rozpinać żagle. Gó-ó-ra. Gó-óra. Teraz wszyscy razem: cią-ą-gnij! Tam do kroćset, musiałeś złamać, sk...ysynu! (Miło ci to, pocziwcze, rzekł brat Jan do majtka, posłyszecć nowin o swojej matce). Jeszcze! Wyżej, wy-y-żej! Tak. (Stoi fest, odparli majtkowie). — Hej tam, teraz żagle: cią-ą-gnij. Naciągaj prosto. Le-ewo, le-e-wo.

— Roztropnie powiedziane — rzekł brat Jan. — Ostro, dzieci, ostro. Dobrze. — Gó-ó-ra! — Roztropnie powiedziane. Zdaje mi się, że się burza przelamuje i niebawem będzie koniec. Chwała Panu najwyższemu. Diabły zaczynają się drapać po głowie. — Le-e-wo! — Pięknie i uczenie powiedziane. Le-e-wo, lewo! Tutaj, na imię Boskie, miły Ponokracie, rypało wszeteczna. Ten hultaj będzie płodził jeno samców. Eustenesie, miły szlachcicu, chyc no się tej liny! — Niżej, niżej. — Dobrze powiedziane. Niżej, na miły Bóg, niżej. Niczego się już nie obawiam, bo jako iż

*Mamy dziś święteczny dzionek,
Hej, hej, hej!*

— Ta przyśpiewka — rzekł Epistemon — nie jest od rzeczy i podoba mi się: bo też i jest dzień święteczny.

— Dołem, dołem, ostro, tak!

— Oho — wykrzyknął Epistemon — polecam i nakazuję wszystkim być dobrej myśli. Widzę oto Kastora po prawej.

— Be, be, bu, bu — jęczał Panurg — boję się, czy to nie jest ta k...a Helena.

— Nie, zaiste — rzekł Epistemon — to Miksarchagewas, jeżeli bardziej ci przypada do smaku nomenklatura Argiwów. Ho, ho, widzę ziemię, widzę port, mnóstwo ludzi na wybrzeżu. Widzę światło latarni morskiej.

— He, he — rzekł sternik — rozwińcie przodkowy średni.

— Już się stało — odparli majtkowie.

— Rusza, rusza — wykrzyknął pilot. — Daj nam, Boże, zawsze taki wiatr. Napijmy się na tę pogodę.

— Święty Janie — rzekł Panurg — to się nazywa mówić. O, cóż za ładne słowo!

— Mnia, mnia, mnia — rzekł brat Jan — jeśli skosztujesz kropelkę, niech diabeł mnie pokosztuje. Słyszysz, ty, kuśko diabelska? W wasze ręce, sterniku; pełną czarę z tego najlepszego. Hej tam, przynieś no szklanice, Gymnaście, i tę wielką ogromność pasztetu szynecznego albo szynkowego, wszystko mi jedno tak czy tak. Uważaj, byś się nie potknął.

— Odwagi — wykrzyknął Pantagruel — odwagi, dzieci. Pokażmy się przystojnie. Widzicie tu, koło naszego okrętu, dwie szalupy, trzy masztowce, pięć barek, osiem woluntarek, cztery gondole i sześć fregat, które dobrzy ludzie z wyspy wysłali na ratunek? Ale kto jest ten gamoń, który tam tak krzyczy i wyje? Zali nie trzymam masztu krzepko w rękach i prościej, niżby to zdołało dwieście lin?

— To — odparł brat Jan — nieborak Panurg, który cierpi na febrę cielejącą. Trzęsie się ze strachu, skoro bandzioch ma pełny.

— Chociażby — rzekł Pantagruel — miał nieco strachu podczas tej straszliwej burzy i piekielnego huraganu, jeżeli przy tym zachował się jak należy, nie to nie umniejsza mojego dlań szacunku. Tak bowiem jak jest oznaką nikczemnego i tępego serca bać się ciągle (jako czynił Agamemnon i dla tej przyczyny Achilles hańbił go wyrzutem, iż ma oko psa a serce jelenia), tak samo nie bać się, kiedy położenie jest najoczywiściej przeraźliwe, jest

oznaką zbywającego albo skąpego rozumu. Owóż jeżeli jest coś w tym życiu godnego obawy, po gniewie i obrazie Boga, naszego Stwórcy, nie chcę mówić, iżby to była śmierć. Nie chcę wchodzić w sprzeczność z Sokratem i akademikami, którzy twierdzą, iż śmierć nie jest niczym złym i że nie należy się jej obawiać. Powiadam jeno, iż jeżeli czego można się lękać, to onego rodzaju śmierci przez rozbicie na morzu. Albowiem, jak to powiada Homer, śmierć na morzu jest straszna, obmierzła i przeciwna naturze. Jakoż Eneasza w czasie burzy, która dopadła jego flotę w okolicach Sycylii, żałował, iż nie zginął z ręki walecznego Diomeda, i mienił po trzykroć i czterokroć szczęśliwymi tych, którzy zginęli w pożarze Troi. Nikt tu z nas nie zginął. Bogu miłosiernemu niech będzie wiekuista chwała. Ale, zaprawdę, statki ucierpiały mocno. Nic to. Trzeba będzie gruntownie je naprawić. Uważcie, abyśmy gdzie nie utknęli na mieliźnie.

XXIII. *Jako, gdy burza minęła, Panurg odgrywa zucha*

— Ha — wykrzyknął Panurg — dobra nasza. Burza minęła. Proszę was, pozwólcie mi, jeśli łaska, wysiąść pierwszemu. Mam różne pilne interesy do załatwienia. Może wam jeszcze w czym pomóc? Dajcie, niech umocuję tę linę. Ha, ha, na odwadze mi nie zbywa. Bardzo niewiele się bałem. Daj no to, przyjacielu. Nie, nie, ani krzty strachu. To prawda, że ta zwariowana fala, jak wyrznęła raz i drugi w bok okrętu, trochę mi puls zamaściła. — Opuścić żagle! — Dobrze powiedziane. Jak to, ty nie nie robisz, bracie Janie? Czy to jest pora pić teraz? Kto wie, czy nam szatny świętego Marcina nie pitrasi jeszcze jakiej nowej burzy. Mam wam jeszcze w czym pomóc? Dalibóg, żałuję mocno, choć po niewczasie, że nie poszedłem za nauką dobrych filozofów, którzy mówią, że przechadzać się koło morza i żeglować blisko ziemi jest rzeczą bardzo bezpieczną i rozkoszną, jak również wędrować piechotą, gdy się prowadzi konia za uzdeczkę. He, he, he, pomagaj Boże, wszystko idzie dobrze. Mam wam jesz-

cze w czym pomóc? Pozwólcie, już ja dam sobie z tym rady, chyba diabeł się wmieszał.

Epistemon, który miał całą dłoń okaleczoną i pokrwawioną z tego, iż twardo trzymał linę, słysząc słowa Pantagruela, rzekł:

— Wierście mi, panie iż ja nie mniej wcale czułem strachu i obawy niż Panurg. Ale cóż? nie oszczędzałem sił i pomagałem, co mogłem, w ratunku. Uważam, że jeśli w istocie umrzeć (jako jest w rzeczy) jest koniecznością niezbitą i nieuniknioną, to czy się umrze w tej czy w innej porze, w ten czy inny sposób, leży jedynie w ręku Boga. Dlatego trzeba nieustannie go prosić, wzywać, modlić się doń, polecać się i błagać. Ale na tym nie godzi się poprzestać: my ze swej strony powinniśmy również nie żałować trudu i, jako powiada święty Apostoł, być jego współpracownikami. Wiecie, co powiedział C. Flaminusz, konsul, gdy przez chytrość Annibala osaczono go koło jeziora w Peruzji, zwanego Trazymeńskim. „Dzieci — powiedział do żołnierzy — nie spodziewajcie się stąd wydostać przez modły i wzywanie bogów. Odwaga i waleczność może jedynie nas ocalić i ostrzem miecza utorować drogę przez środek nieprzyjaciół“. Podobnie w Sallustiuszu powiada M. Portius Cato, iż pomocy bogów nie wyżebrze się przez puste śluby i babskie rozpaczania. Przez baczną czujność, przez pracę i wysiłek wszelkie przedsięwzięcia stają się pomyślne i skuteczne. Jeżeli w utrapieniu i niebezpieczeństwie człowiek jest niedbały, zniewieściał i leniwy, darmo przyzywa bogów: są nań zgniewani i obrażeni.

— Niech mnie diabli porwą — rzekł brat Jan (mnie do kompanii, rzekł Panurg) — jeżeli nasza klasztorna winnica nie byłaby do szczętu spasiona i złupiona, gdybym jeno beczal *Contra hostium insidias* (wedle tekstu brewiarza), jako czyniły inne czorty mnichy, a nie pospieszył, ujawszy drzewce krzyża, na odsiecz winnicy przeciw łupieżcom lerneńskim.

— Płyn łódeczko moja — rzekł Panurg — wszystko idzie dobrze. Ten brat Jan nic tam nie robi. To istny brat Jan Nie-roba: patrzy oto na mnie, jak pracuję i pocę się, aby pomóc te-

mu tu zacnemu człękowi, pierwszemu marynarzowi swego nazwiska. Hej, przyjacielu, hop! Dwa słowa, bez waszej obrazy. Jak grube mogą być deski tego okrętu?

— Nie bójcie się — odparł pilot; — mają dobre dwa cale.

— Tam do licha — rzekł Panurg — tedy znajdujemy się ustawicznie o dwa cale od śmierci. Czy to jest może jedna z dziewięciu rozkoszy małżeństwa! Ha, ha, kumie, dobrze czynicie mierząc niebezpieczeństwo na łokcie. Strach? co to? ja nie znam strachu: nazywam się Wilhelm Bez Trwogi. Odwagi, tylko odwagi. Nie mówię odwagi jagnięcia, ale odwagi wilka, serca z kamienia. I nie obawiam się niczego prócz niebezpieczeństwa.

XXIV. Jako brat Jan dowodzi Panurgowi, iż bez przyczyny lękał się podczas burzy

— Dzień dobry, panowie — rzekł Panurg — dzień dobry wszem wokół. Macie się dobrze wszyscy. Chwała Bogu, a wy? W samutką poręście przybyli. Wylaźmyż. Hej, tam, wiosłarze, rzućcie mostek; przybliżcie tę łódkę. Może wam jeszcze pomóc? Jestem zgłodniały, spragniony, żeby czymś komuś wygodzić i pracować jak cztery woły. Doprawdy, ładna tu okolica i ludzie serdeczni. Dzieci, nie potrzebujecie jeszcze mej pomocy? Na Boga was zaklinam, nie oszczędzajcie potu mego ciała. Adam, to znaczy człowiek, urodził się do znoju i pracy, jak ptak do latania. Nasz Pan żąda, rozumiecie dobrze? żąda, byśmy pożywali chleb w pocie czoła a nie w próżniactwie i bezczynności, jak ten oto gnuśny mnich, którego widzicie, brat Jan, który tam zalewa pałę umierając ze strachu. Oto mi ładna pogoda. W tej chwili czuję, jak słuszną i rozumną była odpowiedź szlachetnego filozofa Anacharsisa, kiedy spytany, jaki okręt zdaje mu się najpewniejszy, odpowiedział: ten, który stoi w porcie.

— Jeszcze lepiej — rzekł Pantagruel — kiedy zapytany, czego jest większa liczba, żywych czy umarłych, odpowiedział: „Do

których zaliczacie tych, którzy żeglują po morzu?" Dając subtelnie do zrozumienia, że ci, którzy żeglują po morzu, tak blisko są nieustannego niebezpieczeństwa śmierci, iż żyją umierając i umierają żyjąc. Toż Porcjusz Kato powiadał, iż trzech jeno rzeczy żaluje. A mianowicie, jeśli kiedy wyjawiał swoją tajemnicę kobiecie, jeżeli który dzień spędził w bezczynności i jeżeli morzem udał się do miejsca, do którego można się było dostać lądem.

— Na ten święty habit, który noszę — rzekł brat Jan do Panurga — kusiś mój, lubku, wierząc mi, iż cały czas burzy strachałeś się bez racji i bez przyczyny. W twoim losie bowiem nie jest zapisana śmierć na morzu. Zaiste będziesz powieszony wysoko w powietrzu albo też spalony wesolutko jak heretyk.

Łaskawy panie, chcecie dobrej ochrony od deszczu? Zostawcie te futra wilcze i kunie. Dajcie obedrzeć Panurga i okryjcie się jego skórą. Nie zbliżajcie się do ognia i nie przechodźcie blisko kuźni, na miłość boską: w jednej chwili zostałby z niej jeno popiół; ale na deszcz możecie ją wystawiać, ile wam się podobą, i na śnieg i grad. Dalibóg, możecie dać nurka w najgłębszą wodę; ani nawet nie przejdziecie wilgocią. Zróbcie z niej buty na zimę: nigdy wam nie przemokną. Zróbcie z niej pasy, aby uczyć małych chłopców pływać: nauczają się bez niebezpieczeństwa.

— Zatem skóra jego — rzekł Pantagruel — byłaby jako owoziele, nazwane włosem Wenery, które nigdy nie zmoczy się ani zwilgnie, jeno zawsze jest suche, nawet gdyby je trzymać nie wiem jak długo pod wodą; i dlatego nazywa się *Adiantos*.

— Panurgu, przyjacielu — rzekł brat Jan — nie lękaj się nigdy wody, proszę cię. Zgoła przeciwny element zakończy twoje życie.

— Być może — rzekł Panurg — ale kucharze diabelscy mogą się zdrzemnąć niekiedy i zmylić w swoich czynnościach i często wsadzą do gotowania to, co miało być pieczone. Jako w tutejszej kuchni panowie kucharze szpikują kuropatwy, turkawki i gołąbki w zamiarze (jak można mniemać) upieczenia ich; zdarza

się im wszelako czasem ugotować kuropatwy z kapustą, turkawki ze szczypiorkiem i gołąbki z kalarepką.

Słyszeliście, dobrzy przyjaciele, że ślubowałem kaplicę poświęconą świętemu Mikołajowi wpodłe Kwandy i Monsiorowa; otóż rozumiem kapliczkę maleńką, ot tycią, tyciuchną; i nie będzie się tam paś ani wół, ani krowa, ponieważ wrzucę ją na dno wody.

— Oto mi frant — rzekł Eustenes. — Oto frant kuty na cztery nogi. Sprawdza się przysłowie lombardzkie:

Passato el pericolo, gabbato el santo.

XXV. *Jako po burzy Pantagruel wylądował na wyspie Makreonów*

Niebawem przybyliśmy do wyspy, którą nazywano wyspą Makreonów. Dobrzy ludzie tameczni przyjęli nas uprzejmie. Stary Makrob (tak nazywali swego naczelnego burmistrza) chciał zaprosić Pantagruela do ratusza, aby tam wypoczął do woli i pokrzepił się. Ale ów nie chciał odejść, póki wszyscy jego ludzie nie będą na lądzie. Odbywszy przegląd i policzywszy ich rozkazał każdemu zmienić ubranie i wynieść na ląd wszystkie zapasy z okrętu, aby cała załoga krzepiła się i wesołiła. Co też niezwłocznie uczyniono. I sam Bóg wie, jak pito i rozgrzewano kości. Cała miejscowa ludność naznosiła obfitość pożywienia. Pantagrueliści dawali im wzajem w bród ze swego. Prawda, iż zapasy były nieco uszkodzone wskutek burzy. Po ukończeniu posiłku Pantagruel prosił, aby wszyscy zakrzętnęli się i wzięli do pracy około naprawy statków; co też uczynili z miłą chęcią. Naprawa szła łatwo, ponieważ cała ludność wyspy składała się z cieślów i rękodzielników, niemniej zdatnych jak owi, którzy pracują w arsenale weneckim; a zabudowanie całej dużej wyspy składało się tylko z trzech portów i dziesięciu wsi: reszta był to las starodrzewia, nietknięty jakoby las Ardeński.

Na nasze prośby stary Makrob pokazał nam, co było szczególnego i godnego widzenia na wyspie. Za czym przez cienisty i zapuszczony las zaprowadził nas do kilku starych, wpółrozwalonych świątyń, licznych obelisków, piramid, pomników i grobowców z rozmaitymi napisami i nagrobkami. Jedne były w literach hieroglificznych, drugie w języku jońskim, inne w arabskim, agareńskim, sklawońskim i innych. Epistemon wszystkie troskliwie skopiował. Tymczasem Panurg rzekł do brata Jana:

— To jest wyspa Makreonów. Makreon po grecku znaczy starzec, człowiek, który ma dużo lat.

— Cóż ty chcesz — rzekł brat Jan — żebym ja na to poradził? Czym ja temu co winien? Nie było mnie tutaj, kiedy ten kraj tak przezywali.

— Hm — rzekł Panurg — zdaje mi się, że imię makareli od tego pochodzi. Makarelstwo bowiem jest rzeczą starych, zaś trzynianie się młodych. Z czego należałoby mniemać, że owo tutaj jest wyspa makarel: wzór i prototyp tej, która znajduje się w Paryżu. Chodźmyż teraz nałowić nieco ostryg.

Stary Makrob spytał w języku jońskim Pantagruela, jaką sztuką i trudem zdołał zawinąć do portu w dzień takiego wichru i burzy. Pantagruel odpowiadał, iż łaskawa Opatrzność miała wzgląd na prostotę i na szczere przywiązanie jego ludzi, którzy nie podróżują dla zysku ani handlu towarami. Jedna jedyna rzecz skierowała ich na morze, to jest usilna chęć ujrzenia, poznania, zgłębienia i odwiedzenia wyroczni Bakbuk i uzyskania orędzia Flaszki, w niejakich wątpliwościach nastroczających się komuś z jego gromadki. Nie odbyło się to wszelako bez wielkiego utrapienia i oczywistego niebezpieczeństwa. Następnie zapytał go, jakiej przyczynie przypisuje ten straszliwy huragan i czy morza okalające tę wyspę są zazwyczaj podległe burzom, jako na Morzu Oceanickim Wybrzeża Samajskie, Momusońskie, na Śródziemnym zaś Odmęt Satalijski, Montargentan, Plombin, Capo Melio w Lakonii, Cieśnina Gibraltarska, Brzegi Mesyńskie i inne miejsca.

XXVI. *Jako dobry Makrob opowiada Pantagruelowi o życiu i zgonie bohaterów*

Na to odparł dobry Makrob:

— Mili podróżnicy, ta wyspa to jest jedna ze Sporadów, nie z tych waszych Sporadów, które leżą na Morzu Karpackim, ale ze Sporadów na Oceanie; niegdyś bogata, uczęszczana, zasobna, handlowa, ludna i podległa władcy Bretanii. Obecnie, z biegiem czasu i ku schyłkowi świata, biedna i opustoszała, jak widzicie.

W tym ciemnym lesie, który, jak widzicie, rozciąga się na więcej niż siedemdziesiąt osiem tysięcy parasangów, mają mieszkanie demony i bohaterowie, którzy się postarzeli; i mniemamy (jako że nie świeci już kometa, który pojawiał się trzy dni poprzednie), że wczoraj jeden z nich musiał umrzeć i że to zgon jego wzniecił straszliwą burzę, która się wam tak dała we znaki. Póki są żywi, wszystko dzieje się pomyślnie w tym miejscu i innych sąsiednich wyspach i na morzu panuje nieustanny spokój i pogoda. Ze śmiercią każdego z nich słyszymy zwyczajnie w lesie straszliwe i okrutne lamenty i widzimy na ziemi zarazy, pomory i inne utrapienia; w powietrzu wichry i ciemności; na morzu orkany i burze.

— To, co mówicie — rzekł Pantagruel — zdaje się bardzo do prawdy podobne. Tak samo bowiem jak pochodnia albo świeca, póki jest żywa i płynąca, przyświeca pobliskim ludziom, rozjaśnia wszystko dokoła, rozwesela wszystkich i wygadza wszystkim swymi usługami i jasnością, nie czyniąc zła ani przykrości nikomu; w chwili zaś gdy zgaśnie, dymem swoim i wyziewem zanieczyszcza powietrze, szkodzi obecnym i każdego mierzi, to samo jest z tymi szlachetnymi i wspaniałymi duszami. Cały czas, który zamieszkują swoje ciała, zachowują się w nich spokojnie, użytecznie, miło i chlubnie; z chwilą ich rozłąki przychodzą zwyczajnie na wyspach i lądach wielkie zaburzenia, powietrzne ciemności, pioruny, grady; na ziemi trzęsienia, drżenia, niepokoje; na morzu orkany i burze, a wszystkiemu towarzyszą

lamenty ludów, odmiany religii, przesuwanie się królestw i przewroty w państwach.

— Widzieliśmy — rzekł Epistemon — przykład tego na śmierci dzielnego i uczonego rycerza Wilhelma Dubiela; póki on był przy życiu, Francja była tak szczęśliwa, iż cały świat jej zazdrościł, cały świat się jej obawiał. Po jego zgonie natomiast na długi czas popadła we wzgardę u całego świata.

— Tak samo — rzekł Pantagruel — gdy Anchizes umarł na Drepani w Sycylii, burza strasznie dała się we znaki Eneaszowi. To jest też zapewne przyczyna, czemu Herod, tyrański i okrutny król Judei, widząc się bliskim śmierci straszliwej i przeciwej naturze (umarł bowiem z ftyriazy, zjedzony przez wszy i robactwo, jako przed nim tak samo pomarli L. Sylla Pherecydes Syryjczyk preceptor Pitagorasa, poeta grecki Alkman i inni) i przewidując, iż po jego śmierci Żydzi rozpalą ognie weselne, kazał do swego seraju zgromadzić ze wszystkich miast, grodów i zamków Judei szlachtę i urzędników, pod podstępny pozorem i wybiegiem, że chce im zakomunikować ważne rzeczy dotyczące zarządu i bezpieczeństwa prowincji. Skoro ci przybyli i pojawili się w swoich osobach, kazał ich zamknąć w hipodromie seraju. Następnie rzekł do swej siostry Salome i męża jej Aleksandra: „Jestem pewien, iż Żydzi będą się cieszyli z mej śmierci; ale jeśli zechcecie usłuchać mnie i wykonać, co powiem, będę miał wspaniały pogrzeb i żalność na nim będzie niezmierna. W chwili gdy wyzionę ducha, każ przez moich strażników, którym wydałem już stosowne zlecenie, pozabijać całą szlachtę i dygnitarzów tutaj oto zgromadzonych. Skoro to się stanie, cała Judea wbrew chęci będzie musiała pograć się w żalobie i lamentach i obcy będą myśleli, że to jest z przyczyny mego zgonu, jak gdyby dusza jakiego bohatera odeszła od ciała“.

Toż samo leżało na sercu innemu wściekłemu tyranowi, kiedy powiedział: „Przy mojej śmierci niechaj się ziemia pomiesza z ogniem“; to znaczy: niechaj cały świat zaginie. Które słowo ów hultaj Nero przekształcił, mówiąc: „Za mego życia“, jako

zaświadcza Swetoniusz. To ohydne słowo, o którym mówi Ciceron, *lib. III. de Finibus*, i Seneka, *lib. II, O łaskawości*, przypisują znowuż Dion Nikeaus i Suidas cesarzowi Tyberiuszowi.

XXVII. Jako Pantagruel rozprawia o odchodzeniu dusz bohaterów i o strasznych znakach, które poprzedziły zgon nieboszczyka pana Langeńskiego

— Nie żałuję — ciągnął dalej Pantagruel — iż ucierpiałem od tej straszliwej burzy, która nas tyle nadrczyła i znęcała, skoro dzięki temu usłyszałem to, co nam rzekł ów dobry Makrob. I łatwo skłonny jestem uwierzyć w jego słowa co do komety, którego widziałem w powietrzu na kilka dni przed takim zgonem. Zdarzają się bowiem dusze tak szlachetne, kosztowne i bohaterkie, iż o ich zmianie mieszkania i zgonie na wiele dni naprzód niebiosy dają nam jakieś znaki. I jako roztropny lekarz widząc z zapowiednich znaków, iż chory wkracza w dziedzinę śmierci, zawczasu już ostrzega żonę, dzieci, krewnych i przyjaciół o bliskim zgonie męża, ojca lub krewniaka, aby przez resztę czasu, jaka mu do życia została, mógł uporządkować sprawy domowe, napomnieć i pobłogosławić dzieci, pomyśleć o zaopatrzeniu wdowy, rozrządzić, co uzna za stosowne, co do sierot, aby snadź śmierć nie zaskoczyła go bez testamentu i bez uładzenia spraw duszy swojej i domu; podobnie łaskawe niebiosy, jakoby weseląc się bliskim przybyciem tych zbożnych dusz, przed ich śmiercią zdają się palić weselne ognie za pomocą takich komet i powietrznych zjawisk. Te zsyła niebo, aby były ludzom niechybnym znakiem i wiarygodną przepowiednią, że za niewiele dni takowa czcigodna dusza ma opuścić swoje ciało i ziemię.

Nie inaczej niegdyś w Atenach Areopagici wydając głosowaniem wyrok na uwięzionych zbrodniarzy, używali pewnych znaków domierzonych do rodzaju wyroku: i tak „O“ oznaczało skazanie na śmierć, „T“ uniewinnienie, „A“ odroczenie, jeżeli wyrok nie był jeszcze jasny. Te godła, wystawione publicznie,

zbawiały od niepewności i trosk krewnych, przyjaciół i innych chciwych wieści, jaki będzie los i wyrok zbrodniarza. Tak samo, za pomocą takich komet jako i innych eterycznych dziwów, powiadają milcząco niebiosy: ludzie śmiertelni, jeżeli od tych błogosławionych dusz chcecie jeszcze czegoś, co się tyczy dobra i prywatnego pożytku, spieszcie pilnie, aby im to przedłożyć i zyskać odpowiedź; zbliża się bowiem koniec i katastrofa komedii. Skoro ta zapadnie, próżno będziecie ich żalowali.

Więcej jeszcze czynią niebiosy. Aby bowiem okazać, iż ziemia i ludzie ziemscy nie są godni obecności, towarzystwa i obcowania z tymi dostojnymi duszami, przerażają ich i zdumiewają za pomocą straszliwych cudów, dziwów, monstrów i innych zwiastujących znaków. przeciwnych porządkowi natury. Jako to widzieliśmy na wiele dni przed odejściem owej tak znamienitej, wspaniałej i bohaterskiej duszy uczonego i męznego rycerza Wilhelma Dubiela, pana Langeńskiego, o którym wspominaliście.

— Pamiętam dobrze — rzekł Epistemon — i jeszcze serce mi drga i skacze w swej komóreczce, kiedy pomyślę o różnorodnych i straszliwych dziwach, jakie ujrzeliśmy wyraźnie na kilka dni przed jego zejściem. Tak iż zgoła wszyscy przyjaciele, domownicy i słudzy zmarłego, zdjęci grozą, patrzyli w milczeniu po sobie nie mówiąc ani słowa, ale wraz myśląc i przewidując swoim rozeznaniem, iż niebawem Francja postrada owego rycerza tak doskonałego i potrzebnego dla jej sławy i ochrony i że niebiosy żądają go z powrotem, jako im przynależnego naturalnym prawem własności.

— Na święty kutas mego habitu — rzekł brat Jan — chce mi się zostać uczonym na stare lata, mam jeszcze wcale pakowną mózgowicę. Otóż:

*Pytam się was, ludzie moi,
Jak król pyta drużby swojej
A królowa swych dziewoi:*

Zali ci tutaj bohaterowie i półbogi, o których mówiliście, mogą skończyć śmiercią? Dalibóg, ja myślałem w pomyśleniu swoim,

że oni są nieśmiertelni jako piękne aniołki; odpuść mi, panie Boże. Tymczasem ten tu przewielebny Makrob powiada, iż w końcu umierają.

— Nie wszyscy — odparł Pantagruel. — Stoikowie powiadali o nich, iż wszyscy są śmiertelni, z wyjątkiem jednego, który sam jeno jest nieśmiertelny, niewzruszony, niewidzialny.

Pindarus wyraźnie powiada, że boginiom Hamadriadom nie więcej nitki, to znaczy życia, wysnuły nieubłagane Losy i Parki ze swego przędzy i wrzeciona, niżeli drzewom, o które miały pieczę, a mianowicie dębom, z których urodziły się, wedle opinii Kalimacha i Pausaniasza *in Phoci*. Zgadza się z nimi w tym i Martianus Capella. Co się tyczy półbogów, panów, satyrów, sylwanów, elfów, egipanów, nimf, herojów i demonów, to wielu z nich (wedle ogólnej sumy przyjętej dla długości życia przez Hezjoda) liczyło sobie do 9720 lat; liczba złożona z jedności przechodzącej w poczwórność i poczwórności pomnożonej po czterokroć w sobie; następnie zaś wszystko pomnożone pięć razy przez rzetelne triangle. Patrzcie do Plutarcha, w dziele jego o *Upadku wyroczni*.

— To wszystko — rzekł brat Jan — nie są artykuły brewiarza. Wierzę temu wszystkiemu tyle tylko, ile wam sprawi przyjemność.

— Ja wierzę — rzekł Pantagruel — że wszystkie dusze obdarzone myślą wolne są od nożyc Atroposa. Wszystkie są nieśmiertelne, u aniołów, demonów i ludzi. Opowiem wam ku temu historię bardzo osobliwą, spisaną wszelako i potwierdzoną przez rozmaitych uczonych i biegłych historiografów.

XXVIII. *Jako Pantagruel opowiada żalosną historię tyczącą zgonu herojów*

— Gdy Epiterses, ojciec Emiliana retora, żeglował z Grecji do Italii na okręcie pełnym towarów i podróżnych, pod wieczór, skoro ustał wiatr koło wysep Echinad, które leżą między Moreą

a Tunisem, okręt znalazł się blisko Paksos. Gdy tam wylądowali (przy czym niektórzy spali, drudzy czuwali, inni pili i biesiadowali), dał się słyszeć z wyspy Paksos głos jakiś, który głośno wołał *Thamous*.

Na ten krzyk wszyscy się przerazili. Ów *Thamous* był to ich pilot, rodem z Egiptu, ale którego imię znane było jedynie kilku podróżnym. I drugi raz usłyszano ten głos wołający *Thamous*, jakoby w przeraźliwym okrzyku. Gdy nikt nie odpowiedział, jeno wszyscy stali w miejscu, niemi i drżący, po raz trzeci rozległ się ten głos, straszliwszy jeszcze niż wprzód. Za czym stało się, iż *Thamous* odpowiedział: „Jestem tutaj, czego żądasz ode mnie? co chcesz, abym uczynił?”

Wówczas dał się słyszeć ów głos jeszcze donośniej i rzekł, i rozkazał mu, aby skoro znajdzie się w *Palodes*, ogłosił i uwiadomił, iż wielki bóg *Pan* pomarł. Usłyszawszy to słowo wszyscy żeglarze i podróżni (podaje *Epiterses*) zdumieni się i przerazili wielce; zasię gdy naradzali się, co będzie lepiej, czy zamilczeć, czy też ogłosić to, co im polecono, *Thamous* oznajmił, iż jego zdanie jest, aby w razie pomyślnego wiatru przepłynąć mimo nie rzekąc ani słowa, w razie natomiast, gdyby była na morzu cisza, ogłosić, co usłyszeli. Owóż zdarzyło się, iż gdy przepływali koło *Palodes*, nie było ani wiatru, ani prądu. Wówczas *Thamous*, wstąpiwszy na dziób okrętu i kierując wzrok ku lądowi, rzekł, jak mu to było polecane, iż wielki *Pan* umarł. Jeszcze nie skończył ostatniego słowa, kiedy dały się słyszeć na ziemi ciężkie westchnienia, wielkie lamenty i okrzyki grozy, nie jednej osoby, ale jakoby wielu na raz.

Ta nowina (jako że wielu było przy tym obecnych) rychło rozpowszechniła się w Rzymie. Za czym *Tyberiusz Cezar*, wówczas imperator rzymski, posłał szukać owego *Thamousa*. I słysząc jego słowa dał im wiarę. I wypytując się uczonych ludzi, którzy wówczas znajdowali się w Rzymie i na jego dworze w dużej liczbie, kto by był ów *Pan*, dowiedział się z ich orzeczenia, iż

to był syn *Merkura* i *Penelopy*. Tak dawniej już napisali *Herodot* i *Cyceron* w trzeciej księdze *O naturze bogów*. Ja bym to wszelako odnosił do onego wielkiego *Zbawiciela* wiernych, który poległ w *Judei* haniebnie zamordowany wskutek zazdrości i niegodziwstwa kapłanów, doktorów, księży i mnichów zakonu *Mojżeszowego*. I wykład ten nie zdaje mi się niedorzeczny: słusznie może on bowiem być w języku greckim nazwany *Pan*, zważywszy, iż on jest nasze Wszystko; wszystko, czym żyjemy, co mamy, czego spodziewamy się, jest on, jest w nim, z niego, przez niego. To jest dobry *Pan*, wielki pasterz, który, jako zaświadcza wierny pastuszek *Korydion*, nie tylko ma miłość i przywiązanie do swych owieczek, ale także do swych pasterzy. Po śmierci którego były skargi, westchnienia, zgroza i lamenty w całej budowlu wszechświata, niebios, ziemi, morza, piekieł. Z tym moim wykładem zgadza się i czas, ów bowiem bardzo dobry, bardzo wielki *Pan*, nasz jedyny *Zbawiciel*, zmarł w *Jeruzalem* w czasie, gdy panował w Rzymie *Tyberiusz Cezar*.

Skończywszy mówić *Pantagruel* pogrążył się w milczeniu i głębokiej zadumie. W chwilę potem ujrzelśmy, jak z oczu jego spływają łzy, wielkie jak strusie jaja. Niech mnie Bóg skarże, jeśli skłamał bodaj jedno słowo.

XXIX. Jako *Pantagruel* przebył wyspę *Ścichapeków*, w której władał król *Popielec*

Naprawiono i odświeżono żagle i maszty wesolej flotylli, odnowiono zapas żywności. *Makreoni* niepospolicie byli radzi i zadowoleni z zakupów, jakie poczynił *Pantagruel*, nasi zaś ludzie bardziej radośni jeszcze niż zazwyczaj. Za czym następnego dnia w wielkim weselu rozwinięto żagle wśród pogodnego i rozkosznego akwilonu. Około południa *Ksenomanes* ukazał z daleka wyspę *Ścichapeków*, na której władał *Popielec*. *Pantagruel* słyszał o nim niegdyś i rad byłby ujrzeć we własnej osobie, gdyby *Ksenomanes* go od tego nie odstręczył, tak z przyczyny wielkie-

go nakładu drogi jak również dlatego iż, jak mówił, skąpo uciechy czekało ich na wyspie i dworze onego pana.

— Ujrzyście tam — mówił — za całą paradę, srogiego żarłoka, tęgiego łykacza ślimaków, wielkiego łowcę kretów, wielkiego sianożreja, półolbrzyma z młodym włosiem na brodzie i z podwójną tonsurą, rodem z kraju Latarników, bardzo zmyślnego migacza latarnią, hetmana Ichtiofagów, dyktatora Musztardników, oprawcę małych dzieci, popielnika, ojca i dobrodzieja lekarzy, obwieszzonego odpustami, indulgencjami i stacjami; zacnego człeka, dobrego katolika i wielkiego nabożnisia. Płacze przez trzy czwarte dnia. Nigdy go nie ma na żadnym weselu. Prawdać, że w czterdziestu królestwach nie znajdzie się zmyślniejszego odeń do nawdziewania na rożen i szpilkowania pieczeni. Pożywienie, którym się pasie, to śledzie, sałaty i inne solone pokarmy: z czego niekiedy cierpi na wiewióra. Ubranie ma ucieszne, tak z kroju jak z barwy, ubiera się bowiem szaro i przewiewnie: nie z przodu i nie z tyłu, i rękawy tak samo.

— Zrobiłbyś mi przyjemność — rzekł Pantagruel — gdybyś tak jak mi przedstawiłeś jego szaty, pożywienie, obyczaje i zabawy, opisał mi teraz postać i korpulencję wszystkich jego członków.

— Chętnie — odparł Ksenomanes. — Usłyszymy o nim może obszerniej, gdy będziemy przejeżdżali koło Wyspy Dzikiej, w której władają Kielbaski Tłuste, jego śmiertelne nieprzyjaciółki, przeciw którym toczy nieustanną wojnę. I gdyby nie pomoc szlachetnego Mięso-pusta, ich protektora i życzliwego sąsiada, ten wielki latarnik Popielec byłby już ze szczerem wyrugował z ich pieleszy.

— Czy to są — spytał brat Jan — samice czy samce, anioły czy śmiertelne istoty, dziewice czy niewiasty?

— To są — rzekł Ksenomanes — samiczki z płci a śmiertelne z urodzenia; niektóre prawiczki, niektóre nie.

— Niechże mnie diabli porwą — rzekł brat Jan — trzymam z nimi. Cóż za rzecz niesłychana w naturze, toczyć walkę

z kobietami? Wracajmy. Nauczmy rozumu tego paskudnego draba.

— Walczyć z Popielcem! — rzekł Panurg. — Do wszystkich diabłów, ja nie jestem tak szalony i śmiały zarazem. *Quid juris*, gdybyśmy się znaleźli wzięci we dwa ognie między Kielbaski a Popielec, jakoby między młot a kowadło. Mór i zaraza! Zabierajmyż się stąd! Pomykajmy. Z panem Bogiem, mospanie Popielcze. Polecam ci Kielbaski, a nie zapomnij też o Kiszce Podgarlanej.

XXX. *Jako Ksenomanes zanatomizował i opisał króla Popielca*

— Popielec — rzekł Ksenomanes — co do części wewnętrznych, ma (a przynajmniej miał za mego czasu) mózg, z wielkości, koloru, substancji i tęgości podobny do lewego jądra samca-kleszcza.

Komórki jego są jak świderki.

Wyrostek robaczkowy w mózgu jak pałka do gry w piłkę.

Błony ma jak kaptur mniszy.

Lejek jak szaflik murarski.

Sklepienie jak fartuszek u mniszeczki.

Szynkę jak kobzę.

Sierć cudowną jak szyszak koński.

Wyrostki sutkowate jak buciory.

Błony bębenkowe jak młyny.

Kość skalistą jak miotelkę z pierza.

Kark jak kij od latarni.

Nerwy jak kuraski.

Języczek jak długą rurkę.

Podniebienie jak poduszkę.

Ślinę jak rzepak w strąkach.

Migdały jak okulary z jednym okiem.

Istmus jak nosze do dźwigania.

Gardziel jak koszyk winozbiorów.
 Żołądek jak skarbonkę.
 Odźwiernicę jak widły do gnoju.
 Tchawicę jak kozik.
 Płuca jak kapę prałata.
 Serce jak ornat.
 Śródpiersie jak wiaderko.
 Pleurę jak szczypce.
 Arterie jak gunię bearnęską.
 Diafragmę jak czapkę z klapą.
 Wątrobę jak halabardę.
 Żyły jak ramy u okna
 Śledzionę jak wabik na przepiórki.
 Kiszki jak sieć na ryby.
 Żółć jak dłutko bednarskie.
 Krezkę jak rękawiczkę.
 Jelito czcze jak wytrych.
 Jelito ślepe jak plastron.
 Jelito grube jak kufel.
 Kiszkę stolcową jak puchar klasztorny.
 Nerki jak nóż do ryby.
 Lędźwie jak gruby łańcuch.
 Moczowody jak haki do wieszania kotłów.
 Żyły emulgujące jak pukawki.
 Naczynia spermatyczne jak karbowane ciasteczka.
 Przyjadrza jak garnek z pierzem.
 Pęcherz jak kusza ręczna.
 Szyjka tegoż jak serce u dzwonu.
 Kaldun jak kapelusz albański.
 Błonę brzuszną jak naramiennik.
 Mięśnie jak miechy.
 Ściągna jak rękawiczka na krogulca.
 Więzadła jak sakiewki.
 Kości jak galarete.

Szpik jak sakwę.
 Chrząstki jak skorupę żółwia.
 Gruczoły jak gnip.
 Duchy animalne jak potężne uderzenia pięści.
 Duchy witalne jak długie szachrajstwa.
 Wrząca krew jak szczutki często ponawiane.
 Urynę jak papefig.
 Nasienie jak setkę gwoździ do desek. I opowiadała mi jego
 mamka, że kiedy ożenił się ze Śródpościem, spłodził jedynie
 mnogość adwerbiów lokalnych i niektóre dni postne dubeltowe.
 Pamięć miał jak sito.
 Zdrowy rozum jak buczonego trzmiela.
 Imaginację jak pobrzękiwanie dzwonów.
 Myśli jak lot szpaków.
 Sumienie jako rój młodych czaplatek wyjętych z gniazda.
 Zastanowienie jak wór na owies.
 Skruczę jak ładownicę dubeltowej armaty.
 Przedsiębiorczość jak balast na galarze.
 Objęcie jak postrzępiony brewiarz.
 Inteligencję jak ślimaki wypełzające z poziomek.
 Wolę jak trzy orzechy w jednej lupinie.
 Pożądanie jak sześć wiązanek hiszpańskiego siana.
 Sąd jak chłopiec do butów.
 Dyskrecję jak poduszka.
 Rozum jak nogi stołowe.

XXXI. *Anatomia Popielca co do jego części zewnętrznych*

— Co do swoich części zewnętrznych — ciągnął dalej Kse-
 nomanes — był nieco lepiej ukształtowany, z wyjątkiem iż po-
 siadał siedem żeber ponad zwyczajną ich ilość u ludzi.

Kciuki miał jako klawisze u szpineta.
 Paznokcie jak świdry.

Nogi jak gitary.
 Pięty jak maczugi.
 Podeszwy jak tygle.
 Nogi jak u wypchanych strachów na ptaki.
 Kolana jak zydle.
 Uda jak hełmy.
 Biodra jak szczypce.
 Brzuch wydęty, zapinany wedle starożytnej mody i przypa-
 sany do tułowia.
 Pepek jak kobzę.
 Wzgórek sromowy jak ciastko śmietankowe.
 Członek jak papuś.
 Moszna jak butlę na ocet i oliwę.
 Genitalia jak hebel.
 Kremastery jak piszczalkę.
 Dziurę w zadku jak kryształowe zwierciadło.
 Pośladki jak bronę.
 Lędźwie jak garnek maślany.
 Błonę brzuszną jak bilard.
 Grzbiet jak kuszę.
 Kręgi jak dudy dziadowskie.
 Żebra jak wrzeciona.
 Mostek jak baldachim.
 Łopatki jak moździerz.
 Pierś jak sito.
 Sutki jak gwoździe.
 Pachy jak szachownice.
 Barki jak nosze.
 Ramiona jak czepki.
 Palce jak pogrzebacze klasztorne.
 Przeguby jak para szczudół.
 Łokcie jak łapki na szczury.
 Ręce jak zgrzebla.
 Szyję jak miednicę.

Gardziel jak bukłak hipokrasu.
 Jabłko jak barylkę, przy której wiszą dwa dzyndzyki brązo-
 we, nader piękne i harmonijne, w kształcie klepsydry.
 Brodę jak latarnię.
 Podbródek jak dynię.
 Uszy jak dwie futrzane rękawice.
 Nos jak spiczasty pantofel.
 Nozdrza jak czepek dziecinny.
 Brwi jak rynkę. Nad lewą brwią miał znamię kształtu i wiel-
 kości urynała.
 Powieki jak bałabajkę.
 Oczy jak futerał na grzebień.
 Nerwy optyczne jak krzesiwko.
 Czoło jak kotlik.
 Skronie jak polewaczki.
 Policzki jak para sabotów.
 Szczęki jak kubek.
 Zęby jak groty.
 Język jak harfę.
 Gębę jak czaprak.
 Twarz popstrzoną jak siodło juczne.
 Głowę wydętą jak retortę szklaną.
 Czaszkę jak ładownicę.
 Szwy jak pierścień rybacki.
 Skórę jak gunię chłopską.
 Naskórek jak sito na mąkę.
 Włosy jak szczotkę do butów.
 Sierć, tak jak wyżej opisano.

XXXII. Dalszy ciąg osobliwości Popielca

— Rzeczą cudowną w naturze — rzekł w dalszym ciągu Kse-
 nomanes — jest widzieć i słyszeć obyczaje Popielca.
 Kiedy pluje, wychodzą zeń koszyki pełne karczochów.

Kiedy nos uciera, solone węgorze.

Kiedy płacze, kaczki w szarym sosie.

Kiedy się trzęsie, wielkie pasztety z zająca.

Kiedy się poci, ślimaki na świeżym maśle.

Kiedy czka, ostrygi w skorupkach.

Kiedy kicha, beczulki pełne musztardy.

Kiedy kaszle, puszki marmolady z pigwy.

Kiedy szłocha, wiązki rzeżuchy.

Kiedy ziewa, faski gniecione grochu.

Kiedy wzdycha, wędzone ozory cielęce.

Kiedy gwizda, paczuszki małą zielonych.

Kiedy chrapie, wiadra świeżego bobu.

Kiedy się krzywi, nóżki wieprzowe w smalcu.

Kiedy mówi, gruba siermięga owerniacka, zgola nie ów mięciutki jedwab, z którego, wedle życzenia Paryzatis, miały być utkane słowa tych, którzy przemawiali do syna jej Cyrusa, króla Persów.

Kiedy sapie, to są z tego skarbonki na odpusty.

Kiedy mruga okiem, to ciasteczka i opłatki.

Kiedy mruczy, to koty marcowe.

Kiedy się wykrzywia, to polknięte kije.

Kiedy mamrota, to proces.

Kiedy przebiera nogami, to zawieszenie wypłaty.

Kiedy się cofa wstecz, banialuki oceanские.

Kiedy się ślini, to spiżarnie klasztorne.

Kiedy jest zachrypnięty, to tańce mauretańskie.

Kiedy pierdzi, to napiętki brunatnej krowy.

Kiedy bzdzi, to trzewiki korduańskie.

Kiedy się skrobie, to nowe edykty.

Kiedy śpiewa, to groch w strączkach.

Kiedy heja, to dynie i grzyby.

Kiedy rozprawia, to śnieg zeszłoroczny.

Kiedy się troska, to łajno kolibra.

Kiedy co daje, to bzdzinę św. Klary.

Kiedy śni, to o kusiach fruujących w powietrzu i drapiących się po murze.

Kiedy marzy, to o listach zastawnych.

Rzecz szczególna: pracował nic nie robiąc, nic nie robił pracując. Walkonił się śpiąc, spał walkoniąc się; z oczami otwartymi jako zajac w Szampanii, obawiając się jakiegoś napadu Kielbasek, swych odwiecznych nieprzyjaciółek. Śmiał się kęsając, kąsał śmiejąc się. Nic nie jadł poszcząc, pościł nic nie jedząc. Pogryzał sobie w myśli, pił przez imainację. Kapał się nad wysokimi dzwonniami, suszył się w stawach i rzekach. Zarzucał sieci w powietrze i chwycił piękne raki. Polował w głębi morza i znajdował tam ibisy, skalne kozły i giemy. Chwycił podstępem wrony i wykluwał im zwyczajnie oczy. Niczego nie bał się, prócz swego cienia i beku tłustych koźlatek. W pewne dni zhiżał baki. Z własnej pięści robił siatkę. Na kosmatym pergaminie pisywał swym grubym kosturem przepowiednie i almanachy.

— Patrzcie hultaja — rzekł brat Jan. — Podoba mi się. Takiego szukam. Poślę mu jutro karteluszek.

— Oto — rzekł Pantagruel — osobliwy i poczwarny kawał człowieka, jeśli człowiekiem godzi się go nazwać. Przywodzi mi na pamięć postać i obyczaje Poczwara i Przewrotności.

— Jakże ci znów wyglądali? — spytał brat Jan. — Nigdy o nich nie słyszałem, odpuść mi panie Boże.

— Powiem wam — rzekł Pantagruel — to, co czytałem o tym w starożytnych apologiach. Physis (to jest natura) w pierwszym swym miocie wydała Piękność i Harmonię, bez obcowania cielesnego, jako że sama z siebie jest wielce żyzna i płodna. Antyphysis, która od niepamiętnych czasów jest przeciwniczką Natury, natychmiast powzięła zazdrość o tak piękne i zaszczytne potomstwo; i na odwrót wydała Poczwara i Przewrotność, poczęte z obcowania jej z Tellumonem. Miały one głowę zupełnie

sferyczną i krągłą jako balon; nie zaś łagodnie zwężoną z obu stron, jako jest kształt u ludzi. Uszy były wysoko sterczące jako uszy osła; oczy wybaluszone z głowy, umieszczone na kościach podobnych do pięty, bez rzęs, twarde jak oczy racze; nogi okrągłe jak poduszki, ramiona i ręce wykręcone wstecz ku łopatom. I chodziły na głowach, w nieustannym kołowaniu, z zadkiem nad głową a nogami ku górze. I (jako wam wiadomo, iż małpom zdają się ich małpiatka czymś najpiękniejszym na świecie) Antyphysis chwaliła je i siliła się dowieść, że dzieci jej są piękniejsze i powabniejsze niżeli owe wydane przez Physis; mówiąc, iż mieć głowę i nogi tak sferyczne i wędrować tym kształtem, kręcąc się w kółko, to jest właśnie najodpowiedniejszy sposób i doskonały obyczaj, mający w sobie jakąś cząstkę boskości; jako iż niebo i wszystkie wiekuiste rzeczy posiadają tę kulistą formę. Mieć nogi w powietrzu, a głowę w dole, znaczy naśladować Stwórcę wszechświata: ile że włosy są u człowieka jakoby korzenie, a nogi jako gałęzie. Tak i drzewa lepiej są umocowane w ziemi korzeniami, niżliby były gałęzmi.

Na tym przykładzie chciała udowodnić, iż bardziej i lepiej są jej dzieci podobne do prostego drzewa niżeli dziatki Physis, które, jej zdaniem, były jakoby drzewo wywrócone. Co się tyczy rąk i ramion, dowodziła Antyphysis, iż bardzo właściwie wykręcone są ku łopatom, ta bowiem część ciała nie powinna zostać bez obrony: zważywszy, iż przód dostatecznie jest obwarowany przez zęby, którymi każda istota może się posługiwać nie tylko do żucia bez pomocy rąk, ale także celem obrony. I tak, przy pomocy świadectwa i przytakiwania bezrozumnych bydląt, zjednała wszystkich szaleńców i mózgowców dla swego zdania i była przedmiotem podziwu u wszystkich pomyślników, pozbawionych sensu i zdrowego rozsądku. Następnie urodziła ścichaków, zakutańców, papelarów, opętańców kalwińskich, genewskich szalbierzy, wściekłych Puterbejczyków, golone pały, wszarzy, Kanibalów i inne monstra niekształtne i pokręcone na przekór naturze.

XXXIII. *Jako Pantagruel ujrzał potwornego Physetera około Wyspy Dzikiej*

Gdy około południa zbliżyliśmy się do Wyspy Dzikiej, Pantagruel ujrzał z daleka wielkiego i potwornego Physetera, który płynął prosto ku nam, hucząc, sapiąc, nadymając się, unosząc się nad wodą wyżej niż gniazdo okrętowe i wyrzucając z paszczy w powietrze tyle płynu, ile go toczy wielka rzeka spadająca z wysokiej góry. Pantagruel ukazał go pilotowi i Ksenomane-sowi. Za radą pilota uderzono na talamedze w trąby, jakoby przestrożną fanfarę. Na ten dźwięk wszystkie okręty, galiony, trójmasztowce, liburny (wedle tego, jak było ich morskie prawo) ustawiły się w porządku i szyku takim, jak jest Y greckie, głoska Pythagorasa; jako widzicie, iż zachowują ją żurawie w swym locie. I stał się jakoby szpiczasty trójkąt, którego szpic stanowiła ona talamega, w postawie gotowej do zaciętej walki. Brat Jan rezolutnie i ochoczo wstąpił na dziób okrętu z bombardierami. Panurg rozpoczął krzyczeć i lamentować bardziej niż kiedy.

— Oj ojoj — jęczał — a tośmy wpadli z deszczu pod rynnę. Uciekajmy. To musi być, niech mnie piorun trzaśnie, Lewiatan, opisany przez szlachetnego proroka Mojżesza w żywocie świętego Hioba. Polknij nas wszystkich, wraz ludzi i okręty, jak pigułki. W jego piekielnej paszczy zajmiemy nie więcej miejsca niż małeńka pigułka muszkatu w paszczy osła. Widzicie go oto? Uciekajmy, spieszymy ku lądowi. Myślę, że to jest właśnie ów potwór morski przeznaczony niegdyś do pożarcia Andromedy. Zgubieniśmy wszyscy. O gdybyż tu był jaki dzielny Perseusz i pomógł nam ubić tego potwora!

— Przebiję go na wylot — odparł Pantagruel. — Bądźcie wolni od wszelkiego strachu.

— Męko Pańska — rzekł Panurg — sprawcież tedy, abyśmy byli wolni od przyczyny strachu. Kiedyż chcecie, abym się bał, jeśli nie wobec oczywistego niebezpieczeństwa?

— Jeżeli — rzekł Pantagruel — przeznaczenie twoje jest takie, jak niegdyś to przedstawiał brat Jan, winienes się obawiać Pyroesa, Heona, Aethona, Phlegona, słynnych koni słonecznych rzygających ogniem, które wydają płomień nozdrzami; Physeterów zasię, które wyrzucają jeno wodę uszami i pyskiem, zgoła nie należy ci się lękać. Woda z nich płynąca nie grozi ci niebezpieczeństwem śmierci. Ten żywioł raczej będzie ci ratunkiem i ochroną aniżeli przedmiotem grozy i dokuczliwości.

— Gadaj to pan innym — rzekł Panurg; — baj baju, będziesz w raju. Czyż wam nie wyłożyłem o transmutacji elementów i o bliskim powinowactwie, jakie zachodzi między pieczonym a gotowanym, gotowanym a pieczonym? Och, och! Oto idzie. Pędzę się ukryć. Wszystkim nam teraz dogodzi. Widzę pod bocianim gniazdem tę wiedźmę Atropos, jak się czai ze świeżo wyostrzonymi nożycami, gotując się nam poucinać nitki życia. Ratunku! Oto jest: o jakaś ty straszna i poczwarna! Potopiłaś ty już sporo innych, którzy nie mogą się tym pochwalić. O Jezu! gdybyż choć wyrzucił z siebie dobre, białe, świeże, lubie, rozkoszne winko, miast tej gorzkiej, cuchnącej wody, to byłoby jeszcze wcale do zniesienia; to by ostatecznie można ścierpieć, za przykładem owego milorda angielskiego, którego gdy skazano za różne oczywiste zbrodnie i dano mu do wyboru rodzaj śmierci, prosił, aby go utopiono w beczce malmazji. Oto idzie. A kysz! A kysz! Diable! Satanas! Lewiatanie. Nie mogę patrzeć na ciebie, tak jesteś wstrętny i obmierzły. Idź precz! Marsz na termin, marsz do Pozwańców.

XXXIV. Jako Pantagruel zgładził potwornego Physetera

Physeter wpłynawszy w trójkąt okrętów i galarów wyrzucił na najbliższej będące wodę pełnymi beczkami, jak gdyby to były katarakty Nilu w Etiopii. Pociski, oszczepy, dziryty, lance, grotty, pertyzany leciały nań ze wszystkich stron. Brat Jan

nie żałował ręki. Panurg umierał ze strachu. Artyleria grzmiała i ziała ogniem jak sto diabłów i starała mu się sumiennie zalać sadła za skórę. Ale nie na wiele to się zdało: ciężkie kule z żelaza i brązu wnikając w jego skórę zdawały się topnieć w oczach, jako ołowiane dachówki na słońcu. Wówczas Pantagruel widząc, iż nadeszła chwila próby, napręży ramiona i pokazuje, do czego jest zdolny. Powiadacie (i także jest napisane), iż ten hultaj Kommodus, cesarz rzymski, tak zręcznie strzelał z łuku, że z daleka przepuszczał strzałę między paluszki u podniesionych w górę rączek małych dzieci nie kalecząc ich ani trochę. Opowiadacie nam także o łuczniku indyjskim (w czasie gdy Aleksander Wielki zawojował Indie), który był tak znamenity strzelec, iż z wielkiej odległości przepuszczał strzały przez pierścień, mimo iż były długie na trzy stopy i żeleźce ich było tak duże i mocne, iż przebijało stalowe pancerze, grube szyszaki, kute tarcze, w ogóle wszystko, w co ugodziło, choćby z najbardziej tęgiej, odpornej, twardej i wytrzymałej materii. Powiadacie nam także cuda o zręczności dawnych Francuzów, którzy wszystkich przewyższali w sztuce strzelania z łuku i którzy polując na czarne i rude bestie pocierali ciemiernikiem grotty swoich strzał, ponieważ mięso ubitej w ten sposób dziczyzny bardziej było delikatne, smaczne, zdrowe i mile w smaku; wszelako wykrawali i usuwali samo miejsce ugodzone.

Opowiadacie również o Partach, którzy tyłem strzelali celniej, niż inne narody stojąc przodem. Także sławicie zręczność Scytów, których poseł niegdyś wyprawiony do Dariusza, króla Persów, złożył przed nim ptaka, żabę, mysz i pięć strzał, nie mówiąc przy tym ani słowa. Zapytany, co by oznaczały takie dary i czy polecono mu coś powiedzieć, odparł, iż nie. Za czym stał Dariusz zdumiony i ogłupiały w swoim rozumieniu, aż dopiero jeden z siedmiu wodzów, którzy wybili Magów zwanych Gobriami, wyłożył mu to i wytłumaczył mówiąc: „Przez te dary i znaki powiadają wam w milczeniu Scytowie: jeśli Persowie jak

ptaki nie latają po powietrzu albo jak myszy nie ukryją się pod ziemią, albo nie zanurzają się w głębokość stawów i bagien jako żaby, wszyscy polegą od potęgi i od strzał Scytów“.

Szlachetny Pantagruel był jeszcze bez porównania godniejszy podziwu w sztuce rzucania oszczepów i pocisków. Swymi straszliwymi grotami i pociskami (które co do długości, grubości, ciężaru i okucia podobne były iście do owych wielkich tramów, na których wspierają się mosty w Nancie, Somurze, Berżeraku i Paryżu) na odległość tysiąca kroków otwierał skorupki ostrzyg nie naruszając brzegów; obcinał knot u świecy nie gasząc jej, wykułwał srokom oczy, odcinał podeszwę od buta nie uszkadzając go i obracał kartki w brewiarzu brata Jana, nie rozdzierając ni jednej. Takim pociskiem (których był wielki zapas na okręcie) zrazu ugodził Physetera w czoło, przebił mu na wylot obie szczęki i język, tak iż nie zdołał już otworzyć gęby i nie mógł zaczerpnąć, a potem wyrzucić wody. Za drugim ciosem wybił mu oko prawe, za trzecim lewe. I ujrzano z wielką radością Physetera ozdobionego na czole tymi trzema rogami nieco pochylonymi na przód w formie równoramiennego kąta. Dopieroż zaczął się kręcić na jedną i drugą stronę, gibotać i obracać jak pomyłony, oślepiiony i bliski śmierci. Niezaspokojony tym Pantagruel posłał mu jeszcze pocisk w ogon; następnie jeszcze trzy w kręgi pacierzowe, w prostej linii i równej odległości od głowy i ogona, jakoby w odmierzonych odstępach. Na koniec wsunął mu jeszcze w boki pięćdziesiąt z jednej strony a pięćdziesiąt z drugiej. Tak iż wreszcie ciało Physetera podobne było do rusztowania statku o trzech masztach, a pociski sterczały w nim jako belki kadłuba. I bardzo było uciészne do widzenia. Umierając Physeter przewrócił się brzuchem do góry, jako czyniąc zdechłe ryby; i tak przewrócony, z belkami drzewa zanurzonymi w wodzie, wydawał się podobny do skolopandra, węża o stu nogach, jak go opisuje starożytny mędrzec Nikander.

XXXV. Jako Pantagruel wylądował na Wyspie Dzikiej, starożytnej siedzibie Kielbasek

Wioślarze przodującego statku przyholowali związanego Physetera do pobliskiej wyspy, zwanej Wyspą Dziką, aby go zanatymizować i zebrać tłuszcz z jego nerek, który zachwalano jako bardzo użyteczny i zbawienny w leczeniu niejakiej choroby, noszącej miano: *brak pieniędzy*. Pantagruel nie był tego ciekaw, już widywał bowiem na Oceanie Galickim takie potwory, dość podobne a nawet ogromniejsze. Zgodził się wszelako przybić do brzegu na Wyspie Dzikiej, aby się dać wysuszyć i pokrzepić swoim ludziom, zmoczonym i upačkanym przez tego szpetnego Physetera. Za czym zawinęli do ustronnego portu położonego ku południu, ocienionego pięknym, lubym i wysokim lasem, z którego wypływał rozkoszny strumień słodkiej, jasnej i srebrzystej wody. Tam pod pięknymi namiotami ustawiono kotły kuchenne, nie żałując drew i ognia. Skoro się wszyscy osuszyli i przebrali, brat Jan dał hasło dzwonkiem. Na ten dźwięk żwawo wniesiono stoły i zastawiono je potrawami.

Gdy tak Pantagruel obiadował wesoło ze swymi ludźmi, ujrzał nagle, podczas drugiego dania, sporą liczbę małych Kielbasek, które nie mówiąc słowa wdrapywały się i gramoliły na wysokie drzewo koło zakątka, gdzie ucztowano; za czym spytał Ksenomanesa:

— Cóż to są za zwierzęta? — mniemając, iż to są wydry, łasice, wiewiórki albo gronostaje.

— Kielbaski — odparł Ksenomanes. — Tu jest Wyspa Dziką, o której mówiłem wam dziś rano; między nimi a Popielcem, ich odwiecznym i zawziętym wrogiem, toczy się od dawna śmiertelna wojna. I mniemam, że wskutek huku kanonady skierowanej przeciwko Physeterowi, przestraszyły się nieco, w obawie, że to nieprzyjaciel pojawił się tutaj z całą siłą, aby je zająć znienacka albo też splądrować wyspę. Nieraz to już próbował uczynić, z niewielkim wszelako powodzeniem, zważywszy czuj-

ność i baczność Kielbasek, które (jako mówiła Dydo towarzyszom Eneasza, kuszącym się o zajęcie portu w Kartaginie bez jej wiedzy i zezwolenia) z przyczyny złośliwości nieprzyjaciela i bliskości jego ziem ćwiczyły się w nieustannym czuwaniu i pogotowiu.

— Ej, przyjacielu — rzekł Pantagruel — jeżeli znasz uczciwy sposób, w jaki moglibyśmy położyć koniec tej wojnie i pogodzić ich z sobą, wskaż mi go. Przyłożę się do tego z całego serca i nie będę szczędził trudu, aby ułożyć i zlagodzić sprzeczności między partiami.

— Na razie nie jest to możliwe — odparł Ksenomanes. — Już blisko cztery lata, jak przejeżdżając tędy i przez Wyspę Krecią, postawiłem sobie za zadanie doprowadzić do skutku pokój między nimi albo przynajmniej długie zawieszenie broni, i byliby odtąd dobrymi przyjaciółmi i sąsiadami, gdyby, tak jedni jak drudzy, ustąpili coś ze swego uporu w jednym punkcie. Popielec nie chciał w traktat pokojowy objąć Dzikich Kiszek ani też Kielbasek Górskich i ich dawnych druhów a sprzymierzeńców. Kielbaski żądały, aby wydano Fortecę Śledziową, równie jak i zamek Słonogrodu, pod ich zarząd i panowanie i aby z nich wygnano niejakich hultai, obwiesiów, złoczyńców i rzezimieszków, którzy je dzierżyli w ręku. Tego nie dało się ułożyć i warunki zdały się niesprawiedliwe tak jednej jak i drugiej stronie. Jakoż nie przyszło do ugody. Odtąd wszelako zostali mniej zawziętymi i nieubłaganymi nieprzyjaciółmi niż w przeszłości. Ale od czasu orzeczenia narodowego soboru w Szezilu, który ich całkowicie zmiażdżył, spaskudził i ze czci odarł, a który i Popielca ogłosił zas..nym, zaświnionym sztokfiszem, w razie gdyby wszedł z nimi w jakiegokolwiek przymierza albo układy, obie strony wściekle się zawzięły, rozjątrzyły i zaparły w swym zaciętrzewieniu i nie ma na to żadnego lekarstwa. Łatwiej by pogodzić koty i szczury albo psy i zające.

XXXVI. *Jako dzikie Kielbaski uczyniły zasadzkę przeciw Pantagruelowi*

Gdy to mówił Ksenomanes, brat Jan ujrzał dwadzieścia albo trzydzieści młodych Kielbasek, niewielkiej tuszy, jak zwawym krokiem maszerowały od portu cofając się do miasta, do fortecy, zamku i zwodzonych mostów; za czym rzekł:

— Będzie tu jeszcze kram, przewiduję. Te czcigodne Kielbaski mogły przypadkiem wziąć was za Popielca, jakkolwiek w niczym nie jesteście doń podobni. Dajmy pokój ładowaniu brzuchów i gotujmy się dać im należyty odpór.

— To nie tak głupie, co mówisz — rzekł Ksenomanes. — Kielbaski są Kielbaski, zawsze podstępne i zdradzieckie.

Za czym powstał Pantagruel od stołu, aby wyrzeć na horyzont ponad drzewa; następnie wrócił i oświadczył nam, że ujrzał na lewo zasadzkę Kielbasek tłustych, a z prawej, o pół mili, duży huf innych potężnych i olbrzymich Kielbasek, wzdłuż małego pagórka maszerujących wściekle ku nam przy dźwięku kobz i piszczałek, kotłów i bębnow, trąb i fanfar. Sądząc z siedemdziesięciu i ośmiu chorągwi, których się doliczył, szacowaliśmy, iż liczba ich jest nie mniejsza niż czterdzieści dwa tysiące. Porządek, w jakim kroczyły, ostry krok i śmiałe wejście, pozwalały mniemać, że nie są to jakieś Kielbasiątka, ale stare Kielbasy, posiwałe w rzemiośle wojennym. Od pierwszych do ostatnich szeregów wszystkie były uzbrojone od stóp do głów, z krótkimi włóczniami, o ile mogliśmy ocenić z daleka: były wszelako bardzo ostre i spiczaste. Na skrzydłach kroczyła duża ilość Kiszek z dziczyzny, podgardlanych i Kielbasek konnych, wszystkie rosnącego kształtu i marsowej postaci, Pantagruel zaniepokoił się bardzo, i nie bez przyczyny, jakkolwiek Epistemon tłumaczył mu, iż może to właśnie zwyczaj i obyczaj krainy kielbasianej jest taki, aby witać i przyjmować w pełnym uzbrojeniu obcych sprzymierzeńców, jako szlachetnych królów Francji witają i przyjmują wierne miasta w ich królest-

wie, skoro pierwszy raz wjeżdżają do nich po koronacji i objęciu tronu.

— Być może — powiedział — jest to zwyczajna straż tutejszej królowej, która ostrzeżona przez młode Kielbaski, usadowione na przespiegach na drzewie, że zawinęła do portu piękna i wspaniała flotylla, pomyślała, iż musi to być jakiś bogaty i potężny książę i przybywa nawiedzić cię własną osobą.

Nie zaspokojony tym Pantagruel zwołał radę, aby usłyszeć zdanie swoich, co by należało począć w tym położeniu niepewnej nadziei a oczywistej obawy.

Za czym pokrótce przedstawił im, iż taki obyczaj zbrojnego witania często pod pozorami życzliwości i przyjaźni ukrywa cios zdradziecki i śmiertelny.

— Tak — powiedział — cesarz Antonin Karakalla wygubił za jednym razem mieszkańców Aleksandrii, za drugim zniósł hufiec Artabana, króla Persów, pod udanym pozorem, że chce zaślubić jego córkę. Co mu nie uszło bezkarnie; w niedługi bowiem czas postradał życie. Tak synowie Jakuba mszcząc się porwania siostry Diny wytępiłi Sichemitów. W ten zdradziecki sposób Galien, cesarz rzymski, wygubił załogę Konstantynopola. Tak pod pozorami przyjaźni Antoniusz zwabił Artawadesa, króla Armenii, następnie dał go związać i okuć w ciężkie kajdany; wreszcie kazał go zabić. Tysiące podobnych historii znajdujemy w starożytnych kronikach. I słusznie aż dotąd wychwalają przezorność Karola, króla Francji, szóstego tego imienia, który gdy wracał jako zwycięzca z Flamandii i Gandawy do swego miłego miasta Paryża i usłyszał, iż Paryżanie wyszli z miasta w pełnym rynsztunku i w szyku wojennym, w ilości dwudziestu tysięcy zbrojnych, nie chciał wniknąć (jakkolwiek przedstawiali mu, iż tak się uzbroili, aby go zaszczytnie przyjąć i bez innego zamiaru ani złej myśli), póki nie wrócili do domów i nie złożyli oręża.

XXXVII. O tym, jako Pantagruel posłał po rotmistrzów Łuszczykielbasę i Siekajkiche, wraz z pouczającą rozprawą o imionach własnych miejscowości i osób

Postanowienie rady orzekło, iż na wszelki wypadek należy się mieć na baczności. Wówczas na zlecenie Pantagruela, a za pośrednictwem Karpalima i Gymnasta, sprowadzono z okrętów załogę.

— Ja oszczędzę — rzekł Panurg — Gymnastowi jego trudu. Przy tym obecność jego może wam tu być potrzebna.

— Na ten habit, który noszę — rzekł brat Jan — chcesz umknąć się od bitwy, kuśko zatracona, i już się nie pokażesz, żebyś tak zdrów był. Ba, nie wielkać to strata. Tylko by tutaj płakał, zawodził, krzyczał i odbierał ducha dobrym żołnierzom.

— Wrócę z pewnością — rzekł Panurg — wrócę, bracie Janie, mój ojczcie duchowny, i to rychło. Wydajcie jeno rozkaz, aby te utrapione Kielbaski nie drapały się na okręty. Podczas gdy wy będziecie walczyć, ja będę Boga prosił o zwycięstwo, na wzór walecznego hetmana Mojżesza, wodza Izraela.

— Nazwy tych dwóch rotmistrzów: Łuszczykielbasa i Siekajkicha — rzekł Epistemon do Pantagruela — zwiastują nam w tej potrzebie dobrą otuchę, zwycięstwo i powodzenie, gdyby przypadkiem te Kielbaski chciały nas zaczepić.

— Z dobrej strony rzecz bierzesz — rzekł Pantagruel — podoba mi się, iż z imion rotmistrzów przewidujesz i wróżysz zwycięstwo. Taki sposób wróżenia z imion jest już nie dzisiejszy. Niegdyś był on uświetniony i ze czcią przechowywany przez pitagorejczyków. Wielu znacznych panów i dawnych cesarzy korzystało zeń. Oktawian August, drugi cesarz rzymski, spotkawszy jednego dnia wieśniaka zwanego Entychos, to znaczy szczęśliwy, który prowadził osła nazwanego Nikon (po grecku zwycięzca), uderzony znaczeniem tych imion, tak mulnika jak i osła, nabrał wiary w swą pomyślność, tryumf i zwycięstwo. Wespazjan, również cesarz rzymski, jednego dnia pędził czas

samotnie na modłach w świątyni Serapisa; wtem wszedł nie spodzianie sługa jego imieniem Bazylides, to znaczy „królewski“, którego z dawna zostawił chorym; z czego powziął nadzieję i pewnośc uzyskania cesarstwa. Religianos nie dla innej racji ani przyczyny, jeno dla własnego imienia został przez wojsko obwołany cesarzem. Czytajcie Kratyla boskiego Platona.

— Na moje pragnienie — rzekł Rizotomos — muszę przeczytać; bardzo często bowiem słyszę, jak go nam przytaczacie.

— Patrzcie, jak pitagorejczycy, z racji liczb i imion, doszli, iż Patrokla musiał ubić Hektor, Hektora Achilles, Achillesa Parys, Parysa Filoktet. W głowie mi się mąci po prostu, kiedy myślę o cudownym wynalazku Pitagora, który przez parzystą albo nieparzystą liczbę zgłosek każdego imienia poznawał, z której strony człowiek był kulawy, ślepy, pedogryczny, paralityczny, pleurytyczny lub dotknięty innymi ułomnościami natury; mianowicie oznaczając ilością *par* lewą stronę ciała, ilością zaś *impar* prawą.

— To szczerza prawda — rzekł Epistemon; — sam widziałem przykład tego w Ksancie, w czas wielkiej procesji, w osobie zacnego, cnotliwego, uczonego i sprawiedliwego Brianda Waleta, pana Ducheńskiego. Ilekroć przechodzi kulawy albo kulawa, ślepiec albo ślepa, garbus albo garbuska, powiadano mu jeno ich imię własne. Jeżeli liczba zgłosek była *impar*, wówczas nie widząc wcale osób orzekał, iż są uszkodzone, kulawe, ślepe, garbate ze strony prawej. Jeżeli liczba *par* — po stronie lewej. I tak w rzeczy było prawdą i nigdy nie spostrzeżliśmy wyjątku.

— Dzięki temu odkryciu — rzekł Pantagruel — uczeni twierdzili, iż klęczącego Achillesa ugodziła strzała Parysa i zraniła w piętę prawą: zgłoski bowiem imienia są *impares*. Tutaj należy zauważyć, iż starożytni przyklękali na prawe kolano. Wenerę zranił pod Troją Diomedes w rękę lewą: jej bowiem imię po grecku składa się z czterech zgłosek. Wulkan kulał na lewą nogę dla tej samej przyczyny. Filip, król Macedonii,

i Hannibal ślepi byli na lewe oko. Tak samo moglibyśmy oznaczyć pedogry, przepukliny, hemikranie za pomocą tej pitagorejskiej racji. Ale aby wrócić do imion, zważcie, jak Aleksander Wielki, syn króla Filipa, o którym mówiliśmy, osiągnął raz cel swego przedsięwzięcia jedynie za pomocą wykładu imienia. Obiegał potężne miasto Tyr i dobijał się doń wszystkimi siłami kilka tygodni; na próżno. Nic nie pomagały tarany i kusze: wszystko, zaledwo zniszczone, wraz było na nowo naprawione przez tyrojezyków. Za czym powziął myśl, aby zaniechać oblężenia, z wielkim wszelako smutkiem, widząc w tym ogromny uszczerbek dla swej sławy. W takiej wątpliwości i strapieniu usnął. We śnie marzyło mu się, iż satyr był w jego namiocie, tańcząc i podskakując na kozłach nóżkach. Aleksander chciał go ująć: satyr wymykał mu się ciągle. Wreszcie król, wcisnąwszy go w kąt, pochwycił go. W tej chwili obudził się; opowiedziawszy swój sen filozofom i uczonym usłyszał, iż bogowie przyrzekają mu zwycięstwo i że Tyr niebawem będzie wzięty; to słowo bowiem *Satyros*, podzielne na dwoje, brzmi *sa Tyros*, co znaczy: twoim jest Tyr. Jakoż za pierwszym szturmem wziął miasto siłą i we wspaniałym zwycięstwie ujarzmił ten buntowniczy naród. Na odwrót, zważcie, jak przez wykład jednego słowa Pompejusz zwątpił o sobie. Zwyciężony przez Cezara pod Pharsalus, nie miał innego sposobu ratowania się prócz ucieczki. Uciekając morzem przybył do wyspy Cypru. Około miasta Pafos ujrzał na brzegu piękny i bogaty pałac. Spytawszy pilota, jak nazywają ów pałac, usłyszał, iż nazywają go *Καροβασιλέα*, to znaczy *niedola króla*. To miano nappełniło go taką grozą i wstrętem, iż popadł w rozpacz, jakoby upewniony, że nie uniknie bliskiej utraty życia. Tak iż obecni i żeglarze słyszeli jego krzyki, jęki i wzdychania. W istocie w niedługi czas potem niejaki Achilles, wieśniak nieznany, uciął mu głowę. Moglibyśmy jeszcze tu przytoczyć, co zdarzyło się L. Paulusowi Emiliusowi, wówczas gdy uchwałą senatu wybrano go imperatorem, to jest wodzem armii, którą wysyłali przeciw

Persesowi, królowi Macedonii. Tegoż samego dnia pod wieczór wróciwszy do domu, aby się gotować do podróży, całując swą córeczkę imieniem Tracja, spostrzegł, że jest nieco smutna. „Co ci — rzekł — moja Tracjo? Dlaczegoś taka smutna i stroskana?” — „Mój ojciec — odparła — Persa umarła“. Tak nazywała ulubioną suczkę. Na te słowa Paulus nabrał pewności o zwycięstwie swoim nad Persesem. Gdyby czas pozwalał nam roztrząsać tutaj święte księgi hebrajskie, znaleźlibyśmy sto ustępów pokazujących dowodnie, w jakim zachowaniu i czci były dla nich imiona własne i ich znaczenia.

Pod koniec tej rozmowy przybyli dwaj rotmistrze na czele żołnierzy, uzbrojonych i pełnych wojennego ducha. Pantagruel udzielił im krótkiego napomnienia, aby okazali swe męstwo w boju, w razie gdyby doń byli zmuszeni (jeszcze bowiem nie mógł wierzyć, aby Kielbaski mogły być tak zdradzieckie), zakazał wszelako pierwszym rozpocząć starcie; i dał im słowo *Thusty Wtorek* jako hasło.

XXXVIII. *Jako nie należy ludziom mieć Kielbasek w pogardzie*

Pokpiwacie tu sobie, opoje, i nie wierzycie, iż w istocie działało się naprawdę, jak wam powiedziałam. Nie wiem tedy, co z wami począć. Wierzcie, jeśli chcecie; jeśli nie chcecie, idźcie się przekonać. Ale ja wiem dobrze, com widział. To było na Wyspie Dzikiej. Nazywam ją po imieniu. A pamiętacie wszakże mnóstwo starożytnych olbrzymów, którzy zamierzili wysoką górę Pelion włożyć na Osę i cienisty Olimp zrównać z Ossą, aby się porwać na bogów i wyparować ich z nieba. To nie była rzecz zwykłej ani lada jakiej siły. Byli oni wszelako kielbasianej przyrody w połowie ciała, albo też na kształt węzów, żeby nie skłamać.

Wąż, który skusił Ewę, był kształtu kielbaski; mimo to napisane jest, iż był chytry i przebiegły bardziej od innych zwierząt.

Takie są i Kielbaski.

Utrzymują wszelako w niektórych akademiach, iż kusicielem tym była Kielbaska zwana Ityphalus, w którą niegdyś przemieniono poczwiinę Priapa, wielkiego uwodziciela kobiet w *paradyzie* po grecku, co znaczy po naszymu ogrodzie. Hiszpanie, dziś naród waleczny i śmiały, kto wie, czy niegdyś nie zwali się *Kiszkanie*? Nie włożyłbym za to palca w ogień. Himantopodzi, bardzo znamienity naród w Etiopii, są to, wedle opisu Pliniusza, Kielbaski, nie co innego.

Jeśli te wywody nie wystarczą dla niedowiarstwa waszych wielmożności, natychmiast (rozumiem, lyknawszy wprzód) pospieszcie zwiedzić Luzynian, Partyń, Wowan, Merwan i Ponseggę w Polcie. Tam znajdziecie starych, tęgich, kutych świadków, którzy wam przysięgną na ramię św. Rygomeusza, że Meluzyna, ich pierwsza założycielka, miała ciało kobiece aż do przyrodzonej taszki, reszta zaś niżej to była kielbaska węzowata, albo też wąż kielbasiany.

Jaka była przyczyna, dla której Erychtoniusz pierwszy znalazł powozy, wózki i lektyki? Dlatego, iż wulkan spłodził go z kielbasianymi nogami; za czym, aby je ukryć, chętniej woził się w lektyce niż na koniu, za jego czasu bowiem Kielbaski nie były w wielkiej estymie.

Nimfa Scytyjska Ora miała podobnie ciało wpółkobiece wpółkielbasiane. Zdała się wszelako Jowiszowi tak piękną, iż przespał się z nią i miał z niej pięknego syna, imieniem Kolakses. Przestańcie sobie zatem dworować i wierzcie, iż nie ma nic prawdziwszego, chyba jeno Ewangelia.

XXXIX. *Jako brat Jan sprzymierza się z kuchtami, aby zwalczać Kielbaski*

Widząc brat Jan te wściekle Kielbaski kroczące tak śmiało, rzekł do Pantagruela:

— To będzie dopiero ładna kokosza wojna, wedle tego, co widzę. Wielki zaszczyt i straszną chlubę osiągniemy ze zwycięstwa! Wolalbym, abyś Wasza Dostojność był na okręcie jedynie świadkiem starcia, a resztę zostawił mnie i moim ludziom.

— Jakim ludziom? — spytał Pantagruel.

— Tajemnica brewiarza — odparł brat Jan. — Dlaczego Potiphar, starszy kucharz faraona, ten, który kupił Józefa i któremu Józef byłby przypisał rogi, gdyby chciał, był dowódcą kawalerii całego Egiptu? Dlaczego Nabuzardana, nadwornego kucharza Nabuchodonozora, wybrano spośród innych rotmistrzów, aby oblegał i spustoszył Jerozolimę?

— Słucham — rzekł Pantagruel.

— Na te święte postronki — rzekł brat Jan — ośmieliłbym się przysiąc że dlatego, iż przedtem walczyli z Kielbaskami albo ludźmi tak nisko szacowanymi jak Kielbaski, dla których zwalczania, pobicia, ujarzmienia i poszatkowania kucharze są bez porównania sposobniejsi i właściwsi niż wszyscy rycerze, hoplici, żołdacy i piechury w świecie.

— Przywodziś mi na pamięć — rzekł Pantagruel — co jest zapisane między uciesznymi i wesołymi odpowiedziami Cicerona. W czasie wojen domowych między Cesarzem a Pompejuszem Cycero z natury bardziej przechylał się do Pompejusza, mimo iż Cezar bardzo starał się oń i okazywał mu względy. Jednego dnia usłyszawszy, że Pompejanie ponieśli znaczne straty w ludziach, zapragnął zwiedzić ich obóz. W obozie ujrzał mało siły, jeszcze mniej odwagi, a wiele bezładu. Za czym przewidując, iż wszystko obróci się na złe i na zagładę, jako się później i stało, zaczął dworować sobie i pokpiwać to z jednych, to z drugich, nie szczędząc ostrych i kłujących uszczypków, ile że w tych był bardzo mocny. Niektórzy rotmistrze udając zuchów, jakoby bardzo pewni siebie i śmiali, rzekli doń: „Widziszże, ile jeszcze mamy orłów?“ To było wówczas godło Rzymian w czasie wojennym. „To — odparł Cyceron — byłoby bardzo dobre i użyteczne, gdybyście wiedli wojnę przeciw sro-

kom“. Za czym zważywszy, że trzeba nam walczyć z ludem kielbasianym, oceniasz, że to jest bitwa kuchenna i chcesz wejść w przymierze z kuchtami. Czyń, jak uważasz. Ja zostanę tutaj, patrzeć, jaki wezmą obrót te fanfary.

Natychmiast udał się brat Jan do kuchen i rzekł w wesołości serca i przyjaźnie do kucharzy:

— Dzieci, pragnę was wszystkich okryć czcią i tryumfem: dokonacie czynów wojennych nie widzianych jeszcze za naszej pamięci. A, do stu pełnych brzuchów! czy nie za nisko świat szacuje serce dzielnych kucharzy? Chodźmyż się dobrać do tych skurwycórek Kielbasek. Ja będę waszym wodzem. Popijmyż w koło. Hej, na kuraż.

— Kapitanie — odrzekli kuchty — dobrze mówicie. Jesteśmy na wasze usługi. Pod twoją wodzą chcemy żyć i umierać.

— Żyć — rzekł brat Jan — owszem; umierać, nie; zostawmy to Kielbaskom. Owo ustawmy się w szyki. *Nabuzardan* będzie waszym hasłem.

XL. Jako brat Jan zbudował maciorę i ukrył w niej dzielnych kucharzy

Wówczas na rozkaz brata Jana mistrze inżynierowie złożyli wielką maciorę, która znajdowała się na dnie jednego z okrętów. Była to cudowna machina, zbudowana tak przemyślnie, iż z wielkich kusz, które szeregiem znajdowały się naokoło, wyrzucała kule kamienne i belki kute stałą; wewnątrz zaś mogło swobodnie walczyć z ukrycia dwieście i więcej ludzi; a była zrobiona na kształt maciory z Rioli, przy pomocy której odebrał Anglikom rycerza Berżeraka, wówczas gdy władał we Francji król Karol Szósty. Następuje liczba i imiona dzielnych i walecznych kucharzy, którzy, jako w owym koniu Trojańskim, ukryli się w brzuchu świni:

Cebulka,
Tchórzyk,

Nicpotem,
Fujara,

Sadliczek,
Drapichrust,
Ledwodrypa,
Ślimaczek,
Mistrz Brudas,
Łupimoźdierz,
Groszek,
Pieczonka,
Trzęsigarnek,
Gryzoń,

Wędzonka,
Niedojad,
Liżyłyżka,
Naleśnik,
Flaczek,
Winodój,
Koperek,
Bździnek,
Pospieszaj,
Wiercimak.

Wszyscy ci szlachetni kucharze mieli w herbowych tarczach szpikulec w zielonym polu, ozdobiony srebrnym galonikiem zwisającym na lewo.

Smalczyk,
Dusismalec,
Gęsismalec,
Kragłysmalec,
Kręcismalec,
Drapismalec,
Tęgismalec,

Gryzismalec,
Tlustysmalec,
Arcysmalec,
Antysmalec,
Miesismalec,
Łasismalec,
Liżysmalec,

Imiona nieznane u Żydów i Maranów.

Samczyk,
Rzeżuszka,
Świniodój,
Rosolarz,
Liżyudko,
Gnieciuch,
Tłuczygarnek,

Saletra,
Rzepuch,
Króliczek,
Podajdyszek,
Łuszczybochenek,
Sosik,

i wiele, bardzo wiele jeszcze szlachetnych kucharzy, dwornych, krzepkich, nie w ciemę bitych i przynagłych w bitwie. Zasię brat Jan ze swym krótkim mieczykiem wszedł ostatni i zamknął od wewnątrz drzwi na zatrzask.

XLI. Jako Pantagruel połamał Kielbaski na kolanie

Tak blisko podsunęły się owe Kielbaski, iż Pantagruel ujrzał, jak ruszają ramionami i zaczynają już pochylać piki. Za czym posłał Gymnasta, aby dowiedział się, o co im chodzi, dla jakiej zwady chcą oto bez wypowiedzenia wojny wojować przeciw dawnym przyjaciółom, którzy w niczym nie skrzywdzili ich ani obrazili. Gymnastes przybywszy przed pierwsze szeregi złożył wielki i głęboki ukłon, następnie zakrzyknął jak mógł najgłośniej:

— Wasi, wasi, wasi, jesteśmy z całego serca, gotowi do wszelkich usług. Jesteśmy lennicy *Tłustego Wtorku*, waszego dawnego sprzymierzeńca.

Niektórzy wszelako mi opowiadali, iż powiedziałem *Wtorego Tłustku*, a nie *Tłustego Wtorku*. Na te słowa wystąpił na front batalionu gruby, srogi i zażywny sardelek i chciał go chwycić za gardło.

— Pomagaj Bóg — rzekł Gymnastes — wejdiesz tam chyba na raty, bo na raz byś się nie zmieścił.

Za czym dobył swego dwuręcznego miecza *Całujmniegdzieś* (tak go nazwał) i przeciął serdelka na dwie części. Boże miłosierny, ależ był tłusty! Przypomina mi się wielki byk berneński, ubity pod Marynianem, w czasie porażki Szwajcarów. Wiercie mi, miał nie mniej niż cztery całe sadła na brzuchu. Gdy tego serdelka tak serdecznie uraczono, Kielbaski rzuciły się na Gymnastę i powaliły go szpetnie. Aliści Pantagruel ze swymi ludźmi nadbieżał wielkim krokiem na pomoc; wówczas rozpoczął się straszny bój i zamieszanie. Rotmistrz Łuszczykielbasa łuszczył Kielbaski, Siekajkicha siekał Kiszki. Pantagruel łamał Kielbaski na kolanie.

Brat Jan siedział spokojnie ukryty w swej maciorze, patrząc i dając baczenie na wszystko, kiedy Kiszki krwawe, ukryte dotąd w zasadzce, wyszły z ukrycia i rzuciły się z wielkim wrza-

skiem na Pantagruela. Wtedy brat Jan widząc tumult i zamieszanie, otwiera bramy maciory i wychodzi ze swą dzielną armią: jedni nieśli rożny, drudzy pogrzebacze, szpikulce, brytfanny, rondle, patelnie, ruszty, garnki, moździerze, tłuczki, miotły, noże, wszystko w bojowym porządku, wyjąc i krzycząc wspólnym głosem na całe gardło: *Nabuzardan, Nabuzardan, Nabuzardan*. Wśród takich krzyków i zamętu natarli na krwawe Kiszki i pędzili serdelkom po brzuchach. Kielbaski spostrzegły naraz tę niespodziewaną odsiecz i zaczęły uciekać wielkim galopem, jak gdyby ujrzały samego diabła. Brat Jan walił do nich z kuszy i kładł je jak muchy; żołnierze też nie żalowali ręki. Litość była patrzeć. Całe pole pokryte było martwymi i poszarpanymi Kielbaskami. I mówi historia, że gdyby Bóg nie był nad tym czuwał, cały ród kielbasiany byłby wytepion ze szczerem przez owych żołnierzy. Ale zdarzył się cudowny wypadek. Uwierzyćcie albo nie, jak wam się podoba. Od Transmontany przyleciał tłusty, pulchny prosiak, o długich i szerokich skrzydłach, jako są skrzydła u wiatraka. I miał upierzenie karmazynowoczerwonego koloru, jako u Fenikoptera, którego w Langwedoku nazywają Płomieńcem. Oczy miał czerwone i jarzące jak u Pyropa. Uszy zielone jak szmaragd praski, zęby żółte jak topaz; ogon długi, czarny jak marmur lukuliański; nogi białe, przezroczyste i przeświecające jak diament i szeroko upletwione jakoby u gęsi, jak niegdyś w Tołozie miała królowa Gęsia-nóżka. Na szyi miał złoty łańcuch, dokoła którego biegł napis w głoskach jońskich, oznaczający świnię Minerwy. Czas był piękny i pogodny. Ale na widok tego potwora zagrzmiało z lewej strony tak silnie, iż stanęliśmy w osłupieniu. Kielbaski, które go ujrzały, nagle rzuciły broń i dzidy i klękły wszystkie na ziemi, wznosząc do góry złożone ręce, bez słowa, jak gdyby zatopione w adoracji. Brat Jan ze swymi ludźmi walił ciągle i nawdziewał Kielbaski na rożen. Ale na rozkaz Pantagruela zatrąbiono odwrót i walka ustała. Potwór, przefurgnąwszy kilka razy tam i z powrotem między wojskami, rzucił na ziemię więcej niż

dwadzieścia dwa słoików musztardy, następnie zniknął ulatując w powietrze i krzycząc bez ustanku: „Zapusty, zapusty, zapusty!”

XLII. Jako Pantagruel parlamentuje z Niphleseth, królową Kielbasek

Skoro wreszcie potwór znikł z widnokręgu i obie armie trwały w milczeniu, Pantagruel zażądał parlamentować z panią Niphleseth (tak nazywno królowę Kiebasek), która znajdowała się blisko sztandarów, w karocy. Na co się z łatwością zgodzono. Królowa zeszła na ziemię, uprzejmie pozdrowiła Pantagruela i dała znak, iż widzi go rada. Pantagruel użalił się na tę wojnę. Wytłumaczyła się grzecznie, wymawiając się, iż popełniono omyłkę wskutek fałszywego raportu i że szpieczy donieśli jej, iż Popielec, odwieczny ich nieprzyjaciół, wylądował na wyspie i zabawiał się oglądaniem uryny Physetera. Następnie prosiła, aby im łaskawie darował tę obrazę, przytaczając, iż u Kielbasek łatwiej doszukać się łajna niż zółci. Zasię warunki pokoju miały być, iż ona i wszystkie jej następczynie po wieczne czasy będą dzierżyły od niego i jego następców cały kraj i wyspę jako dzierżawę i lenno; będą posłuszne zawsze i we wszystkim jego rozkazom; będą przyjaciółkami jego przyjaciół, a wrogami wrogów; i co rok, jako znak widoczny lennictwa, wyślą siedemdziesiąt osiem tysięcy kielbasek królewskich, aby mu służyły za przekąskę do stołu na pół roku. Czego też dopełniła i posłała nazajutrz w sześciu wielkich brygantynach rzeczoną liczbę kielbasek królewskich dobremu Gargantui, pod wodzą młodej Niphleseth, infantki tej wyspy. Szlachetny Gargantua posłał je w podarku wielkiemu królowi Paryża. Ale ze zmianą klimatu, a także dla braku musztardy (naturalnego balsamu i ożywczej zaprawy kielbasek), poginęły prawie wszystkie. Na prośbę dam królewskiego dworu ocalono młodą Niphleseth i przyjęto ją z honorami. Później wyswatano ją godnie i do-

statnio za mąż i wydała mnogo urodnych dzieci, za co chwala niech będzie niebiosom.

Pantagruel podziękował wdzięcznie królowej, przebaczył wszelką urazę, odrzucił ofiarę, do której okazała gotowość, i dał jej jako gościniec piękny nożyk praski. Następnie wypytował się jej o zjawisko rzeczzonego potwora. Odpowiedziała mu, iż to była Idea Mięso-pusta, ich opiekuńczego boga w czasie wojny, pierwszego założyciela i protoplasty rasy kielbasianej. I podobny był do świni, ponieważ Kielbaski poczęły się ze świni. Pantagruel spytał, z jakiej przyczyny i w jakim zamiarze leczniczym wyrzucił z siebie tyle musztardy. Królowa odpowiedziała, iż musztarda jest ich świętym Graalem i balsamem niebieskim; którego gdy nieco położą na rany pobitych Kielbasek, w krótkim czasie skaleczone zdrowieją, a zmarłe zmarłych wstają.

Więcej nie rozmawiał Pantagruel z królową i wrócił na okręt. Toż samo uczynili inni dobrzy towarzysze, zabrawszy wszelki oręż i swoją maciorę.

XLIII. *Jako Pantagruel wylądował na wyspie Ruach*

W dwa dni później przybyliśmy do wyspy Ruach. Owo przysięgam wam na śmietankę z mlecznej drogi, iż obyczaj i życie tego narodu wydały mi się nad wyraz szczególne. Żyją jedynie wiatrem. Nic nie piją, nic nie jedzą, prócz wiatru. Za dom służą im jeno chorągiewki na dachu. W ogrodach sieją jeno trzy gatunki wietrznicy; rutę i inne zioła przeciwne wiatrom starannie plewią. Lud pospolity używa dla pożywienia się wachlarzy z piór, z papieru, z płótna, wedle zamożności i apetytu. Bogaci żyją wiatrakami. Kiedy wydają ucztę albo bankiet, ustawia się na stole jeden albo dwa wiatraki. Przy nich raczą się pełni ukontentowania, jakoby na weselu. I podczas tego posiłku rozprawiają o dobroci, wyborności, zbawienności, rzadkim smaku wiatrów, jak wy, opoje, w czas bankietu uradzacie

o winach. Jeden chwali Sirocco, drugi Besz, inny Zefira, inny znów Galernę. I tym podobnie. Inny znowuż wiatry spod koszulki, dla fireyków i zakochanych. „Och — wzdychał przy mnie jeden mały opuchlak — gdybym to mógł mieć bodaj pęcherzyk dobrego wiatru Langwedockiego, który nazywają Cyerce! Szlachetny Skurron, dobry lekarz, przejeżdżając jednego dnia przez ten kraj, opowiadał nam, że ten wiatr jest tak mocny, iż przewraca naładowane wozy. O, jakby mi on dobrze zrobił na spuchniętą nogę“.

Ujrzałem tam człowieka okazałej tuszy, z wejrzenia podobnego do róży wietrznej, jak bardzo się gniewał na grubego pacholka i na pazika i grzmocił ich jak diabli własnym butem. Nie znając przyczyny gniewu mniemałem, iż było to z porady lekarzy, jako iż rzeczą zbawienną dla pana jest złościć się i grzmocić, dla sługi zaś być grmoconym. Ale usłyszałem, jak wyrzuca pacholkowi, że mu podkradł wazkę wiatru zachodniego, którą przechowywał troskliwie, jako rzadką potrawę, na koniec sezonu. Nie bejają, nie oddają uryny, nie pluja na tej wyspie. Natomiast bǳą, pierdzą i czkają. Podlegają wszystkim rodzajom i odmianom chorób. Bowiem każda choroba zaczyna się i zapowiada wzdęciem wiatrów, jako wywodzi Hipokrat, *lib. de Flatibus*. Ale najbardziej nagminną jest tam kolka wietrzna. Aby ją leczyć, stawiają obficie bańki i oddają w nie mnogo wiatrów. Umierają wszyscy od puchliny wietrznej i bębnicy i wydają ostatnie tchnienie mężczyźni pierdząc, kobiety bǳąc. Tak dusza ich wychodzi z ciała zadkiem.

Następnie przechadzając się po wyspie spotkaliśmy trzech wielkich wiatrogłowów, idących dla zabawy popatrzeć na siewki, które rodzą się tam licznie i żyją tą samą strawą. Zauważyłem, że tak jak wy, pijaki, puszczając się gdzieś w drogę, macie z sobą buklaki, flasze i manierki, tak z nich każdy u pasa miał mieszek. Jeżeli przypadkiem brakło im wiatru, za pomocą tych pięknych mieszków zaopatrywali się w świeży, a to przez kolejne ściskanie i rozszerzanie, jako wiecie, że wiatr

w esencji swojej jest nie czym innym, jeno płynącym i falującym powietrzem.

W tej chwili otrzymaliśmy od ich króla polecenie, że przez trzy godziny nie wolno nam dać schronienia na okrętach żadnemu z tamiecznych mężczyzn ani kobiet. Skradziono mu bowiem wazkę pełną tegoż samego wiatru, który niegdyś Ulissowi dał pocciwy dmuchała Eol, aby popędzał nim okręt w czas ciszy morskiej. Król przechowywał go ze czcią, jakoby drugiego świętego Graala, i leczył nim różne straszliwe choroby, tylko tyle wypuszczając go i dmuchając na chorych, ile starczy na jedno pierdnięcie dziewicy: co nasze pobożne siostry nazywają *sonetto*.

XLIV. Jako małe deszcze walą na ziemię wielkie wiatry

Pantagruel chwalił to gospodarstwo i obyczaj i rzekł do ich podesty Hypenemiana:

— Jeżeli godzicie się z mniemaniem Epikura, który powiadał, iż najwyższe dobro zasadza się na rozkoszy (rozkoszy, powiadam, łatwej a nie uciążliwej), uważam was za bardzo szczęśliwych. Bowiem życie wasze, utrzymujące się z wiatru, nie kosztuje was nic albo bardzo mało: wystarczy jeno dmuchać.

— Zapewne — rzekł podesta. — Ale w tym doczesnym żywocie nie masz nigdzie pełnego szczęścia. Często, kiedy siedzimy przy stole, pokrzepiając się jakim dobrym i tęgim wiatrem bożym, jakoby manną niebieską, radzi i weseli niby ojcowie prałaci, przychodzi mały deszczyk, który nam go zgarnie i położy na ziemi. I tak wiele uczt umyka nam sprzed nosa, dla braku wiwandy.

— To tak — rzekł Panurg — jak ów dobry Jasiek z przypowieści, który sikał na pośladki żony swej Agaty, aby spędzić cuchnący wiatr wychodzący z niej jakoby z bramy Eola.

— Co więcej — prawil podesta — rok w rok cierpimy inną, bardzo ciężką i dotkliwą klęskę. Mianowicie pewien olbrzym,

imieniem Wiatrodmuch, zamieszkały na wyspie Tohu, co rok za radą lekarzy sprowadza się tu z początkiem wiosny, aby odbyć czyszczącą kurację, i pożera nam ogromną ilość wiatraków jako pigułki, a również i mieszkańców, na które jest bardzo łasy; z czego przychodzi na nas wielka bieda i trzy albo cztery posty na rok, oprócz niektórych szczególnych wigilij i suchych dni.

— I nie możecie — spytał Pantagruel — nie na to zaradzić?

— Idąc za radą — odparł podesta — naszych mistrzów Lewatywiarzy, w epoce, w której ma zwyczaj tu przybywać, umieściliśmy w młynach mnóstwo kur i kogutów. Za pierwszym razem kiedy je połknął, o mało że nie umarł. Śpiewały mu bowiem we wnętrznościach i fruwały po żołądku, z czego popadł w lipothymię, ucisk serca oraz gwałtowne i niebezpieczne konwulsje, jak gdyby jaki wąż wlał mu przez gębę do żołądka.

— Oto porównanie — rzekł brat Jan — fałszywe i nie do rzeczy. Słyszałem przeciwnie, iż gdy wąż dostanie się do żołądka, nie sprawia żadnego cierpienia i natychmiast wylazi z powrotem, skoro się pacjenta uwiesi za nogi, głową na dół, koło gęby zaś ustawi się miseczkę pełną ciepłego mleka.

— Tak słyszeliście jeno, bracie Janie — rzekł Pantagruel — i również ci, którzy wam to opowiadali. Ale nikt takiej kuracji nie widział ani nie czytał o niej. Hipokrates (*lib. V. Epid.*) pisze, iż podobny wypadek zdarzył się za jego czasu i że pacjent umarł nagle z powodu spazmów i konwulsyj.

— Prócz tego — mówił podesta — wszystkie lisy z całej okolicy wlażyły mu do gęby, wężąc za kurami; i byłby zginął lada chwila, gdyby go nie ocalił pewien kuty szarlatan, który właśnie w chwili paroksyzmu obdzierał ze skóry lisa jako przeciwną truczkę i antydot. Następnie poradził się u jeszcze mędrszych i teraz pomaga sobie za pomocą lewatywy z odwaru zboża i prosa, do którego zbiegają się kury; także z wątróbek gęsich, do których zbiegają się lisy. Także skuteczne są pigułki, które żączywa przez usta, uczynione z chartów i jamników. Oto nasze nieszczęście.

— Nie trapcie się już nadal, dobrzy ludzie — rzekł Pantagruel — wielki Wiatrodmuch, polykacz wiatraków, nie żyje. Upewniam was. Umarł z dusznicy i astmy, jedząc maślany placuszek prosto z pieca, na zlecenie lekarzy.

XLV. Jako Pantagruel wylądował na wyspie Papfigów

Nazajutrz rano trafiliśmy na wyspę Papfigów, którzy niegdyś byli bogaci i wolni i nazywali się Wesolki; teraz jednak popadli w nędzę, nieszczęście i niewolę u Papimanów. Powód tego był taki: jednego razu, w doroczne święto feretronów, burmistrz, ławnicy i starsi rabini Wesolków udali się z ciekawości do sąsiedniej wyspy, Papimanii, aby przyjrzeć się temu świętu. Jeden z nich widząc portret papieża (jako był obyczaj wystawiać go publicznie w święto dubeltowych feretronów) pokazał mu figę, co jest w tym kraju znakiem wzgardy i oczywistego szyderstwa. Aby się za to pomścić, w kilka dni potem Papimani, bez wypowiedzenia wojny, uzbroili się, napadli, spłądowali i spustoszyli całą wyspę Wesolków i wycięli w pień wszystko, co miało zarost na brodzie. Kobiety i młodzieniaszków darowali życiem na warunkach podobnych tym, jakie Fryderyk Barbarossa nałożył niegdyś Mediolańczykom.

W czas jego nieobecności Mediolańczycy zbuntowali się przeciw niemu i posadziwszy cesarzową jego żonę głową do ogona na starą oślicę, nazwaną Thakor, wygnali ją haniebnie z miasta, jadącą tak na wspak; to jest z zadkiem obróconym ku głowie muła, a twarzą ku podogoniu. Fryderyk po swoim powrocie ujarzmiwszy ich i mając w swym ręku, póty się starał, aż odnalazł ową sławną oślicę Thakor. Za czym w środku targowego placu, na jego rozkazanie, kat umieścił w członku wstydlwym oślicy figę, w obecności i na oczach uwięzionych obywateli; następnie przy dźwiękach trąby obwołał z polecenia cesarza, iż ktokolwiek z nich chce umknąć się śmierci, ma wydrzeć publicznie tę figę zębami, a następnie wsadzić ją w toż samo miej-

sce bez pomocy rąk. Ktokolwiek będzie się wzdragał, ma być bezzwłocznie powieszony i uduszony stryczkiem.

Niektórych spomiędzy nich zdjął nazbyt wielki wstręt i wystyd przed tak haniebną pokutą i woleli raczej ponieść śmierć; jakoż zawisli na szubienicy. U innych obawa śmierci przeważyła taką hańbę. Ci, wyciągnawszy zębami i pełną gębą figę, pokazywali ją jawnie katowi, mówiąc: *Ecco lo fico*.

Z podobną hańbą reszta tych biednych i zrozpaczonych Wesolków ocalała i wybawiła się od śmierci. Obrócono ich w poddanych i lenników i nałożono im imię Papfigów, jako że portretowi papieża pokazali figę. Od tego czasu nie wiodło się biednym ludziom. Co roku trapił ich grad, burza, głód i wszelakie nieszczęście jako wieczysta kara za grzech rodziców i ich przodków.

Widząc nędzę i niedolę ludu nie chcieliśmy się dalej zapuszczać. Jedynie pragnąc zaczerpnąć wody święconej i polecieć się Bogu, weszliśmy do kapliczki koło portu, zrujnowanej, opuszczonej i bez dachu, jak w Rzymie kościół świętego Rocha. Wszedłszy do kapliczki i biorąc święconą wodę spostrzegliśmy w kropielnicy człowieka ubranego w stulę i całkiem schowanego w wodzie, jak kaczka, która daje nurka, jeno z wystającą odrobina nosa dla oddechu. Nad nim stali pochyleni trzej księża, pięknie wygoleni i wytonsurowani, czytając egzorcyzmy i zaklinając diabła.

Pantagruelowi zdało się to osobliwe: spytał tedy, co by to była za zabawa. Odpowiedziano mu, że przed laty panował na wyspie mór tak straszliwy, iż więcej niż połowa kraju stała wyludniona, a ziemie marniały bez właściciela. Skoro przeszedł mór, ten oto człowiek, zanurzony w kropielnicy, orał raz piękne i żyzne pole i obsiewał je pszenicą, kiedy w tym samym dniu i godzinie mały diabełek (który nie umiał grzmieć ani gradem bić, chyba jeno na proso i kapustę, i nie umiał jeszcze pisać i czytać) otrzymał pozwolenie od Lucypera, aby odwiedził tę wyspę Papfigów, pohulał na niej i zabawił się do woli, jako iż

na tej wyspie diabły miały wielką pufalość z ludźmi i często zachodziły tam dla zabawy.

Ów diabeł przybywszy na miejsce zwrócił się do rolnika i spytał go, co czyni. Nieborak odpowiedział mu, iż obsiewa pole pszenicą, aby sobie zapewnić żywność na rok przyszedły.

„Ba, tak — rzekł diabeł — aleć to pole nie jest twoje, jeno moje i do mnie należy. Od tego bowiem czasu i godziny, w której papieżowi pokazaliście figę, cały ten kraj przyznano nam, przypisano i zdano na łaskę. Wszelako siał zboże to nie mój zawód; dlatego zostawię ci pole, ale pod warunkiem że podzielimy się zyskiem“. — „Zgoda“ — odparł kmiotek. — „Rozumiem tak — rzekł diabeł — że cały zysk, jaki będzie, podzielimy na dwie części. Na jedną pójdzie to, co będzie rosło nad ziemią, na drugą to, co przykryte. Wybór należy do mnie, jestem bowiem ze szlachetnej i starożytnej rasy, ty zaś jesteś prosty cham. Wyberam to, co pod ziemią, do ciebie należy wierzch. Kiedy będziemy zbierać?“ — „W połowie lipca“ — odparł rolnik.

„Zatem — rzekł diabeł — nie omieszkam się stawić. Czyn, jak jest twoim obowiązkiem: pracuj, chamie, pracuj. Ja pójdę kusić do rozkosznego grzechu porubstwa szlachetne zakonniczki z Pierdzimaki, a także innych wszawych zakutańców. Ale na chwilę nie wątpię o ich najlepszych chęciach. Do zobaczenia w dzień zbiórki“.

XLVI. Jako chłopiec z krainy Papfigów przywiódł na hak małego diabelka

Skoro nadeszła połowa lipca, diabeł stawiał się na placu, otoczony szwadronem diabelków do posługi. Spotkawszy wieśniaka rzekł: „No i cóż, chamie, jak ci się powodzi od naszego niewiedzenia? Wypada nam się dziś dzielić“, — „Słusznie“ — odpowiedział chłopiec. Wówczas zaczął wieśniak ze swymi ludźmi kosić zboże. Diabelki toż samo zaczęły wyciągać ściernie z ziemi. Chłopiec wymłócił zboże, wywiał, naładował w worki i zaniósł

na targ na sprzedaż. Diabelki uczyniły tak samo i siadły na targu koło chłopka, aby sprzedać swoją słomę. Rolnik sprzedał bardzo dobrze zboże, a pieniądze wpakował do starego papucia, który nosił u pasa. Diabły nie sprzedały nic, jeno chłopci na targu dworowali sobie z nich na umór.

Gdy się targ skończył, rzekł diabeł: „Chamie, oszukałeś mnie, ale drugi raz nie oszukasz“. — „Panie diable — odparł chłopiec — jakże mogłem cię oszukać, skoroś ty miał wybór? Prawda, iż w tym wyborze pragnęliście mnie oszukać spodziewając się, iż nic godnego nie wyrośnie dla mnie ponad ziemią i że w jej głębi znajdziesz całe ziarno, które zasiałem. Ale snadź jesteś jeszcze młody w swoim cechcie. Ziarno, którem rzuciłem w ziemię, zgniło i niszczało, a rozkład jego był zaczątkiem nowego, które oto sprzedałem w twoich oczach. Tak owo sam wybrałeś gorsze. Dlatego jesteś przeklęty w Ewangelii“. — „Zostawmy ten przedmiot — rzekł diabeł. — Czym myślisz na następny rok obsiać nasze pole?“ — „Wedle pomysłu dobrego gospodarza, należałoby zasiać rzepę“. — „Dobrze — rzekł diabeł — poczeiwe z ciebie chamisko; siejże rzepę do woli, a ja będę chronił ją od burzy ani nie będę tłukł jej gradem. Ale słuchaj dobrze: ja, jako swój dział, dostanę to, co nad ziemią, ty to, co pod spodem. Pracuj, chamie, pracuj. Ja pójdę kusić heretyków: bardzo smaczne są ich duszyczki duszone po huzarsku; pan nasz, Lucyper, cierpi kolkę, przydadzą mu się do brzucha na ciepło okłady“.

Skoro nadszedł czas zbioru, diabeł stawiał się na placu ze szwadronem małych pokojowych diabelków. Zastawszy tam rolnika i jego ludzi rozpoczął żąć i zbierać liście rzepy. Gdy skończył, kmiotek wykopał i dobył z ziemi nacie i załadował do worków. Za czym udali się obaj na targ. Kmiotek sprzedał bardzo dobrze rzepę. Diabeł nie sprzedał nic, a co gorsza natrzęsano się zeń publicznie.

„Widzę, chamie — rzekł wówczas diabeł — że ty mnie oszukujesz. Musimy tedy zrobić koniec między nami z tym polem.

Umowa będzie taka, iż będziemy drapać jeden drugiego; który z nas pierwszy się podda, będzie musiał ustąpić swojej części: całe pole stanie się własnością tego, co przetrzyma. Termin do ośmiu dni. Poczekaj, chamie, już ja cię podrapię jak diabli. Miałem iść kusić tych hyclów Pozwańców, krętaczy procesowych, szalbierzy notariuszów, adwokatów siedzących na dwóch stołkach; ale kazali mi powiedzieć przez tłumacza, że moi są ze wszystkim. Bo też ich dusze obmierzły już Lucyperowi do cna; posyła je diabłom służebnym i pomywaczom, chyba że są dobrze przypieprzone. Powiadacie, że nie ma nic smaczniejszego niż śniadanko ze szkolarzy, obiad z adwokatów, podwieczorek z winiarzy, wieczerza z kupców, zakąska o północy z dworek pokojowych, a wszelkie jedzenie z franciszkanów. To prawda. W istocie, Jegomość Lucyper spożywa prawie do każdego posiłku jednego lub dwóch na przekąskę, dla dodania apetytu. Dawniej jadał na śniadanie szkolarzy. Ale (niestety), nie wiem jakim nieszczęśliwym wypadkiem, od kilku lat dołączyli do swoich nauk Świętą Biblię. Dla tej przyczyny nie możemy złowić już ani jednego dla naszego stołu. I mniemam, że jeżeli Bure Habity nam nie pomogą wydzierając im świętego Pawła z ręki groźbami, przekleństwami, siłą, gwałtem i przypiekaniem na stosie, nie tak łatwo będziemy ich znowu chrupać. Z adwokatów przekręcających prawo i łupiących biedny naród ma nasz pan zazwyczaj obiadek; tych mu nie brakuje. Ale to się sprzykszy być ciągle na tym samym wikcie. Oświadczył kiedyś w pełnej kapitule, że bardzo chętnie zjadłby duszę jakiego mnicha, który by w kazaniu swoim zapomniał się polecić wiernym duszyczkom. I przyrzekł podwójną płacę i przyzwoitą remunerację temu, kto mu dostarczy takiego, na ciepło. Każdy z nas puścił się w poszukiwanie; ale nie dotąd nie mogliśmy wskórać. Wszyscy pilnie zagrzewają szlachetne damy, aby nie zapomniały o datkach na klasztor. Od podkurków się wstrzymał od czasu, jak ma silne kolki wynikłe z tego, iż w północnych okolicach bardzo źle potraktowano jego dostawców, prowiantmistrzów,

węglarzy i wędliniarzy. Wieczerzę ma bardzo smaczną z kupców, lichwiarzy, aptekarzy, fałszerzy monet i kazicieli pokarmów. I od czasu do czasu, kiedy jest w dobrym humorze, połknie sobie około północy jakich parę pokojówek, z tych co to wyżłopawszy wino swoich państwa dopełniają beczułki cuchnącą wodą. Pracuj, chamie, pracuj. Ja idę kusić szkolarzy z Trebizondy, aby rzucili ojców i matki, wyrzekli się obyczaju własnej ziemi, wyzwolili się z edyktów króla, zażywali tajemnej folgi, gardzili wszystkimi, z każdego sobie drwili i przybrawszy piękny i wesoły czepeczek poetyckiej niewinności, stali się wszyscy miłutkimi kapturkami“.

XLVII. Jak diabła oszukała stara Papfizyna

Chłopek wrócił do domu smutny i zamyślony. Widząc go takim żona mniemała, iż go okradziono na targu. Ale usłyszawszy przyczynę jego melancholii, widząc także sakwę z pieniędzmi, łagodnie go pocieszyła i upewniła go, iż owo drapanie niczym mu zgola nie grozi; niech się jeno zda na nią i polega na tym, a ona już obmyśli dobre wyjście ze sprawy. „W najgorszym razie (mówił kmiotek) wykpię się jednym draśnięciem: poddam się od pierwszego razu i ustąpię mu pola“. — „Nic z tego — rzekła stara; — zdaj się jeno na mnie i bądź spokojny; zostaw to mnie. Mówiłeś mi, że to jeszcze smarkaty diabełek; już ja się z nim wnet uporam, tak że on się podda, a pole zostanie nasze. Gdyby to był stary diabeł, ba, wtedy trza by się namyslać“.

Spotkanie wypadło właśnie wtedy, kiedy przybyliśmy na wysepę. Wczesnym rankiem kmiotek wypowiadał się sumiennie, wykomunikował jako dobry katolik i za radą proboszcza zanurzył się z głową w kropielnicy, jakeśmy go właśnie ujrzeli.

W chwili gdy nam opowiadano tę historię, stara oszukała diabła i wygrała pole, mianowicie w taki sposób. Diabeł przybył pod chałupę i zadzwoniwszy krzyknął: „Dalej, chamie, dalej, pazury do roboty!“

Następnie wszedł do domu wesół i ochoczy, ale nie zastał chłopka, jeno jego żonę siedzącą na ziemi wśród płaczu i zawodzenia. „Co to takiego? — spytał diabeł. — Gdzie on jest? Co się z nim dzieje?” — „Ha! — rzekła stara — gdzie on jest, ten łajdak, ten kat, rozbójnik? Ha! w głowie mi się miesza, rady sobie dać nie mogę, ginę wprost od bólu, jaki przezeń cierpię”. — „Jak to — rzekł diabeł — co się stało? Już ja go wam wnet oporządczę”. — „Ha — rzekła stara — powiedział mi ów kat, tyran, iskacz diabelski, że ma na dziś wyzwanie, żeby się drapać z tobą o lepsze; owo aby wypróbować swoich paznokci, drapał mnie jeno małym palcem, o tu, między nogami. Ha! wierę, szaleję z bólu, już po mnie, nigdy się z tego nie wyleczę, patrz. A teraz jeszcze poszedł do kowala, aby mu do reszty wyostrzył i zaszpicował pazury. Zgubiony jesteś, mospanie diabla, mój przyjacielu. Umykaj, radzę ci, bo on nie daje pardo-nu. Umykaj stąd, proszę”.

Za czym odsłoniła się aż do podbródka, w tym kształcie, w jakim niegdyś perskie niewiasty ukazywały się swoim synom uciekającym z pola bitwy i pokazała mu swoje *cotojest*.

Diabeł widząc ogromną *solutionem continuitatis* we wszystkich wymiarach, wykrzyknął: „Mahom, Demiurgon, Megara, Alekto, Persefono, nie złapie mnie. Umykam, jak stoję. W nogi! Zostawiam mu pole”.

Usłyszawszy koniec i obrót wydarzenia wróciliśmy na okręt nie zatrzymując się dłużej. Pantagruel wrzucił do skarbonki kościelnej osiemnaście tysięcy dukatów, ze względu na ubóstwo ludu i niedolę tej krainy.

XLVIII. Jako Pantagruel wylądował na wyspie Papi-manów

Opuściwszy żalosną wyspę Papfigów zeglowaliśmy jeden dzień w pogodzie i weselu, kiedy oczom naszym ukazała się błogosławiona wyspa Papi-manów. Ledwie zarzuciliśmy kotwicę, nim

jeszcze zaciągnęliśmy sznury, przybyły do nas w szalupie cztery osoby rozmaicie ubrane. Jeden, był to mnich w habicie, w bu-ciorach, obłożony i niechlujny. Drugi, sokolnik z przynętą z wypchanego ptaka i rękawicą. Trzeci, adwokat z workiem pełnym informacji, cytacyj, wszelakich szykan, replik i odro-czeń. Ostatni, hodowca wina z Orleanu, w pięknych płóciennych kamaszkach, z koszykiem i gnipem u pasa. Skoro tylko przy-bili do okrętu, zakrzyknęli wszyscy razem wielkim głosem:

— Czyście go widzieli, wędrowni ludzie? czyście go widzieli?

— Kogo? — spytał Pantagruel.

— Jego — odparli.

— O kogo idzie? — spytał brat Jan. — Jak mi Bóg miły, utłukę go tym kijem. (Myśląc, iż dopytują się o jakiegoś rze-zimieszka, mordercę albo świętokradcę).

— Jak to — rzekli — jak to! ludzie wędrowni, wy nie zna-cie Jedyne-go?

— Panowie — rzekł — Epistemon — nie rozumiemy takie-go terminu. Ale wyłóżcie nam, jeśli łaska, kogo macie na my-śli, a wraz powiemy wam prawdę, bez żadnego udania.

— To jest — odparli — Ten, który jest. Czyście go nigdy nie widzieli?

— Ten, który jest — odparł Pantagruel — wedle naszej teologicznej nauki, to Bóg. Takim słowem nazwał się Mojże-szowi. Zaiste, nie widzieliśmy go i nie jest widziany oczom cielesnym.

— Nie mówimy wcale — odparli — o tym wysokim Bogu, który włada w niebiosach. Mówimy o Bogu na ziemi. Czyście go kiedy widzieli?

— Dalibóg — rzekł Karpalim — oni mają na myśli papieża?

— Owszem, owszem — odparł Panurg — owszem, widzia-łem ich trzech i nie mogę powiedzieć, abym utył z tego.

— Jakże to? — rzekli. — Nasze święte dekretalia opiewają, iż może być tylko jeden żyjący.

— Rozumiem — odparł Panurg — jednego kolejno po drugim; nie widziałem zresztą więcej jak tylko jednego na raz.

— O ludzie — wykrzyknęli tamci — po trzykroć i czterokroć szczęśliwi, witajcie nam, mili, i stokroć więcej niżli mili goście!

Za czym wszyscy uklękli i żądali ucałować nam nogi. Na co nie chcieliśmy pozwolić, przedstawiając im, że gdyby przypadkiem papież zjawił się tu we własnej osobie, nie mogliby mu więcej uczynić.

— Owszem, uczynilibyśmy więcej — odparli; — to już jest między nami postanowione. Ucałowalibyśmy mu zadek bez listka, i jajka podobnie. Ma bowiem jajka nasz ojciec święty, czytamy o tym w pięknych dekretaliach, inaczej nie byłby papieżem. Tak dalece, iż z subtelnej filozofii dekretalińskiej wypływa niezbicie ten wniosek: jest papieżem, *ergo* ma jajka. I gdyby jajek zabrakło na świecie, świat musiałby się obejść bez papieża.

Pantagruel spytał tymczasem jednego z majtków, kto to są te osobistości. Odpowiedziano mu, iż są to przedstawiciele czterech stanów wyspy; dodał także ów majtek, iż możemy liczyć na dobre przyjęcie i gościnę, skoro widzieliśmy papieża. Powtórzył to Panurgowi, który rzekł po cichu:

— Przysięgam Bogu, jest coś w tym. Ten w końcu wygrywa, kto może czekać. Nigdy nam nic dobrego nie przyszło z widoku papieża: i oto teraz, do kroćset diabłów, widzę że coś na tym zyskamy.

Za czym wysiedliśmy na ląd; cała zaś ludność miejscowa, mężczyźni, kobiety, dzieci wyszły naprzeciw nas jakoby w procesji. Nasze cztery stany powtarzały im wielkim głosem:

— Widzieli go. Widzieli go. Widzieli go.

Na ten okrzyk cały lud ukląkł przed nami, podnosząc złożone ręce ku niebu i krzycząc:

— O ludzie szczęśliwi! O szczęśliwi i błogosławieni!

I trwały te okrzyki więcej niż ćwierć godziny. Następnie przybiegł rektor ze wszystkimi bakałarzami, gryzipiórkami i szkolarzami i ćwiczył ich szczerze, jak jest zwyczaj ćwiczyć małe dzieci w naszym kraju, kiedy wieszają jakiegoś złoczyńcę, aby im się to wbiło w pamięć. Ale Pantagruel rozgniewał się i rzekł:

— Panowie, jeśli nie przestaniecie bić tych dzieci, wracam się.

Lud zdziwił się słysząc jego stentorowy głos i słyszałem, jak mały jakiś garbusek o długich palcach zapytał rektora szkoły:

— Na cnotę Ekstrawagantów! zali ci, którzy ujrzą papieża, stają się tak samo wielcy jak ten oto, co nam tu grozi? O jakże mi pilno ujrzeć go, abym i ja tak wyrósł i taki był duży jak on.

Takie wydawali okrzyki, czyniąc srogi zgielk, aż wreszcie nadjechał Homenas (tak nazywają swego biskupa) na mule bez uzdy, z zielonym czaprakiem, w orszaku kleryków i wikariuszów, niosących krzyże, sztandary, obrazy, baldachimy, pochodnie, kropielnice. I również chciał nam gwałtem ucałować nogi (jako papieżowi Klemensowi uczynił dobry Krystian Walfinier) powiadając, iż jeden z ich proroków, wykładacz i lykacz świętych dekretaliów, zostawił to na piśmie, iż podobnie jak Mesjasz, tak długo i cierpliwie oczekiwany przez Żydów, na końcu się zjawił, tak samo na tę wyspę przybędzie kiedyś papież. W oczekiwaniu tego radosnego dnia, gdyby przybył do nich ktoś, kto go widział w Rzymie albo indziej, winni go hojnie podejmować i oddać mu cześć a poszanowanie. Wszelako wymówiliśmy się grzecznie.

XLIX. Jako Homenas, biskup Papimanów, ukazał nam z nieba zesłane dekretalia

Następnie rzekł Homenas:

— Nasze Święte Dekretalia zalecają nam wprzód odwiedzać kościoły niż szynkownie. Dlatego nie uchylając się od tego pięk-

nego przepisu, chodźmyż do kościoła, a potem pójdziemy ucztować.

— Zaczny człowieku — rzekł brat Jan — idź przodem, my za tobą. Wyrzekłeś pocziwe słowo, godne dobrego chrześcijanina. Dawno już oczy nasze nie oglądały kościoła. Wielce się z tego raduję w duszy i sędzę, że jeszcze mi to przyda na późniejszej apetytu. Miła to rzecz spotkać zacnych ludzi.

Wszedłszy we wrota świątyni ujrzeni grubą złoconą księgę, okrytą cennymi i drogimi kamieniami, rubinami, szmaragdami, diamentami i perłami, bardziej albo co najmniej równie wspomnianymi jak te, które Oktawian poświęcił Kapitolińskiemu Jowiszowi. Księga wisiała w powietrzu, umocowana na dwóch grubych łańcuchach u sklepienia portalu. Przypatrywaliśmy się jej z podziwem. Pantagruel obracał nią i kręcił do woli, on jeden bowiem mógł jej z łatwością dosięgnąć ręką. I twierdził, iż za jej dotykiem doświadcza łagodnego swędzenia w paznokciach i cierpięcia w ramieniu; a zarazem w umyśle gwałtownej pokusy wytłuczenia jednego albo dwóch strażników, gdyby nie mieli tonsury.

Za czym rzekł Homenas:

— Niegdyś Mojżesz dał Żydom prawo spisane własną ręką Boga. W Delfach na froncie świątyni Apollina, odczytano tę sentencję, wypisaną cudownym sposobem: ΓΝΩΘΙ ΣΕΑΥΤΟΝ. I po jakimś czasie wyczytano tam EI, również boskim sposobem napisane i przeniesione z niebios. Obraz Cybeli dostał się z niebios na ziemię we Frygii, w polu zwanym Pezymunkim. Z niebios zesłano szlachetnym i wielce chrześcijańskim królom Francji wielki sztandar, iżby przy jego pomocy zwalczali niewiernych. Za panowania Numy Pompiliusza, drugiego króla Rzymian, ujrzano w Rzymie spływającą z nieba ostrą tarczę zwaną Ancila. W Akropolis w Atenach spadła niegdyś ze sklepu niebios statua Minerwy. Tak samo tutaj widzicie święte dekretalia spisane ręką Anioła Cherubina. Chociaż wy tam, zamorscy ludzie, niechętnie w to uwierzycie.

— Z ciężkością — odparł Panurg.

— I tutaj do nas zostały cudownie z nieba przeniesione, w podobny sposób jak u Homera, ojca wszelkiej filozofii (wyjąwszy oczywiście boskie dekretalia), rzekę Nil nazwano Diipetes. I ponieważ widzieliście papieża, ich ewangelistę i wiekuistego protektora, będzie wam pozwolone oglądać je i ucałować we wnątrz, jeśli macie wolę. Ale będziecie musieli trzy dni przedtem pościć i regularnie się spowiadać, starannie łuskając i przesiewając swoje grzechy tak baczenie, aby nie upadła na ziemię ani jedna najdrobniejsza okoliczność, jako nam to bosko opiewają boskie dekretalia, które tu widzicie.

— Dobry człowieku — rzekł Panurg — dekretynaliów, nie, chcę powiedzieć dekretaliów, widzieliśmy dosyć na papierze, na przeświecającym pergaminie, na welinie, pisanych ręką i drukowanych czcionkami. Nie ma potrzeby, abyście się trudzili pokazywaniem tych oto. Poprzestaniemy na dobrych chęciach i dziękujemy i za to.

— Co gadacie! — rzekł Homenas — toć nie widzieliście nigdy tych, anielską ręką cudownie spisanych. Tamte, z waszego kraju, to jeno odpisy naszych, jako stoi w pismach jednego z naszych dekretalińskich scholastyków. Proszę was przeto, nie oszczędzajcie naszego trudu. Jeno rozważcie, czy chcecie wyspowiadać się i przepościć trzy maleńkie dzionki boże.

— Na spowiedź — odparł Panurg — chętnie się godzimy. Jedynie post nie w porę nam wypada, tyle już bowiem napościliśmy się z musu na morzu, że pająki usunęły siatki około naszych zębów. Widzicie tu oto dobrego brata Jana Łomignata (na te słowa Homenas uściskał się z nim uprzejmie); jemu już mech wyrósł w gardzieli, jeno dla braku ćwiczenia i ruchu szczękami i żuchwami.

— To prawda — odparł brat Jan. — Już tyle się napościlem, że mi aż garb z tego wyrósł.

— Wejdzmyż tedy — rzekł Homenas — do kościoła i darujcie, jeśli teraz nie odśpiewamy wam pięknej mszy bożej. Minęła

już godzina południowa, po której bronią nam nasze święte dekretalia odmawiać mszę, to jest, powiadam, mszę głośną i prawdziwą. Ale kropnę wam cichą meszkę, tak na sucho.

— Wolalbym — rzekł Panurg — na mokro, to jest zwilżoną dobrym andegaweńskim winkiem. Jedźmy tedy, jedźmy, w imię Boże, a żwawo.

— Psiakość — rzekł brat Jan — nie podoba mi się to, że mój żołądek jest jeszcze na czczo. Gdybym bowiem był dobrze pościadał i napoił się klasztornym obyczajem, niechajby sobie beczał potem swoje *requiem aeternam*. Cierpliwości. Jedźcie, kropcie, rżnijcie, ale podkaszcie ją krótko, z obawy, aby się nie zachłastała, a także dla innych przyczyn. Bardzo was proszę.

L. Jak Homenas ukazał nam arcywzór papieża

Ukończywszy mszę Homenas dobył ze skrzynki koło wielkiego ołtarza pęk kluczy, za pomocą których, dopasowawszy je do trzydziestu dwu zamków i czternastu klódek, otworzył żelazne okno, silnie zakratowane, nad rzeczoną ołtarzem; następnie w bardzo tajemniczy sposób nakrył się mokrym workiem i odsuwając zasłonę z czerwonego jedwabiu, ukazał nam obraz, wedle mego zdania dość lichy namalowany, dotknął go długim kijkiem i dał wszystkim koniec kijka do ucałowania. Następnie zapytał:

— Co sądzicie o tym obrazie?

— To jest — odparł Pantagruel — podobizna papieża. Poznają go po twarzy, po krymce, po płaszczu i po pantoflu.

— Dobrze mówisz — rzekł Homenas. — To jest idea owego dobrotliwego Boga na ziemi, którego przybycia oczekujemy pobożnie i którego spodziewamy się kiedyś ujrzeć w tym kraju. O, szczęśliwy i upragniony i tak oczekiwany dniu! A wy szczęśliwi i po trzykroć szczęśliwi, którym gwiazdy były tak łaskawe, iż ujrzeliście, w żywe oblicze i realnie, onego dobrego Boga na ziemi, którego sam portret oglądając dostępujemy pełnego odpustu wszystkich naszych grzechów, które pamiętamy,

a w naddatku trzecią część *plus* osiemnaście czterdziestych grzechów zapomnianych! Toteż oglądamy go jeno w dzień wielkich dorocznych świąt.

Na to rzekł Pantagruel, że to jest dzieło z rodzaju tych, jakie czynił jeszcze nieboszyk Dedalus. Mimo że było dość poczarne i lichy wykonane, pod względem odpustów była w nim ukryta i utajona jakowaś boska energia.

— Pamiętam — rzekł brat Jan — jak raz w przytulku dziadowskim różne dziady i rwipolcie wieczerały sobie wesoło i jeden się chwalił, że zarobił przez dzień sześć złotych, drugi dwa solidy, trzeci siedem karolusów, gruby zaś dziadyga chwalił się, iż zarobił trzy bite talary. „Hm, odparli mu towarzysze, bo też ty masz bożą nóżkę“. Jak gdyby jakaś boskość była ukryta w nodze całej owrzodziałej i przegnitej.

— Kiedy — rzekł Pantagruel — będziecie mieli rażycie nas takimi opowiastkami, pamiętajcie przynieść miednicę. Mało brakuje, a dostałbym nudności. Używać świętego imienia Boga w tak wstrętnych i plugawych rzeczach! Pfuj, powiadam, pluj! Jeśli u was, mnichów, praktykuje się nadużywanie podobnych słów, zostawcież ten obyczaj dla siebie, a nie wynoście go poza klasztor.

— Wszelako — rzekł Epistemon — powiadają lekarze, że w niektórych chorobach jest niejaki udział boskości. Podobnie Neron wychwalał grzyby i w przenośni greckiej nazywał je „mięsem bogów“, ponieważ nimi otrul swego poprzednika Klaudiusza, cesarza rzymskiego.

— Zdaje mi się — rzekł Panurg — że ten portret nie nadaje się do naszych ostatnich papieży; widywałem ich bowiem bez mycki, jeno z hełmem na głowie, ozdobionym perską tiarą. I kiedy całe chrześcijaństwo zażywało pokoju i ciszy, oni jedni prowadzili okrutną i krwawą wojnę.

— Ba — rzekł Homenas — toć było przeciw buntownikom, heretykom, zawziętym protestantom, nieposłusznym świątobliwości tego dobrego Boga na ziemi. To mu jest nie tylko

dozwolone i godziwe, ale nakazane przez święte dekretalia: powinien jest wydać na miecz i ogień cesarze, króle, książęta, władce, republiki, które uchyla się na *iotę* od jego nakazów; obłupić ich z dóbr, wyzuć z królestw, proskrybować, obłożyć klątwą, i nie tylko zgładzić ich ciała, dzieci ich i krewnych, ale także wtrącić dusze w ostatnią głąb najgorętszego kotła, jaki znajduje się w piekle.

— Do kroćset diabłów! — rzekł Panurg — tutaj, zaiste, nie mieszkają heretycy, jako był ów Mruczysław i jak ich pełno jest wśród Niemców i Angielczyków. Wy jesteście chrześcijanie przesiani przez siódme sito.

— Tak, zaiste — rzekł Homenas; — toteż i będziemy wszyscy zbawieni. Chodźmyż pożegnać się wodą święconą, a potem do obiadu.

LI. Rozmówki podczas obiadu, na cześć i chwałę dekretaliów

Owóż zważcie to sobie, pijaki, iż podczas cichej mszy Homenasa trzej kościelni, każdy trzymając wielką tacę w dłoni, przechadzali się między ludem powtarzając głośno:

— Nie zapominajcie o ludziach szczęśliwych, którzy widzieli go twarzą w twarz.

Gdyśmy wychodzili ze świątyni, przynieśli Homenasowi tace pełne po brzegi papimańskich groszy. Homenas powiedział nam, że to będzie na bibę i że z tego podatku i kwesty połowę obróci się na dobre picie, drugą połowę na dobre jedzenie, wedle cudownej glosy ukrytej w niej jakim zakątku świętych dekretaliów. Tak się też i stało, w pięknej traktierni dość podobnej do sławnego handelku Guillota z Amiens. Możecie wierzyć na słowo, iż jadła było tam obficie, a kolejki obchodziły gęsto. W czasie tego obiadu zauważyłem dwie godne pamięci rzeczy: jedna, iż wszelkie mięsiwo, jakie podano, sarna, kapłon czy świnia, od których roi się wprost w Papimanii, gołębie, pulardy, zajaczki,

kogury indyjskie lub inne, wszystko obficie nadziane było przed nim farszem; druga, iż wszystkie dania i zakąski obnosiły dziewczęta w wieku żrałym do poznania męża, piękne (ręczę wam za to) pachnące blondyneczki, słodziutki i uprzejme; ubrane zaś były w długie, białe i luźne alby, podwójnie opasane, z gołą głową; włosy zaś miały przeplatane wstążeczkami i sznureczkami z fioletowego jedwabiu, usiane różami, goździkami, rozmarynem, pomarańczowym kwiatem i innym pachnącym kwieciem. Te przy każdej kadencji zachęcały nas, z wdzięcznymi ukłonami, do picia. I całe zgromadzenie spoglądało na nie radym okiem. Brat Jan patrzył ku nim spode łba, jak pies, który ściągnął sztukę drobiu. Skoro obniesiono pierwszą potrawę, dziewczęta odśpiewały melodyjnie epodos ku pochwalę przenajświętszych dekretaliów. Przy drugim daniu Homenas, wesół i rozbawiony, zwrócił się do kredencarza mówiąc:

— Clerice, poświeć no tutaj.

Na te słowa jedna z dziewcząt podsunęła mu co rychlej wielki puchar najprzedniejszego wina. Ujął go w rękę i wzdychając głęboko, rzekł do Pantagruela:

— Dostojny panie i wy mili przyjaciele, piję do was z szczerego serca. Bądźcie mi pozdrowieni.

Skoro wypił i oddał puchar wdzięcznej dziewuszcze, westchnął ciężko i rzekł:

— O boskie dekretalia, dzięki wam, jakże smacznym zda się dobre wino!

— Hm, bo też i jest niezgorsze — rzekł Panurg.

— Jeszcze by lepiej było — rzekł Pantagruel — gdyby dzięki nim złe zdało się dobrem.

— O ty, seraficzna Seksto — ciągnął Homenas dalej — jakżeś jest nieodzowna do zbawienia biednego rodzaju ludzkiego! O wy, cherubiczne Klementyny! jakże cudownie w was jest zawarty i opisany doskonały zakon prawdziwego chrześcijanina! O, ewangeliczne Ekstrawaganty, jakże by bez was ginęły biedne dusze, które, przybrane w śmiertelne ciała, błądzą tam i sam po

tym padole płaczu! Ach, kiedyż spłynie na śmiertelnych ów boski dar, by zaniechali wszystkich innych studiów i zatrudnień, aby jeno was czytać, was rozumieć, was chłonać, was żądać, praktykować, w ciało i w krew wsysać, wtłaczać w najgłębsze komory mózgów, w najtajniejszy szpik kości, w najzawilsze labirynty arterii? O, wówczas, a nie wcześniej ani nie inaczej, świat dostąpi wybornego szczęścia!

Na te słowa podniósł się Epistemon i rzekł w głos do Panurga:

— Nie widzę tu blisko stolca, muszę się przeto oddalić. Od tych farszów rozpięra mnie kiszka stolcowa; nie mogę już utrzymać.

— O, wówczas — ciągnął dalej Homenas — nie będzie gradu, mrozu, śnieżyicy i innych dopustów! Wówczas zapanuje dostatek wszystkich bogactw na ziemi! Wówczas nastanie pokój trwały, niezłomny we wszechświecie: ustaną wojny, łupiestwa, oszustwa, rabunki i zabójstwa, poza tępieniem heretyków i buntowników obmierzłych! O, cóż wówczas za radość, wesele, pogoda, rozkosz, zabawy, uciechy, delicje rodzaju ludzkiego! O ty, wielka nauko, nieoszacowana mądrości, o wy, cudowne przepisy, zaklęte w boskich rozdziałach wiekuistych dekretaliów! O jakże, przeczytawszy bodaj połówkę kanonu, maleńki paragrafik, jedną adnotację z tych przenajświętszych dekretaliów, czujecie, jak w sercach waszych wzbiera żar miłości bożej; ogień miłosierdzia względem bliźniego, byle nie był heretykiem; statecznej wzgardy dla rzeczy przygodnych i doczesnych; ekstatycznego podniesienia ducha, zgola do siódmego nieba; bezmiernego zadowolenia we wszystkich waszych czuciach!

LII. Dalsze wyliczanie cudów sprowadzonych przez dekretalia

— Oto mi znaczy — rzekł Panurg — gadać jak wyrocznia. Ale ja gwizdę na to całe gadanie. Zdarzyło mi się bowiem jed-

nego dnia w Polttrze, u pewnego szkockiego doktora Dekretali-potensa, przeczytać jeden rozdział; niech mnie diabli porwą, jeśli przy tej lekturze nie dostałem takiego zatwardzenia w brzuchu, iż więcej niż cztery, ba, przez pięć dni, wydałem z siebie ledwie maleńki bobek. Wiecie jaki? Tyle, przysięgam wam, jak go opisuje Katullus mówiąc o Furiuszu, swoim sąsiedzie:

*Przez rok ich wydam ledwie dziesięć z siebie;
A jeśli w dłoni chcesz go zgnieść w potrzebie,
Nie miej obawy o palców zbrudzenie:
Twardszy ten bobek niż młyńskie kamienie.*

— Ha, ha — rzekł Homenas — hi, hi, mój przyjacielu. prawdopodobnie byłeś w stanie grzechu śmiertelnego.

— To — rzekł Panurg — znowu inna para papuci.

— Jednego dnia — rzekł brat Jan (było to w klasztorze) — podtarłem sobie zadek kartą jakichś zużytych Klementynek, które furtian porzucił kędyś na podwórku; niech mnie diabli porwą, jeśli nie dostałem tak strasznych zadziórów i hemoroidów, że biedna dziura mojej zadecznej spiżarki całkiem była pokiereszowana.

— Hm — rzekł Homenas — to była oczywista kara boża za grzech, jaki popełniłeś walając łajnem te święte księgi, któreś powinien był ucałować i czcić, ba, ubóstwić z wielkim nabożeństwem i pokorą. Panormitanus nie tu nie powiada za wiele.

— Jan Szular — rzekł Ponokrates — kupił w Montpellier od mnichów z Sankt-Olary piękne dekretalia wypisane na dużym i pięknym lambalskim pergaminie, aby z nich zrobić formy do wybijania złota. Otóż, jakimś dziwnym nieszczęściem, ani jedna sztuka nie udała się jak należy. Wszystkie były popękane i porysowane.

— Kara — rzekł Homenas — i pomsta niebios.

— W Mansie — rzekł Eudemon — Franciszek Piguła, aptekarz, obrócił jakiś egzemplarz podartych Ekstrawagantów na robienie tutek; wyrzekam się diabła uroczyście, jeżeli wszystko,

co w nie zawiął, nie stało się w tejże chwili zatrute, zepsute i zgniłe: kadzidło, pieprz, gencjana, cynamon, szafran, воск, korzenie, kasja, rabarba, tamarynda; w ogóle wszystko, drogi, go- gi i senogi.

— Pomsta — rzekł Homenas — i kara boska. Nadużywać do rzeczy świeckich tych świętych kart!

— W Paryżu — rzekł Karpalim — mistrz Nogawica, krawiec, użył jakichś starych Klementynek na patrony i wzory. I rzecz osobliwa! wszystkie ubrania wycięte na tych patronach i skrajane według tych wzorów okazały się spartolone i popsute: suknie, kapuzy, płaszcze, kamizele, szarawary, opończe, kołnierze, kaftany, pludry, werdugale. Bowiem ów Nogawica, mając wyciąć kapuzę, skrajał ją w formie saczka; zamiast pludrów uszył czapkę z klapami na uszy. Z patronu na kaftan wycinał kieckę dziewczyńską. Zamiast kołnierza sporządził trzewiki; chciał uszyć płaszcz, a uszyła mu się kamizelka. Tak iż biednego człeczynę sądownie skazano, aby zapłacił koszt materiału wszystkim kundmanom. I poszedł nieborak z torbami.

— Kara — rzekł Homenas — i pomsta boża.

— W Kossakowie — rzekł Gymnastes — umówili się pan Detysk i wicehrabia Lozen, że będą strzelać do tarczy. Tedy podarli w sztuki pół dekretaliów na dobrym mszalnym papierze. Z okładki i kartek zrobili cel do strzelania. Otóż oddają się, sprzedają, zdają na łaskę i nienadziejność wszystkim diabłom z piekła, jeżeli który z okolicznych łuczników (a są to pierwsi strzelcy w całej Gujanie) bogdaj raz trafił w tarczę. Wszyscy pudłowali. Ani jeden punkcik przenajświętszej bazgraniny nie został nadwierzony ani nie stracił dziewictwa. A Sansoryn starszy, który stróżował u celu, przysięgał nam na *figi boże* (jego wielkie zaklęcie), że widział najwyraźniej, najoczywiście, najjawniej, jak strzały leciały prosto na centrum w środku białej karty, ale w chwili gdy go miały dotknąć i uderzyć, skręcały o sążeń w stronę pieca.

— Cud — wykrzyknął Homenas — cud! *Clerice*, poświęć tutaj. Piję do wszystkich. Jesteście prawi chrześcijanie!!!

Na te słowa dziewczęta zaczęły pośmiewać się między sobą. Brat Jan parsknął końcem nosa, jakoby gotów wierzgnąć i stanąć dęba i obskoczyć je sumiennie.

— Zdaje mi się — rzekł Pantagruel — że stojąc za takim celem bezpieczniejszym by się było przeciw niebezpieczeństwom strzelać niż niegdyś Diogenes.

— Co? — zapytał Homenas. — Jak to? Czyż on był dekretalistą?

— Trafiliście w sedno — rzekł Epistemon, który wrócił właśnie od swoich zatrudnień.

— Diogenes — odparł Pantagruel — poszedł jednego dnia dla rozrywki przyrządzić się łucznikom, którzy strzelali do celu. Między nimi był jeden tak pudłujący, niewprawny i niedoświadczony, że kiedy na niego była kolej strzelać, cały naród pozierający cofał się z obawy, aby kogo nie postrzelił. Diogenes widząc, że strzelił tak nieopatrznie, iż strzała przeszła o więcej niż cztery sążnie mimo celu, gdy przy następnym strzale lud rozstępował się szeroko na obie strony, podbiegł i ustawił się przy samej tarczy twierdząc, iż to miejsce jest najpewniejsze i że ów łucznik raczej w każde inne trafi niżeli w tarczę i samo tylko centrum jest w zupełnym bezpieczeństwie przed strzałem.

— Jeden paż pana Detyska — rzekł Gymnastes — imieniem Szamuja, spostrzegł te czary. Za jego radą strzelcy odmienili cel i użyli aktów jakiegoś procesu w Puziaku. Od tej chwili jedni po drugich walili w centrum jak w bęben.

— W Landrucku — rzekł Rizotomos — na weselu Jana De-fila wydano bogatą i wspaniałą ucztę weselną, jako jest obyczaj w tych stronach. Po wieczery odegrano rozmaite farsy, komedie, ucieszne błazeństwa; odtąńczono mnogo mauryjskich tańców z dzwoneczkami i bębenki, bawiono się w rozmaite maskary i przebrania. Moi towarzysze szkolni i ja, pragnąc wedle sił przyczynić się do uświetnienia święta (ubrano nas bo-

wiem od rana w piękne białe i fioletowe pęki wstążek), wykonaliśmy pod koniec wesołą maskaradę. W braku innego papieru z kartek starych *Sextów*, które leżały gdzieś porzucone, uczyniliśmy sobie maski, wyciąwszy w kartach dziury na oczy, nos i usta. I rzecz zadziwiająca! Skorośmy ukończyli te zabawy i igraszki chłopięce i odjęli fałszywe twarze, ukazaliśmy się oczom ludzkim bardziej szpetni i plugawi niż młode diabły z pasji Duanńskiej, tak mieliśmy twarze oszpecone w miejscach, które się zetknęły z owymi kartkami. Jeden miał świerzb, drugi liszaj, inny ospę, inny francę, inny duże furunkule. Słowem, najmniej ucierpiał ten, któremu zęby wypadły.

— Cud — wykrzyknął Homenas — cud!

— To jeszcze nic — odparł Rizotomos. — Moje dwie siostry, Kasia i Renatka, włożyły w te piękne Seksty, jak w prasę (były bowiem oprawne w grube deszczki z żelaznymi okuciami) swoje kołnierze, fartuszki i mankiety, świeżo uprane, namydłone i nakrochmalone. I, klnę się wam na imię Boga...

— Czekaj no — rzekł Homenas — o jakim Bogu mówisz...

— Jest tylko jeden — odparł Rizotomos.

— Tak — odparł Homenas — na niebie. Żali na ziemi nie mamy innego?

— Jedźmyż dalej — rzekł Rizotomos — nie pamiętałem o tym. Zatem, na imię papieża, Boga na ziemi, fartuszki, kołnierzyki, czapeczki, śliniaczki i wszelka inna bielizna zrobiła się czarniejsza niż worek węgla.

— Cud — wykrzyknął Homenas; — *clerice*, poświęć tutaj i zanotuj te piękne historie.

— Jak to — spytał brat Jan — toć powiadają:

*Odkąd dekrety mają skrzydła,
Rycerstwo juki na kształt bydła,
A zasię konno jeżdżą mnichy,
Porządek świata stał się lichy.*

— Ho, ho — rzekł Homenas — odgaduję. To są przygryzki nowych heretyków.

LIII. Jako przez ukrytą moc dekretaliów złoto subtelnie dostaje się z Francji do Rzymu

— Chętnie bym zapłacił — rzekł Epistemon — miskę flaków, gdybyśmy mogli porównać z oryginałem owe straszliwe rozdziały *Execrabilis*, *De multa*, *Si plures*, *De Annalis per totum*, *Nisi essent*, *Cum ad Monasterium*, *Quod dilectio*, *Mandatum*, i różne inne, które wyciągają z Francji do Rzymu co rok czterysta tysięcy dukatów i więcej.

— Czy to fraszki? — rzekł Homenas. — Wszelako wydaje mi się to mało, zważywszy, iż wielce chrześcijańska Francja jest jedyną żywicielką Kurii Rzymskiej. Ale znajdźcie mi na świecie jakie księgi, niech to będzie z filozofii, medycyny, prawa, matematyki, nauk humanistycznych, ba, nawet (przez mojego Boga) z Pisma Świętego, które byłyby zdolne tyle wyciągnąć? Nie masz takich. Bzdury, bzdury! Nigdzie nie znajdziecie tej złotopłynnej siły, ręcę wam. I te diabły, heretyki, nie chcą nauczyć się ich i poznać! Palcie, rwiecie, szczypcie obcęgami, topcie, wieszajcie, wbijajcie na pal, wykręcajcie łopatki, wyrwijcie członki, prujcie wnętrzności, ćwiartujcie, smaźcie, pieczcie, siekajcie, krzyżujcie, gotujcie, odzierajcie ze skóry, rwiecie końmi, wylamujcie stawy, kłujcie gwoździami, przypiekajcie węglami tych złośliwych heretyków dekretalifugów, dekretalicydów, gorszych niż mężobójce, gorszych niż ojcobójce, dekretalibójców diabelskich. Wy zaś, dobrzy ludzie, jeżeli chcecie, aby was nazywano i głoszone prawdziwymi chrześcijanami, błagam was ze złożonymi rękami, abyście nie wierzyli w nic innego, nie myśleli, nie mówili, nie przedsiębrali, nie czynili nic innego, jeno tylko to, co zawierają nasze święte dekretalia i ich korrolaria: szlachetna Seksta, wdzięczne Klementyny, nadobne Ekstrawaganty. O, księgi niebiańskie! W ten sposób jedynie będziecie pływać we czci, sławie, uwielbieniu, bogactwach, godnościach, potędze świata; od wszystkich szanowani, w każdym lęk wzbudzający, nad wszystkich przenoszeni, ze wszystkich wyróżnieni

i wybrani. Nie masz bowiem pod sklepieniem niebios stanu, w którym byście znaleźli ludzi sposobniejszych do czynienia i sprawowania wszystkiego niż ci, którzy dzięki boskiej mądrości i odwiecznemu przeznaczeniu poświęcili się studiowaniu świętych dekretaliów. Chcecie wybrać władnego cesarza, dzielnego hetmana, godnego wodza i przodownika armii w czas wojny, który by umiał przewidzieć wszelkie przeszkody, uniknąć niebezpieczeństw i w wesołości serca dobrze powieść ludzi do szturmów i walki, nie nie narażać, zawsze zwyciężyć bez straty w żołnierzach i dobrze wyzyskać zwycięstwo? Weźcież co żywe dekretynistę. Nie, nie, powiadam: dekretalistę.

— O hycell! — rzekł Epistemon.

— Chcecie w czas pokoju znaleźć człowieka zdatnego i odpowiedzialnego do mądrego zarządu rzeczypospolitej, królestwa, cesarstwa, monarchii; do zachowania Kościoła, szlachty, senatu i ludu w bogactwie, przyjaźni, zgodzie, posłuszeństwie, cnocie, poczciwości? Bierzcie mi dekretalistę. Chcecie znaleźć człowieka, który by przykładnym życiem, piękną wymową, świętymi napomnieniami, w niedługi czas, bez rozlewu krwi ludzkiej, zdobył ziemię świętą i na świętą wiarę nawrócił niewiernych Turków, Tatarów, Moskali, Mameluków, Sarobaitów? Bieźcież mi dekretalistę.

Kto sprawia, iż w rozmaitych krajach lud jest zuchwały i zepsuty, pazziowie łakomi i rozpustni, szkolarze tępi i leniwi? To, że ich rektorzy, ochmistrze, bakałarze nie byli dekretalistami.

A znów co (z ręką na sumieniu) umocniło, utwierdziło, wzmoгло w powagę owe piękne zakony, którymi po wszystkich krajach widzicie chrześcijaństwo przystrojone, ozdobione, uświetnione, jako firmament jasnymi gwiazdami? Boskie dekretalia.

Kto założył, ufundował, zgromadził, kto utrzymuje, podsyca, żywi pobożnych zakonników po klasztorach, monastyrach i opactwach; bez których modłów dziennych, nocnych, nieustających znalazłby się w niechybnym niebezpieczeństwie wrócenia do dawnego chaosu? Święte dekretalia.

Kto wspomaga i codziennie bogaci w obfitość wszelkich doczesnych, cielesnych i duchowych dóbr sławną i wspaniałą ojcowską św. Piotra? Święte dekretalia.

Co czyni świętą Stolicę Apostolską w Rzymie, od niepamiętnych czasów i dziś, tak groźną w świecie, iż chcąc nie chcąc, wszyscy królowie, cesarze, potentaci i panowie muszą być od niej zawisli, przez nią są koronowani, zatwierdzani, uprawnieni, iż przychodzą do niej klaniać się i padać na twarz przed czarodziejskim pantoflem, którego widzieliście wizerunek? Piękne dekretalia boże.

Wyjawię wam wielki sekret. Wasze świeckie uniwersytety w swoich herbach i godłach mają zazwyczaj księgę, jedne otwartą, drugie zamkniętą. Jak myślicie, co to może być za księga?

— Tego nie wiem — rzekł Pantagruel; — nie zaglądałem do niej.

— To są — rzekł Homenas — dekretalia, bez których przepadłyby przywileje wszystkich uniwersytetów. Przecieście się czegoś nauczyli ode mnie. Ha, ha, ha, ha.

Tutaj Homenas zaczął ckać, prykać, śmiać się, ślinić i poćić; i oddał swoją czapeczkę o czterech saccach jednej z dziewcząt, która wsadziła ją na piękną główkę z wielkim weselem, ucałowawszy ją wprzód miłośnie, jako zakład i upewnienie, iż pierwsza wyda się za męża.

— *Vivat!* — wykrzyknął Epistemon — *vivat, pijat, sikat!* O, tajni apokaliptyczna!

— *Clerice* — rzekł Homenas — *clerice*, poświęć tutaj podwójną latarnię. Dajcie owoce, dziewczątka. Mówilem tedy, że jeśli poświęcicie się wyłącznie studiowaniu świętych dekretaliów, będziecie bogaci i szanowani na tym świecie. Powiadam dalej, że prócz tego na drugim świecie będziecie niechybnie zbawieni i wpuszczeni do błogosławionego królestwa niebios, którego klucze powierzono naszemu dobremu Bogu Dekretaliarsze. O, mój dobry Boże, którego uwielbiam, a którego nigdy nie widziałem, otwórz nam, w szczególnej łasce swojej, bodaj *in articulo mortis*,

ten przenajświętszy skarb naszej świętej matki Kościoła, którego jest protektorem, konserwatorem, administratorem, dyspensatorem. I daj rozkaz, aby te kosztowne *dona superrogationis*, te piękne odpusty nie zbywały nam w potrzebie. Izby diabły nie miały mocy ukąsić naszych biednych dusz, izby okropna paszcza piekiel nie zdołała nas pochłoniąć. Jeśli trzeba nam przejść przez ogień czyśćcowy, cierpliwości! W twojej mocy i woli jest uwolnić nas zeń, kiedy zechcesz.

Tutaj Homenas zaczął ronić ciężkie i gorące łzy i całować własne kciuki złożone na krzyż.

LIV. Jako Homenas dał Pantagruelowi gruszki chrześcijanki

Epistemon, brat Jan i Panurg, widząc ten przykry obrót, zasłonili się serwetkami i poczęli pisać: *miau, miauu, miauu*, udając wszelako, iż obcierają sobie oczy, jak gdyby płakali. Dziewczęta były dobrze wyszkolone i podały wszystkim puchary pełne klementyńskiego wina, wraz z dostatkiem konfitur. Na koniec uczty Homenas dał nam wielką obfitość dużych i pięknych gruszek, mówiąc:

— Macie, bierzcie, przyjaciele: gruszki są nie byle jakie. Gdzie indziej takich nie znajdziecie. Nie wszędzie ziemia wydaje wszystko. W Indiach tylko rodzi się czarny heban. Z Sabei pochodzi dobre kadzidło. Z wyspy Lemnos glinka pieczętarska. Na tej wyspie jedynie rodzą się te piękne gruszki. Posadźcie je, jeżeli wasza wola, u siebie w kraju.

— Jakże — zapytał Pantagruel — je nazywacie? Zdają mi się bardzo smaczne i szlachetnej wody. Gdyby je ugotować w garnku, pokrajane z odrobiną wina i cukru, sądzę, iż byłaby z nich bardzo zbawienna potrawa tak dla chorych jak zdrowych.

— Nie mają innej nazwy — odparł Homenas. — My jesteśmy ludzie prości, Bogu dzięki; figi nazywają się u nas figi, śliwki — śliwki, a gruszki gruszki.

— Zaprawdę — rzekł Pantagruel — kiedy będę na swoim gospodarstwie (co nastąpi, jeśli Bóg pozwoli, niebawem), zasadzę je i zaszczipię w swoim ogrodzie w Turenii nad brzegiem Loary i będą się nazywać gruszki chrześcijanki. Nigdzie bowiem nie widziałem lepszych chrześcijan niż owych zacnych Papimanów.

— Nie malbym i ja nic przeciw temu — rzekł brat Jan — gdyby nam dał ze dwa albo trzy kopiaste wózki swoich dziewczątek.

— Na co ci? — zapytał Homenas.

— Aby im krew puścić — odparł brat Jan — prościuteńko między ich dwa kciuki, za pomocą lancetnika z najlepszej stali. Czyniąc im tę przysługę zaszczipilibyśmy im dziatki wielce chrześcijańskie i ta rasa poprawiłaby się w naszym kraju, gdzie dotąd nie najlepiej się dzieje.

— Oho — odparł Homenas — tego nie uczynimy, wnetki bowiem dobralibyście się im, gdzie nie trzeba; z nosa wam to czytam, chociaż was pierwszy raz widzę. Ho, ho, z was jest kawałek nieponia! Chcielibyście tedy koniecznie zgubić duszę? Nasze dekretalia zabraniają tego; przydałoby się wam ich nauczyć.

— Cierpliwości — rzekł brat Jan. — Ale *si tu non vis dare, presta, quaesumus*. To tekst z brewiarza. I nie lękam się w tej materii żadnej istoty z zarostem na twarzy, chociażby to był nawet sam doktor dekretyniczny (chcę powiedzieć dekretaliczny) z potrójną gałką.

Skoro się skończył obiad, pożegnaliśmy się z Homenasem i z całą pocztą ludnością, dziękując im uniżenie i, jako odwdziczenie za tyle łask, obiecując, iż za przybyciem do Rzymu uzyskamy od Ojca świętego to, że z pewnością nawiedzi ich kraj własną osobą. Po czym wróciliśmy na okręt. Pantagruel, z wrodzoną hojnością i przez wdzięczność za święty wizerunek papieża, dał Homenasowi dziesięć sztuk kędzierzawego złotogłowiu, aby je umocował z przodu świętego okienka. Prócz te-

go kazał napełnić skarbonkę z kwestą na odnowienie kościoła bitymi talarami, każdej zaś z dziewczyn, które usługiwały przy stole podczas obiadu, kazał wręczyć dziewięćset czternaście dukatów, aby im stały za posag w sposobnym czasie małżeństwa.

LV. Jako na pełnym morzu Pantagruel usłyszał rozmaite odtajane słowa

Podczas gdyśmy na pełnym morzu ucztowali, przegryzali, zabawiali się i wiedli ucieszne gawędki, Pantagruel podniósł się z miejsca i stał przez chwilę rozglądając się po okolicy. Następnie rzekł:

— Towarzyszu, zali nic nie słyszycie? Zdaje mi się, że słyszę w powietrzu jakby ludzkie głosy, nie widzę wszelako nikogo. Słuchajcie.

Na jego rozkaz wszyscy daliśmy baczenie i pełnymi uszami wysłaliśmy powietrze jakoby świeże ostrygi ze skorupy, aby usłyszeć, czy nie chwycimy gdzie jakiego głosu albo dźwięku i aby nic nie stracić. Niektórzy z nas, za przykładem cesarza Antoniusza, przykładali dłoń z tyłu do ucha. Ale nie usłyszeliśmy żadnego głosu. Pantagruel twierdził wszelako dalej, iż słyszy rozmaite głosy w powietrzu, tak męskie jak i niewieście; nagle i nam się zdało, że coś słyszymy albo że nam w uszach dzwoni. Im baczniej wyteżaliśmy słuch, tym wyraźniej rozróżnialiśmy głosy, tak iż nawet chwytałyśmy całe słowa. To nas przeraziło wielce, i nie bez przyczyny, jako że nie widzieliśmy nikogo, a słyszeliśmy tyle rozmaitych głosów i dźwięków jakoby mężczyzn, kobiet, dzieci, koni. Aż wreszcie Panurg zakrzyknął:

— Do kroćset, czy to jakie czary! zgubieniśmy. Uciekajmy. Tu jest jakaś zasadzka w pobliżu. Bracie Janie, jesteś, przyjacielu? Trzymaj się koło mnie, błagam cię. Masz swój kordelas? Spróbuj go, czy się nie zacina w pochwie. Czyś go aby dobrze oczyścił ze rdzy? Zgubieniśmy. Słuchaj no: dalibóg, to strzały

armatnie. Uciekajmy. Nie mówię: rękami i nogami, jako mówił Brutus w bitwie farsalskiej; mówię: wiosłami i żaglami. Zmykajmy. Nie czuję odwagi na morzu. W piwnicy i gdzie indziej mam jej aż do zbytku. Zmykajmy. Ratuśmy się. Nie mówię tego ze strachu, nie boję się bowiem niczego prócz niebezpieczeństwa. Zawsze to mówię. Zmieniaj front. Zakręć no sterem, skurwysynu! Dałby Bóg, abym się teraz znajdował w swoim domostwie, choćbym na zawsze miał się obyć bez żony! Zmykajmy, to nie dla nas zabawa. Jest ich dziesięciu na jednego, ręczę. A potem oni są tu na swoich śmieciach, a my nie znamy kraju. Zabiją nas. Zmykajmy, w tym nie ma wstydu. Demostenes powiada, że człowiek, który ucieka, może kiedyś znów walczyć. Ukryjmy się gdzieś przynajmniej. Na prawo, na lewo, naprzód, żwawo! Zmykajmy, do wszystkich diabłów, zmykajmy.

Pantagruel słysząc gwałty, jakie czynił Panurg, spytał:

— Któż jest ten tam, tak skory do uciekania? Zobaczymy wprzód, co to za ludzie. A gdyby to byli nasi? Jeszcze nie widzę nikogo, widzę wszelako na sto mil wokoło. Ale słuchajmy. Czytałem, iż pewien filozof, imieniem Petroniusz, był tego zdania, że istnieje więcej światów stykających się wzajem ze sobą w formie trójkąta równoramiennego, w którego ośrodku i centralnym punkcie znajduje się domostwo Prawdy i że tam mieszczą słowa, myśli, pierwowzory i wizerunki wszystkich przeszłych i przyszłych rzeczy; naokoło nich zasię jest Czas. I w niektórych latach, w długich odstępach, cząstka z nich spada na ludzi jak katar, jako rosa spadła na runo Gedeonowe; część zaś przechowuje się tam na przyszłość, aż do skończenia wieków. Przypominam sobie także, że Arystoteles utrzymuje, iż słowa Homera są bujające, latające, lotne, i tym samym obdarzone życiem.

Antyfanos znowuż mówił, iż nauka Platona podobna jest do słów, które w jakiejś okolicy w czas ostrej zimy w samej chwili wychodzenia z ust marzną i ścinają się na mroźnym po-

wietrze i zgola ich nie slychać. Podobnie to, co Platon wykladal małym chłopcom, dochodziło do ich zrozumienia ledwie wówczas, kiedy się mieli ku starości. Zatem trzeba by rozstrzygnąć i zbadać, czy przypadkiem nie jest tu miejsce, w którym takie słowa taja. Bardzo bylibyśmy zdumieni, gdyby się okazało, iż to jest głowa i lutnia Orfeusza. Gdy bowiem Tracjki rozszarpały Orfeusza w sztuki, rzuciły głowę i lutnię do rzeki Hebrus. Z tą rzeką dostały się do Morza Ponckiego, aż do wyspy Lesbos, ciągle wraz utrzymując się na morzu. I z głowy nieustannie dobywał się żaloszny śpiew, jakoby żalący się śmierci Orfeusza; struny zaś lutni, poruszane tchnieniem wiatru, towarzyszyły harmonijnie śpiewowi. Patrzmyż, czy ich gdzie nie ujrzymy w pobliżu.

LVI. Jako pomiędzy zamarzniętymi wyrazami Pantagruel usłyszał nieco sprośnych

Pilot na to odpowiedział:

— Panie, nie się nie obawiaj. Jesteśmy tu na granicy Morza Lodowatego, na którym toczyła się, z początkiem zeszłej zimy, wielka i okrutna bitwa pomiędzy Arymaspijczykami i Nephelibatami. Wówczas zamarły w powietrzu słowa i krzyki mężów i niewiast, uderzenia maczug, łoskot pancerzy, szczęk oręża, rżenie koni i inne groźne wojenne odgłosy. Obecnie, skoro pofolgowała mroźna zima i przyszedł łaskawszy i cieplejszy czas, głosy te stajały i dają się słyszeć.

— Na Boga — rzekł Panurg — to wielce do prawdy podobne. Ale czy nie moglibyśmy zobaczyć którego? Przypominam sobie, czytałem gdzieś, że u stóp góry, na której Mojżesz otrzymał prawa dla Żydów, lud widział głos wyraźnie.

— Ot, macie — rzekł Pantagruel — oto jeszcze trochę tych, które nie odmarzły.

Za czym rzucił nam na pokład pełną garść wyrazów zmarzniętych, które wyglądały jak cukierki, w formie perełek roz-

maitego koloru. Niektóre, ogrzawszy się trochę w naszych rękach, topniały jak śnieg i słyszeliśmy je wyraźnie, ale nie rozumiejąc, były bowiem w jakowymś barbarzyńskim narzeczu. Wyjątek stanowiło jedno, dość grube, które brat Jan ogrzał w rękach i które wydało taki dźwięk jak kasztany, gdy się je rzuci na żar nienadcięte i gdy trzaskają; tak iż wszyscy zadrzeliśmy ze strachu.

— To — rzekł brat Jan — musiał być w swoim czasie wystrzał z falkonetu.

Panurg poprosił Pantagruela, aby dał jeszcze. Pantagruel odpowiedział, iż dawać komuś słowo, to jest rzecz zakochanych.

— Sprzedajcież mi tedy — rzekł Panurg.

— To rzecz adwokatów — odparł Pantagruel — sprzedawać słowa. Sprzedałbym ci raczej milczenie, i to drożej; jako niejednokrotnie Demostenes sprzedawał je za srebrniki.

Rzucił wszelako na pokład kilka przygarści. I ujrzałem słowa klujące, słowa krwawe, które, jak nam pilot powiedział, wracają niekiedy w gardło, z którego wyszły, ale w gardło już poderżnięte: słowa straszne, i inne, dość niemiłe do patrzenia. Gdy te stopiły się, usłyszeliśmy naraz jeno him, him, him, tik, trak, bum, drededen, brededak, frr, frr, frr, bu, bu, bu, bu, bu, bu, trak, trak, trr, trr, trrr, trrrr, hon, hon, hon, hon, uoon, got, magot, i inne, lichy wie jakie barbarzyńskie słowa. I powiadał, że to są odgłosy parskania i rżenia koni w czas bitwy; potem usłyszeliśmy inne, bardzo grube, które topniejąc wydały dźwięki, jedne podobne bębnom i piszczalkom, drugie trąbom i fanfaram. Wiercie, że mieliśmy z tego niemalą rozrywkę. Chciałem kilka słów, co sprośniejszych, przechować w oliwie, jak przechowuje się śnieg i lód w sianie. Ale Pantagruel nie pozwolił mówiąc, iż to jest czyste szaleństwo czynić zapasy tego, na czym nigdy nie zbywa i co mamy zawsze pod ręką; jako iż słów tych zawdy jest pod dostatkiem między dobrymi i szczerymi pantagruelistami.

Panurg rozgniewał nieco brata Jana i zaskoczył go mocno, wziął go bowiem za słowo, gdy się tego nie spodziewał; tedy brat Jan pogroził mu, iż odpłaci mu w podobny sposób, jak odpłacił niejaki Wilhelm, gdy sprzedawał na słowo sukno szlachetnemu Patelinowi. Owo przyjdzie czas (kiedy już będzie żonaty), iż on, brat Jan, weźmie go za rogi jak cielka, skoro on wziął go za słowo jak mężczyznę. Panurg pokazał mu język, jakoby na znak pośmiechu. Następnie wykrzyknął:

— Dalby Bóg, abym tu, bez dalszej wędrówki, mógł użyć słowa boskiej Flaszki.

LVII. Jako Pantagruel przybył do mieszkania Imć Gastera, pierwszego mistrza sztuk we świecie

Tegoż dnia Pantagruel przybił do wyspy cudniejszej od wszystkich innych, tak dla swego położenia jak i dla osoby jej władcy. Ze wszystkich stron była ona zrazu uciążliwa, kamienista, stroma, nieurodzajna, niemiła dla oczu, bardzo ciężka dla nóg i mało co mniej niedostępna niż owa góra w Delfinacie, nazwana od tego, iż jest kształtu dyni i że, jak daleko pamięć ludzka sięga, nikt nie mógł wdrapać się na nią, prócz Dojaka, dowódcy artylerii króla Karola Ósmego, który, za pomocą prze-myślnych machin, dostał się na nią i na wierzchu ujrzał starego tryka. Niechże kto zgadnie, kto go tam wytaszczył? Niektórzy powiadają, iż jaki orzeł albo puchacz porwał go młodym jagniątkiem i że ze szponów ptaka umknął w te zarośla. Przemógłszy z wielkim mozołem trudności przystępu i napociwszy się znacznie, ujrzelśmy wierzch wyspy tak uroczy, żyzny, tak rozkoszny i luby, iż myślałem, żeśmy trafili do prawdziwego ogrodu i raju ziemskiego, nad którego położeniem tak się spierają i łamią sobie głowy dobrzy teologowie. Pantagruel dowodził nam, iż musi to być siedziba Arety (to jest cnoty) opisana przez Hezjoda, nie upierając się wszelako przy tym, gdyby ktoś w co lepszego utrafił.

Władcą tej wyspy był Jegomość Gaster, pierwszy mistrz sztuk na tym świecie. Jeśli myślicie, że ogień jest wielkim mistrzem sztuk, jako powiada Cycero, mylicie się i jesteście w błędzie. Sam bowiem Cycero temu nie wierzył. Jeśli myślicie, że Merkury był pierwszym wynalazcą sztuk, jako niegdyś mniemali dawni druidzi, spudlowaliście haniebnie. Prawdą jedyną jest zdanie satyryka, który powiada, iż Jegomość Gaster jest mistrzem wszystkich sztuk. Z tym przemieszkiwała zgodnie dobra pani Penija, zwana inaczej Biedą, matka dziewięciu muz; z której niegdyś, za współudziałem imć Porusa, pana na Do-statku, urodził się nam Amor, słodkie dziecko pośredniczące między Niebem a Ziemią, jak to zaświadcza Platon *in Symposio*. Temu dzielnemu królowi godziło się nam zanieść pokłon, zaprzysiąc posłuszeństwo i oddać cześć. Jest bowiem samowładny, surowy, okrągły, twardy i nieugięty. Jemu nie da się nic odmówić, nic przedstawić, nie wytłumaczyć: niczego nie słucha. I jako Egipcjanie mówili o Harpokrasie, bogu miłczenia, po grecku zwanym Sigalion, iż jest *astomos*, bezusty, tak samo Gaster urodził się bez uszu; podobnie jak w Kandii wizerunek Jowisza był bez uszu. Mówi jeno za pomocą znaków. Ale tym znakom świat cały skwapliwiej jest posłuszny niż edyktom pretorów i zleceniom królów. W żądaniach swoich nie dopuszcza żadnej zwłoki i opóźnienia. Powiadacie, że ryk lwa przyprowadza o drzenie wszystkie bestie dokoła, tak daleko (oczywiście), jak daleko jego głos sięga. Tak jest napisane. To szczerza prawda. Widziałem to. Otóż, upewniam was, że na rozkaz Imć Gastera całe niebo drży, cała ziemia się trzęsie. Objawił swoją wolę: trzeba ją spełnić bez zwłoki albo umrzeć.

Pilot opowiadał nam, iż jednego dnia, za przykładem członków spiskujących przeciw brzuchowi, o których powiada Ezop, całe królestwo cielesne sprzysięgło się przeciwko niemu i postanowiło wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Ale wkrótce odczuło skutki, pożałowało tego i wróciło z całą pokorą w jego służby. Inaczej byłiby wszyscy zginęli głodową śmiercią. W ja-

kiejbykolwiek kompanii się znalazł, nie ma się co nawet sprzeczać o wyższość i pierwszeństwo: zawždy ma pierwszy krok i idzie przodem, choćby to byli królowie, cesarze, ba, zgoła sam papież. I na soborze bazylejskim on szedł pierwszy, mimo że, jak powiadają, ów sobór był bardzo niezgodny z przyczyny zabiegów i ambicji o pierwsze miejsce. Aby jemu służyć, cały świat się trzusi, cały świat się krząta. Toteż w nagrodę wyświadcza on światu to dobro, iż wynajduje wszelkie sztuki, machiny, rzemiosła, wszelkie podstępny i subtelności. Nawet bezrozumne zwierzęta uczy sztuk obcych im z natury. Kruki, szpaki, papugi zmienia w poetów; sroki czyni poetkami; i uczy je mową ludzką ćwierkać, gwarzyć, śpiewać. A wszystko dla bandziocha.

Orły, sępy, sokoły, krogulce, białozory, jastrzębie, ptactwo dzikie, drapieżne, wędrowne oswaja i oblaskawia, tak iż kiedy mu się spodoba, wypuszcza je na pełną wolność pod niebiosy, tak wysoko, jak zechce, na tak długo, jak ma ochotę, trzyma je zawieszone, błędzące, latające, żeglujące, wdzięczące się do niego i umizgające nad chmurami; potem zasię nagle każe im spadać z nieba na ziemię. A wszystko dla bandziocha.

Słoniom, lwom, nosorożcom, niedźwiedziom, koniom, psom każe tańczyć, krążyć, kołować, walczyć, pływać, chować się, znościć, co zechce, łowić, czego zabraknie. A wszystko dla bandziocha.

Rydom, tak morza jak i wód słodkich, wielorybom i potworom morskim każe wychodzić z otchłannych czeluści, wilki wywabia z lasu, niedźwiedzie ze skał, lisy z jam, węże wypędza z ziemi całymi gromadami. A wszystko dla bandziocha.

I tak jest zachłanny i drapieżny, iż w swej wściekłości zjada wszystko, zwierzęta i ludzi, jako to widziano wśród Baskonów, wówczas gdy Q. Metellus oblegał ich podczas wojny sertoriańskiej; u Saguntynów obleganych przez Hannibala; u Żydów obleganych przez Rzymian; i tysiąc innych przykładów. A wszystko dla bandziocha.

Kiedy Penija, jego ochmistrzyni, puści się w drogę, kędy mogą stąpi, tam wszystkie trybunały są zamknięte, wszystkie edykty nieme, wszelkie rozkazy próżne. Każdy chroni się przed nią, gdzie może, raczej wystawiając się na rozbić na morzu, łatwiej ważyć się przejść przez ogień, góry, otchłanie, niżby miał popaść w jej ręce.

LVIII. Jako na dworze Mistrza wszelakich sztuk Pantagruel obrzydził sobie Engastrimyków i Gastrolatrow

Na dworze tego wielkiego mistrza wszelakich sztuk Pantagruel spostrzegł dwa rodzaje ludzi, jak gdyby natrętnych i zbyt usługnych trabantów, do których powziął wielkie obrzydzenie. Jedni nazywali się Engastrimyci, drudzy Gastrolatry. Engastrimyci chępli się, iż pchodzą ze starożytnego rodu Eurykla, i przytaczali na to świadectwo Arystofanesa w komedii jego zatytułowanej *Osy*. Od tego dawniej nazywano ich Euryklijczykami, jako powiadają Plato i Plutarch w księdze o *Upadku Wyrocni*. W świętych dekretach, 26, quest. 3, nazwani są brzuchomówcami; i tak ich nazywa, w narzeczu jońskim, Hipokrates, lib. V, *Epid.*, jakoby mówiących brzuchem. Sofokles nazywa ich *Sternomantes*. Byli to wróżbiarze, czarnoksiężnicy i mamiecie prostego ludu, udający, iż nie ustami, jeno brzuchem mówią i odpowiadają na pytania.

Taka była, około Roku Pańskiego 1513, Jakuba Rodogina, Włoszka, kobieta niskiego pochodzenia. Z której brzucha (zarówno jak mnóstwo innych, w Ferrarze i gdzie indziej) słyszeliśmy wychodzący głos nieczystego ducha, mimo iż cichy, słaby i wąty, bardzo wszelako dobrze artykułowany, wyraźny i zrozumiały. A można było to słyszeć, ilekroć wskutek ciekawości bogatych panów i książąt cisalpińskich Galii przywołano ją i wezwano. Ci, aby usunąć wszelkie podejrzenia udania i podstępnego szalbierstwa, dawali ją rozdziać do naga i polecali jej zatkać nos i usta. Ten mały duch kazał się nazywać *Kędzierzawkiem* i znajdował jakoby przyjemność w tym,

by go tak nazywano. Kiedy go tak wołano, natychmiast odpowiadał na pytania. Kiedy go pytano o rzeczy obecne lub przeszłe, odpowiadał trafnie, tak że budził podziw wszystkich słuchaczy; jeżeli o rzeczy przyszłe, zawsze kłamał i nigdy nie mówił prawdy. I często jakoby się przyznawał do swej nieświado-
mości, gdyż, miast odpowiedzi, wydawał jeno siarczyste pier-
dnięcie albo też mruczał jakieś słowa niezrozumiałe i o bar-
barzyńskim brzmieniu.

Z drugiej strony trzymali się kupkami i gromadami Gastro-
latrzy, jedni weseli, przymilni i słodcy, drudzy smutni, poważni,
surowi, markotni: wszyscy próżnujący, nie czyniący, nie
pracujący, będący daremnym ciężarem i balastem, jako powia-
da Hezjod; drżący w ustawicznym strachu (jak można było
wnosić), iż brzuch urazi się i schudnie. Zresztą byli zamasko-
wani, przebrani, odziani tak dziwacznie, że warto było patrzeć.
Powiadacie i napisane jest przez wielu roztropnych i staro-
żytnych filozofów, iż przemysłność natury objawia się cudow-
nie w ucieśnym sposobie i jakoby umiłowaniu, z jakim potwo-
rzyła kształty muszel morskich: taką się tam widzi różnaitość,
tyle postaci, tyle barw, szczegółów i form nie do naśladowania
przez sztukę. Upewniam was, iż w ubraniu tych ślimakowatych
Gastrolatorów widzieliśmy niemniejszą różnorodność i odmiany.
Wszyscy uważali Gastera za swego wielkiego boga, uwielbiali
go jak boga, składali mu ofiary jako swemu bogu wszechmogą-
cemu, nie uznawali innego boga prócz niego; służyli mu, miło-
wali go ponad wszystko inne, czcili jako swego boga. Rzekł-
byś, iż właśnie ich miał na myśli święty Apostoł, gdy pisał,
Philippens. III: „Wielu jest, o których często wam mówiłem
(jeszcze teraz wam to powiadam ze łzami w oczach), nieprzy-
jaciół Chrystusa; dla tych śmierć będzie sromotnym końcem,
brzuch bowiem jest ich bogiem“. Pantagruel porównywał ich do
Cyklopa Polifema, któremu Eurypides wkłada w usta nastę-
pujące słowa: „Nie święcę, jeno sobie (bogom nie) i memu
brzuchowi, największemu z bogów“.

LIX. O śmiesznym posążku zwanym Mandukiem i o tym, jak i jakie rzeczy święcili Gastrolatrzy w ofierze swemu brzuchomożnemu bogu

Gdyśmy tak w wielkim zdumieniu patrzyli na twarze i ruchy
tych przepaścistowniętrzných Gastrolatorów, usłyszeliśmy głośny
dźwięk dzwonu, na który wszyscy się ustawili jakoby w szy-
ku wojennym, każdy wedle swego urzędu, stopnia i starszeń-
stwa. I tak przybyli przed oblicze Jegomości Gastera, krocząc
za tłustym, młodym, potężnym brzuchaczem, który na długim,
bogato złoconym kijku niósł posążek drewniany, lichy wyciosa-
ny i grubo malowany, jak go nam opisują Plaut, Juwenal
i Pomp. Festus. W Lionie, w czas karnawału, nazywają go
chlebożrejem; oni nazywali go *Mandukiem*. Był to wizerunek
poczwarny, śmieszny, wstrętny i zdolny bardzo przestraszyć
małe dzieci; mający oczy większe od brzucha, a głowę większą
niż resztę ciała, z dużymi, szerokimi i strasliwymi szczękami
pozbawionymi zębów, tak od góry jak od dołu. Za pomocą
małego sznureczka, ukrytego wewnątrz złotego drążka, dało
się nimi poruszać szczękając przeraźliwie jedną o drugą, jako
w Mecu czyni figura smoka świętego Klemensa.

Skoro Gastrolatrzy zbliżyli się ku nam, ujrzałem, iż ciągnie
za nimi wielka ilość grubych pacholków, obładowanych kosza-
mi, kobiałkami, garnkami, torbami i rondlami. Za czym, pod
wodzą owego Manduka, śpiewając swoje dytyramby, pijackie
pieśni i kantyczki, otwierając kosze i kociołki, ofiarowali swe-
mu bogu białą hipokras i delikatnie przypiekaną skórę od
chleba. Takż:

Chleb biały,	Frykasy, dziewięć rodzajów,
Bołeczki,	Pasztety,
Kołacze,	Tłuste zupy,
Podpłomyki,	Zupki lionskie,
Strucle w sześciu odmianach,	Flaki,
Bigosy,	Zupy bobkowe,
Cąbry cielece na zimno, posypa- ne imbirem,	Kapustę duszoną ze szpikiem wo- lowym,

Pieczenie duszone,

Salmigondy,
Kulebiaki.

Wśród tego nieustający napój: z początku dobre i chłodne wino białe, potem klarecik, a w końcu czerwone; wszystko (trzeba wam wiedzieć) zimne jak lód, podawane w wielkich srebrnych filiżankach. Następnie ofiarowali:

Kielbaski, przyprawione najprzedej-
niejszą musztardą,
Szynki,
Polędwicę z dzika,
Dziczyznę wszelaką,
Oliwki solone,
Głowizny,

Wędzonkę z grochem,
Serwulatki,
Kiszki,
Wędzone ozory,
Salami,
Frykanda,
Pekeflajsz.

Wszystko przeplatane nieustannym napojem. Następnie wsuwali mu do paszczy:

Baraninę z czosnkiem,
Paszty z gorącym sosem,
Kotlety wieprzowe z cebulą,
Kaplony pieczone we własnym
smalcu,
Kuropatwy, kuropatewki,
Bażanty, bażanciątko,
Cietrzewie, cietrzewiątko,
Kaczki dzikie,
Piersi cielęce,
Kury gotowane i tłuste,
Kaplony w galarecie,
Ortolany,
Koguty, kurczaki indyjskie,
Grzywacze,
Prosięta pieczone,
Kaczkę w długim sosie,
Kosy, chruściele,
Głuszcze, głuszczałka,
Kurki gwinejskie,
Siewki,

Pulardy,
Bekasy,
Kozłeta,
Daniele,
Zające, zajączki,
Cyranki,
Nurki,
Słonki,
Kuliki,
Kurki wodne,
Jeże, kozłatka,
Udźce baranie z kaparkami,
Jarząbki,
Pantarki,
Bekasy, bekasięta,
Kurczęta,
Króliki, króliczeta,
Lyski,
Przepiórki, przepiórczeta,
Gołębie, gołąbki,
Czaple, czaplątka,

Gęsi, gąski,
Sinaki,
Mewy,
Flamingi, łabędzie,
Czaple młode,

Żurawie,
Wspaniałe sztuki wołowe,
Kwicoły,
Pardwy.

Wszystko obficie zaprawione octem. Potem wielkie pasztety:

Z dziczyzny,
Ze skowronków,
Z koszatki,
Z kozła skalnego,
Z rogacza,
Z gołębia,
Z giemy,
Z kapłona,
Nóżki wieprzowe w smalcu,
Sery,
Brzoskwinie korbelskie,
Karczochy,

Omlety,
Torty w szesnastu odmianach,
Marmoladę z pigwy,
Kremy bite,
Galarety,
Hipokras czerwony,
Konfitury suche i płynne, siedem-
dziesiąt i osiem rodzajów,
Cukierki w ośmiu kolorach,
Leguminy,
Lody,
Ciasta śmietankowe.

Na końcu znów dawano wino, z obawy przed czkawką. *Item* grzanki.

LX. Jakie ofiary składali swemu bogu Gastrolatrzy w dni postne szpikowane sperką

Widząc tę obmierzłą zgraję ofiarników i mnogość ich ofiar, obruszył się Pantagruel i byłby się zabrał, gdyby Epistemon nie uprosił go, aby jeszcze przypatrzeć się wspólnie końcowi tego widowiska.

— A cóż oni święcą, ci hultaje, swemu bruchomocnemu bogu w dnie postne szpikowane sperką?

— Zaraz wam powiem — odparł pilot. — Jako przekąskę przed obiadem ofiarują mu:

Kawior,
Ikrę rybia,

Sardynki,
Serdele

Masło świeże,
Groch zagniatany,
Szpinak,
Śledzie solone,
Śledzie wędzone,
Łososia solonego,
Węgorzyki solone,
Ostrygi w skorupkach,

Tuńczyki młode,
Kapustę na oliwie,
Salatę z bobu,
Sto rozmaitych салат:
z rzeżuchy, z chmielu, z uszek
Judaszowych (to jest rodzaj grzy-
bów na occie), z biskupiego jaj-
ka, ze szparagów i różnych in-
nych.

Teraz godzi się popić, alboby diabli człowieka roznieśli
z pragnienia. O tym też pamiętają dobrze i nie zaniedbują
nigdy; po czym ofiarują mu:

Minogi na sosie z Hipokrasu,
Raje,
Jesiotry,
Makroty,
Pstragi,

Bolenie,
Barbilony,
Karpie,
Wieloryby,
Piły.

Polknąwszy te mięsiwa, kto nie popił, na tego czyha śmierć
o dwa kroki. Temu zapobiegali z wielką przezornością. Na-
stępnie ofiarowano:

Dorsze solone,
Sztokfisz,
Mulki,
Motyle,

Jajka gotowane, smażone w po-
piele, sadzone po włosku, w ja-
jecznicy, w auszpiku, na śmie-
tanie itd.,
Sterlety marynowane,

dla których lepszej strawności i przerobienia w jelitach, sok
winny, obficie zażyty, był nieodzowny. Na koniec ofiarowali:

Ryż,
Proso,
Kaszę,
Masło migdałowe,
Śliwki suszone,
Śnieg maślany,
Karczochy,
Orzechy laskowe,

Pistasze,
Pistacje,
Figi,
Rodzynki,
Prunelki,
Daktyle,
Orzechy,
Ananasy,

Wszystko obficie zakropione.

Wierzajcie mi, iż dokładali wszelkich starań, aby ów Gaster
był wspaniale, okazałe i hojnie uczczony tymi ofiarami, wspanialej
pewnie niż posąg Heliogabala, ba, niż posąg Baala w Ba-
bilonii za króla Baltazara. Mimo to Gaster wyznawał, iż nie
jest bogiem, jeno biedną, nędzną, mizerną kreaturą. I jako
król Antygonus, pierwszy tego imienia, odpowiedział niejakiemu
Hermadotowi (który w poezjach swoich nazywał go bogiem
i synem słońca) mówiąc: „Mój Lasanofor przeczy temu“ (*La-
sanon* to było naczynie gliniane, przeznaczone, aby w nie od-
dawać ekskrementa); tak samo Gaster odsyłał tych mózgowców
do swego przedziurawionego tronu, dla pozierania, rozważa-
nia, filozofowania i rozpamiętywania, jaką boskość odnajdą
w jego kałowych wydzielinach.

LXI. Jako Gaster wymyślił sposoby zdobywania i prze- chowywania zboża

Skoro te diabelskie Gastrolatry się usunęły, Pantagruel przy-
stąpił uważnie do studiowania Jegomościa Gastera, mistrza
sztuk. Wiecie, iż wedle przyrodzonej ustawy, chleb, wraz z przy-
należnościami, dany mu jako pożywienie i pokarm; z do-
datkiem tego błogosławieństwa niebios, iż niczego nie ma mu
zbywać z rzeczy potrzebnych do zdobycia i zachowania chleba.
Jakoż z samego początku wynalazł sztukę kowalską i rolniczą,
dla uprawiania ziemi, iżby mu dawała ziarno. Wynalazł sztukę
wojskową i oręż, aby bronić tego ziarna; sztukę lekarską
i astrologię z potrzebną wiedzą matematyczną, aby ziarno bez-
piecznie przez wiele wieków przechowywać i zabezpieczyć od
klęsk powietrznych, złośliwości dzikich zwierząt, łupiestwa ra-
busiów. Wynalazł młyny wodne, wietrzne, ręczne i tysiące in-
nych machin, aby ziarno mleć i zmieniać w mąkę; drożdże, aby
zaczyniać ciasto; sól, aby mu nadać smak (przyszła bowiem
do poznania, że żadna rzecz na świecie nie czyni ludzi tak skłon-

nymi do chorób, jak użycie nie zaczynionego i nie solonego chleba); ogień, by go ugotować; zegar i klepsydry, aby obliczyć czas pieczenia chleba, owego dziecięcia poczętego z ziarna.

Gdy się zdarzyło, iż w jednym kraju brakło ziarna, wynalazł sposób i środki, aby je przenieść z jednej okolicy do drugiej. Za pomocą bardzo hystrej przemyślności skrzyżował dwie odmiany zwierząt, osły i kłacz, aby wyhodować trzecią, którą nazywamy *muły*: zwierzęta silniejsze, mniej delikatne, wytrwalsze w pracy od innych. Wynalazł wózki i furgony, aby je tym łatwiej przewozić. Jeśli morze albo rzeki zamykały drogę, wynalazł okręty, galary i statki (rzecz, która same żywioły wprawiała w podziw), aby przez morze, przez rzeki i strumienie żeglować, z barbarzyńskich, nieznanych i odległych ziem przynosząc i przewożąc ziarno. Zdarzyło się w niejakich latach, iż przy uprawie ziemi nie miał pod dostatkiem i w swoim czasie deszczu i że dla tego braku zboże w ziemi wyschło i zmarniało. W inne lata był znów nadmiar deszczu i ziarno zamokło. W inne lata zbił je grad, wyluskały wiatry, powaliła burza. Za czym, już przed naszym przybyciem, wynalazł sztukę i środek sprowadzania deszczu z niebios, jeno za pomocą tępienia jednego zieleń, pospolitego po łąkach, ale niewielu ludziom znanego, które nam wskazał. I sądzę, że było to owo ziele, za pomocą którego niegdyś kapłan Jowisza, wrzucając gałązkę w Studnię Agryjską na Górze Licyjskiej w Arkadii, w czasie wielkiej suszy, wzniecał z niej opary; z oparów tworzyły się wielkie chmury, które spływawszy deszczem, podlewały do syta całą okolicę. Wynalazł sposób i środki zawieszenia i zatrzymania deszczu w powietrzu i skierowania go ku morzu. Wynalazł sztukę i środki wstrzymania gradu, rozpróśnienia wiatrów, odwrócenia burzy, w sposób używany u Methaneńczyków w Trezenii.

Inne nieszczęście się zdarzyło. Łupieżcy i rabusie grabili ziarno i chleb po polach. Za czym wynalazł sztukę budowania miast, fortec i zamków, aby je ochronić i w bezpieczeństwie uchować. Zdarzyło się, iż nie znajdując chleba w polu, dowie-

dział się, że jest zamknięty w miastach, fortecach i zamkach sąsiednich, czujniej przez mieszkańców strzeżony i pilnowany niż niegdyś złote jabłka Hesperyd przez smoki. Wynalazł sztukę i sposoby rozbijania fortec i zamków za pomocą machin i narzędzi wojennych, taranów, kusz, katapultów, których objawił nam postać, dość źle wszelako zrozumianą przez prześcipnych architektów, uczniów Witruwiusza, jako to nam objaśnił imię Filibert Delorm, wielki architekt króla Megista. Skoro już te oręża przestały być skuteczne z przyczyny przemysłnej chytrłości i chytrej przemyślności fortyfikatorów, wynalazł imię Gaster od niedawna armaty, serpentyny, kolubryny, falkonety, bazyliki, rzucające kule z żelaza, z ołowiu, z brązu, cięższe niż wielkie kowadła, a to za pomocą przeraźliwej mieszaniny prochu, której natura sama się zdumiała i uznała się zwyciężoną przez sztukę, za nic już mając obyczaj Oksydraków, którzy za pomocą piorunów, grzmotów, gradu, błyskawic, burzy zwyciężali i o śmierć przyprawiali w szczerym polu swoich nieprzyjaciół. Bardziej jest bowiem okropny, bardziej przeraźliwy, bardziej diabelski, więcej ludzi morduje, miażdży, łamie i zabija, bardziej osłupia zmysły śmiertelnych, więcej murów kruszy jeden wystrzał z bazyliki, niżli by to sprawiło sto uderzeń piorunu.

LXII. Jako mistrz Gaster wynalazł sztukę i sposób, aby się ubezpieczyć przed strzałem armatnim

Zdarzyło się, iż gdy Gaster ścigał ziarno do fortecy, ujrzał się obleżonym przez nieprzyjaciół i patrzył, jak za pomocą tej po trzykroć przeklętej i piekielnej maszyny, po zburzeniu fortecy, tytaniczna siła rabuje i plądruje jego chleb i zboże. Za czym wymyślił przeciw temu sztukę i sposoby. I nie szło mu o to, aby ubezpieczyć swoje szanse, bastiony, mury i inne zasłony przed kanonadą, tak iżby kule nie dosięgnawszy ich musiały zawisnąć nieruchomo w powietrzu albo też dosięgnawszy

nie czyniły szkody ani fortecom, ani mieszkańcom broniącym ich. Tej niedogodności już wprzód bardzo skutecznie zaradził i pokazał nam sposób, którego później użył Fronton, a obecnie jest już pospolicie rozpowszechniony w rzędzie zabaw i godnych ćwiczeń Telemitów. Sposób był taki. I odtąd bądźcie mniej oporni w wierze doświadczeniu przytoczonemu przez Plutarcha. Jeśli widzicie stado kozie uciekających pędem ze wszystkich sił, włóżcie jeno żdziebelko mikołajka w pysk ostatniej, a zaraz wszystkie zatrzymają się.

Do brązowego falkoneta, na proch armatni starannie przyrządzony, oczyszczony z siarki i wedle proporcji w należytej ilości zmieszany z czystą kamforą, ładował kulę żelazną dobrego kalibru oraz dwadzieścia pięć ziarnek żelaznego śrutu, częścią okrągłych i sferycznych, częścią w formie jakoby łez. Następnie wziawszy na cel jednego z młodych paziów, jak gdyby mu chciał wsadzić nabój w sam żołądek, w odległości sześćdziesięciu kroków, na pół drogi między paziem a falkonetem, zawiesił w linii prostej, na drewnianej szubienicy na sznurze bujającym się w powietrzu, bryłę sydereytu, to znaczy żelaznego kamienia, inaczej nazwanego herkuliańskim, niegdyś znalezionego na górze Ida w krainie Frygii przez niejakiego Magnesa (jak zaświadcza Nikander). Stąd pospolicie nazywamy go magnezem. Następnie przykładał lont do dziurki w falkonecie, obsypanej w koło prochem. Skoro proch się zapalił, ażeby uniknąć powstania próżni (której natura nie może ścierpieć: raczej by cała machina wszechświata, niebo, powietrze, ziemia, morze, obróciły się w dawny chaos, niżby miała się zdarzyć próżnia w jakimkolwiek miejscu na świecie), kula i szrut wypadają gwałtownie przez paszczę falkonetu, iżby powietrze mogło wnikać do jego komory; inaczej pozostałaby ona w stanie próżni, ile że proch uległ w tej chwili strawieniu przez ogień. Zdawałoby się, iż kula i szrut, wyrzucone z taką gwałtownością, powinnyby zabić paza; alisci w chwili gdy zbliżają się do owego kamienia, gubi się ich impet i stają w powietrzu, bujając się

i kręcąc koło magnesu, i żadna, by nawet z największym rozmachem pędząca, nie doleciała do paza.

Ba, wynalazł sposób i sztukę, za pomocą której mocen jest wrócić kule wstecz przeciw nieprzyjaciółom, z taką samą siłą i impetem, z jaką je wystrzelono i w tej samej paraleli. Rzecz nie zdawała się zbyt trudna, zważywszy, iż ziele nazwane *Ethiopis* otwiera wszystkie zamki, do których je przytknąć, że Echineis, mizerna rybka, zatrzymuje wbrew wszelkim wiatrom i zastanawia w najgwałtowniejszej burzy największe okręty płynące po morzu i że mięso tej rybki, przechowane w soli, wywabia złoto ze studni, chociażby tak głębokiej, iż dna jej zmacać nie można; zważywszy, iż Demokryt pisze, a Teofrast potwierdza i sam sprawdził, że istnieje zioło, przez którego samo dotknięcie klin żelazny, głęboko i z siłą wbity w gruby i twarde pień drzewa, natychmiast wychodzi na zewnątrz. Tego ziela używają ptaszki dziecięcy, kiedy ktoś potężnym klinem żelaznym zaczopuje dziurę w ich gnieździe; mają bowiem obyczaj nader przemyślnie budować gniazda i drażyć je w pniach dużych drzew;

zważywszy, iż jelenie i sarny ciężko skaleczone ostrzem gro-tów, strzał albo pocisków, jeśli natrafią na ziele zwane *dyktam*, pospolite w Kandii, i zjedzą go troszkę, natychmiast groty wychodzą z nich na zewnątrz i nie zostaje żadnej rany. Tym ziele Wenus uleczyła swego ukochanego syna Eneasza, skaleczonego w lewe udo strzałą wystrzeloną przez siostrę Turnusa Juturnę;

zważywszy, iż sam zapach wydzielający się z drzewa bobkowego, figi i morskiego cielęcia ma zdolność odwracania piorunu, tak iż nigdy w nie nie ugodzi;

zważywszy, że na sam widok tryka rozjuszony słonie przychodzą do opamiętania; wściekle i rozszalałe byki zbliżają się do dzikich fig, zwanych kapryfkami, uspokajają się i stają jakoby zmartwiałe i nieruchome, zasię furia zmij przemija za dotknięciem gałązki buku;

zważywszy także, że na wyspie Samos, nim zbudowano tam świątynię Junony, Euforion widział i opisuje bestie nazwane Neadami, na których sam ryk ziemia rozpęka się w rozpadliny i czeluście;

zważywszy podobnie, iż ziele bzu rodzi się bardzo dźwięczne i sposobniejsze do gry na fletni w kraju, gdzie nie słyszy się piania koguta, jako przekazali nam starożytni mędrcy wedle zapisków Teofrasta, jak gdyby pianie koguta przytępiało, rozmiękczało i zastanawiało materię i drzewo tegoż bzu; a na toż samo pianie koguta również i lew, zwierzę tak silne i zuchwałe, staje w osłupieniu i popłochu. Wiem, że inni rozumieli i odnosili to mniemanie do dzikiego bzu, pochodzącego z miejsc tak oddalonych od miast i wsi, iż śpiew koguta nie mógł tam być słyszany. Ta odmiana bzu musi z pewnością być odpowiedniejsza na fletnie i inne muzyczne instrumenty i lepsza od domowego, rosnącego wpodłe chat i zagród.

Inni zrozumieli to bardziej podniośle, nie dosłownie, lecz alegorycznie, wedle zwyczaju pitagorejczyków. Na przykład to, że posagu Merkurego nie godzi się czynić z jakiego bądź drzewa bez różnicy, wykładają tak, iż Boga nie powinno się uwielbiać w pospolity sposób, jeno w sposób osobliwy i określony przepisami religii. Podobnie i owo twierdzenie wykładają tak, iż ludzie mądrzy i uczeni nie powinni się parać muzyką gminną i pospolitą, jeno niebiańską, boską, anielską, bardziej nieścigłą i jakoby z dala zaczerpniętą, to znaczy z okolicy, gdzie nie słyhać piania koguta. Skoro bowiem chcemy oznaczyć jakieś ustronne i mało uczęszczane miejsce, powiadamy, iż w nim nigdy nie słyszano piejącego koguta.

LXIII. Jako niedaleko wyspy Chaneph Pantagruel się zdrzemnął i jakie problemy przedstawiono mu po przebudzeniu

Następnego dnia, wędrując naszą drogą, wśród uciesznych pogwarek przybyliśmy do wyspy Chaneph, gdzie wszelako nie

mógł przybić okręt Pantagruelowy, nie mieliśmy bowiem znikąd wiatru i była na morzu wielka cisza. Patrzyliśmy tedy po sobie, wielce zakłopotani, markotni, odudziali i zgnębieni, nie mówiąc jedni do drugich ni słowa. Pantagruel, siedząc na krzeselku wpodłe wielkiego masztu, drzemał trzymając w dłoni Heliodora po grecku. Taki był jego obyczaj, iż lepiej mu się spało z książki niż z pamięci. Epistemon patrzył na swoim astrolabie, w jakiej wysokości znajdujemy się od bieguna. Brat Jan przeniósł się do kuchni i z położenia roznów i horoskopu pieczystego rozważał, która by mogła być godzina.

Panurg, ze zwitkiem pantagruelionu przy ustach, robił w wodzie bańki i bulgotki. Gymnastes ostrzył wykalaczki z mastyku. Ponocrates odpoczywał wpółseny, laskotał się, aby się pobudzić do śmiechu, i drapał się palcem po głowie. Karpalim sporządzał z lupiny włoskiego orzecha ładny, wesóły i harmonijny młynek. Eustenes wygrywał palcami na długiej kolubrynie, jak gdyby na monokordeonie. Rizotomos sporządzał aksamitny woreczek ze skorupy żółwia Gareńskiego. Ksenomanes latał starą latarnią pętlącą kobuza. Pilot wraz z majtkami ziewali na wypródki. Na to wszystko brat Jan przyszedłszy z kajuty spostrzegł, iż Pantagruel się obudził.

Za czym przerywając tak uparte milczenie, pełnym głosem, w wielkim weselu ducha, zapytał o Sposób spędzenia czasu w porę ciszy. Panurg zawtórował mu zaraz i zapytał podobnie o Lekarstwo przeciw nudzie. Epistemon wmieszał się na trzeciego i również wesóło spytał o Sposób oddawania uryny, kiedy jeszcze człowieka nie spiera. Gymnastes, podnosząc się na równe nogi, zapytał o Lekarstwo przeciw olśnieniu oczu. Ponocrates, przetarliwszy sobie nieco czoło i strzepnąwszy uszami, spytał o Sposób przeciwko psiej drzemce.

— Zaczekajcie — rzekł Pantagruel. — Dekrety subtelnych filozofów perypatetycznych pouczają nas, iż wszelkie problemy, kwestie, wątpliwości, jakie ktoś przedkłada, winny być określone, jasne i zrozumiałe. Co rozumiesz pod „psią drzemką?“

— To jest — rzekł Ponocrates — spać na głodno i w pełnym słońcu, jako czynią psy.

Rizotomos leżał wyciągnięty na pomoście. Za czym, podniósłszy głowę i ziewając szeroko, tak iż mocą naturalnej sympatii pobudził towarzyszków do podobnego ziewnięcia, spytał o Lekarstwo przeciw wykrzywianiu gęby i ziewaniu. Ksenomanes, jak gdyby całkiem wlatarniony w sporządzanie swojej latarni, spytał o Sposób utrzymania w równowadze i balansie kabzy żołądkowej, tak iżby się nie przechylała na jedną stronę bardziej niż na drugą. Karpalim, bawiąc się swoim młynkiem, zapytał, ile poprzedzających drgań musi zajść w naturze, nim o kimś można powiedzieć, iż mu się jeść chce. Eustenes pytał natarczywie Pantagruela, czy w większym niebezpieczeństwie śmierci jest człowiek ukąszony na czczo przez węża również będącego na czczo, czy kiedy są najedzeni obaj, tak człowiek jak i wąż; także dlaczego ślina człowieka będącego na czczo jadowita jest dla wszelkich węzów i jadowitych zwierząt.

— Moi przyjaciele — odparł Pantagruel — wszystkim tym wątpliwościom i pytaniom przez was przedłożonym odpowiada jedno rozwiązanie i na wszystkie takie symptomata i przypadłości skutkuje jedno lekarstwo. Odpowiedź moją przedstawię wam rychło, bez długiego kołowania i marnowania słów; żołądek zgłodniały nie ma uszu i nic nie słyszy. Za pomocą znaków, gestów i uczynków stanie się wam zadość i otrzymacie odpowiedź po waszej myśli. Jako w Rzymie Tarkwiniusz Pyszny, ostatni król Rzymian (to mówiąc Pantagruel dotknął sznurka od dzwonka, zaś brat Jan w te pędy pognał do kuchni), za pomocą znaku odpowiedział synowi swemu Seks. Tarkwiniuszowi, bawiącemu w mieście Gabinów. Ówże syn posłał mu umyślnego posłańca, aby dowiedzieć się, w jaki sposób mógłby Gabińczyków całkowicie ujarzmić i doprowadzić do doskonałego posłuszeństwa. Król nie dość ufając wierności posłańca, nie odpowiedział mu nic, jeno zaprowadził go do ustronnej części ogrodu, i tu, w jego oczach i przytomności, mieczykiem pości-

nał rosnące tam wysokie główki maku. Gdy poseł wrócił bez odpowiedzi i opowiedział synowi zachowanie się ojca, tak jak na nie patrzył, łatwo mu było z takich znaków zrozumieć, iż radzi poucinać głowy co najnamienitszym, aby tym lepiej resztę pospolitej ludności utrzymać w służbach i doskonałym posłuszeństwie.

LXIV. Jako Pantagruel nie dał żadnej odpowiedzi na zadane problemy

Następnie zapytał Pantagruel:

— Co za ludzie zamieszkują na tej pięknej psiej wyspie?

— Nie masz tam innych — odparł Ksenomanes — jeno same obłudniki, ojczenaszki, godzinkarze, eremici i filuty. Wszystko biedni ludzie, żyjący z jałmużny podróżnych.

— Nie idę tam — rzekł Panurg — możecie być pewni. Jeśli noga moja tam postanie, niech diabeł dmucha mi marsza do zadka! Eremity, ojczenaszki, godzinkarze, obłudniki, filuty, fora stąd do kroć diabłów! Jeszcze mi stoja w pamięci nasi pulchni koncylipeci z Szezylu, bodaj ich Belzebub i Astaroth pojednali z Prozerpiną. Toć dzięki ich spotkaniu ucierpieliśmy tyle od burzy i innych sztuk diabelskich. Słuchaj, mój ty mały bandzioszku, mój kapraliku, Ksenomanie, powiedz, jeśli łaska: ci hipokryci, eremici, liżygarnki, sąli dziewiczego stanu, czy w stadłach żyjący? Czy jest między nimi także i jakowys rodzaj żeński? Czy dałoby się z nich hipokrytycznie wyciągnąć mały hipokrytyczny kąszonek?

— Dalibóg — rzekł Pantagruel — to mi ładne i ucieszne pytanie.

— Ej, owszem — odparł Ksenomanes. — Są tam piękne i rozkoszliwe hypokryciny, eremitki, pustelniczki, białogłowy wielkiej pobożności. Jest i obfitość małych hipokryciątek, eremiciątek, pustelniczek...

— Schowaj się z tym — przerwał brat Jan. — Z młodego pustelnika wylazi stary diabeł. Zannotuj sobie to autentyczne przysłowie. Inaczej, bez rozmnażania się rasy, od dawna już byłaby wyspa Chaneph opustoszała i wyludniona.

Pantagruel posłał im w szalupie przez Gymnasta swój dątek: siedemdziesiąt osiem tysięcy pięknych talarów z latarnią. Następnie spytał:

— Która godzina?

— Dziesiąta minęła — odparł Epistemon.

— Właśnie — rzekł Pantagruel — najlepsza godzina do obiadu. Nadchodzi bowiem ta święta linia, tak uczczona przez Arystofanesa w komedii jego *Prorokinie*, która przypada wówczas, gdy cień ma dziesięć stóp długości. Niegdyś u Persów godzina posiłku przepisana była jedynie królom; każdemu innemu za zegar służył własny brzuch i apetyt. W istocie, u Plautusa pewien pasorzyt uskarża się i wymyśla wściekle na wynalazców zegara i kompasu, jako iż pewną jest rzeczą, że nie ma dokładniejszego zegaru od żołądka. Diogenes, spytany, o której godzinie człowiek winien się posilać, odpowiedział: „Bogaty, kiedy ma apetyt; biedny, kiedy ma czym“. Jeszcze wyraźniej mówią lekarze, iż godzina kanoniczna jest

*Wstawać o piątej, obiadować o dziewiątej,
Wieczerać o piątej, kłaść się o dziewiątej.*

Inna była magia słynnego króla Petozirysa...

Jeszcze Pantagruel nie skończył mówić, kiedy służba ustawiła stoły i kredence, nakryła je wonnymi obrusami, talerzami, serwetami, solniczkami: przyniosła gąsiora, flasze, czarki, punchary, miski, talerze. Brat Jan, w towarzystwie kredencarzy, szafarzy, podczaszyc, giermków i paziów, wniósł cztery przeobrażliwe pasztety z szynki, tak wielkie, iż przypominały mi cztery bastiony w Turynie. Wielki Boże! jakże tam żwawo zmiatały no talerze i wysuszano gąsiora! Nie byli jeszcze przy wetach,

kiedy północno-zachodni wiatr zaczął wzdymać żagle. Za czym wszyscy odśpiewali rozmaite pieśni na chwałę najwyższego Boga w niebiesiech.

Przy owocach Pantagruel spytał:

— Rozważcie, przyjaciele, czy wątpliwości wasze nie są w pełni rozwiązane.

— Ja już nie ziewam, Bogu dzięki — rzekł Rizotomos.

— Ja już nie drzemię jak pies — rzekł Ponokrates.

— Mnie się już nie miga w oczach — odparł Gymnastes.

— Już nie jestem na czczo — rzekł Eustenes. — Na cały dzień dzisiejszy bezpieczne są od mojej śliny wszystkie jadowite zwierzęta wodne i lądowe.

LXV. Jako Pantagruel spędzał czas ze swymi domownikami

— Na jakim stopniu hierarchii — spytał brat Jan — wśród tych jadowitych zwierząt kładziecie przyszlą małżonkę Panurga?

— Cóż ty tu będziesz szkalował kobiety — odparł Panurg — ty galancie zatracony, ty mnichu z łysym zadkiem?

— Na czeluście pustego brzucha! — rzekł Epistemon. — Eurypides pisze i mówi przez usta Andromachy, iż przeciwko wszystkim jadowitym zwierzętom znaleziono, dzięki wynalazkowi ludzi a nauce boskiej, skuteczne lekarstwo. Atoli dotychczas nie znaleziono lekarstwa przeciw złej niewieście.

— Ten pyskacz Eurypides — rzekł Panurg — zawsze bezceścił kobiety. Toteż, przez zemstę bogów, poległ zjedzony przez psy, jako mu to wymawia Arystofanes. Idźmy dalej. Kto ma co mówić, niech mówi.

— Ja jestem gotów teraz oddać wodę, ile tylko kto zażąda.

— Co do mnie — rzekł Ksenomanes — naładowałem bandzioch odpowiedzialnie; teraz już nie będzie się przechylał na jedną stronę bardziej niż na drugą.

Zaś Karpalim powiedział:

*Już mi się nie chce wina ani chleba;
Na głód, pragnienie nic mi już nie trzeba.*

— Już się nie markocę — rzekł Panurg — Bogu i wam dzięki. Jestem wesół jak młoda papużka.

*Wesoły, radosny jako kobuz młody,
Jak motyl, co igra z drugimi w zawody.*

Zaiste słusznie napisano jest u waszego ulubionego Eurypidesa i powiada też Silenus, pijak znamienity, że

*Tenci ma w klepkach coś przynadpsutego,
Kto pije wraz się nie weseląc z tego.*

To pewna, iż powinniśmy bardzo wysławiać dobrego Boga, naszego Stwórcę, Zbawiciela, który za pomocą tego dobrego chlebusia, dobrego i świeżego winka, zacnych smakołyków leczy nas z wszelkich utrapień, tak dusznych jak i cielesnych; nie licząc przyjemności a rozkoszy, jaką mamy w samym picciu i jedzeniu.

Ale nie odpowiadacie wcale na pytania naszego błogosławionego, czcigodnego brata Jana, który się pytał o *Sposób spędzenia czasu?*

— Skoro — rzekł Pantagruel — zadowalacie się tym pobieżnym rozwiązaniem przedłożonych przez was wątpliwości, uczynię wam zadość. Na innym miejscu i o innym czasie pomówimy o tym szerzej, jeżeli wasza wola. Zostaje tedy roztrząśnienie pytania, które zadał brat Jan: *Sposób spędzenia czasu?* Czyśmy go należycie nie spędzili? Oto buja chora-giewka bocianiego gniazda. Oto szeleszczą żagle. Patrzcie, jak napinają się liny i postronki... Podczas gdy myśmy puszczali w kolej i wypróżniali kubki, toż i pogoda obróciła się pomyslnie, przez tajemne związki i sympatie w przyrodzie.

— Dalibóg — rzekł brat Jan wpadając w mowę; — sły-szałem od wielu czcigodnych doktorów, że Konewka, podcza-szy waszego ojca, oszczędza corocznie więcej niż osiemset bary-łek wina przez to, iż przyjezdnym i służbie daje pić, zanim uczują pragnienie.

— Jakoż — rzekł Panurg — powiada pospolite przysłowie:

*Dobre powraca, zasię złe przemija,
Podczas gdy szynkę tłustą się zapija.*

— I nie tylko — rzekł Pantagruel — pojadając i popija-jąc poprawiliśmy pogodę, ale także wielce ulżyliśmy statkowi, nie tylko w ten sposób, w jaki ulżyło się koszykowi Ezopa, to jest opróżniając go z wiktuałów, ale także wyzwalaając się z trzeźwości. Bowiem jako ciało umarłe bardziej jest ciężkie niż żywe, tak i człowiek na czczo bardziej jest przyziemny i ciężki, niż kiedy popił i pojadł. I nie powiadają byle czego ci, którzy podczas długiej drogi rankiem piją i śniadają, a po-tem mówią: „Uff! koniom lżej będzie ciągnąć“.

Nie wiecież, iż niegdyś Amyklejczycy ponad wszystkich bo-gów czcili i ubóstwiali szlachetnego boga Bakcha i nazywali go znamiennym i wymownym imieniem *Psila?* Psila w narzeczu doryckim znaczy *skrzydła*. Jako bowiem ptacy za pomocą skrzydeł wysoko i lekko latają w powietrzu, tak samo przy po-mocy Bakcha (to znaczy dobrego, smakowitego i rozkosznego winka) wysoko wznoszą się duchy ludzi, ciała ich etają się oczy-wiście lżejsze i to, co w nich ziemskie, nabywa większej gibkości.

LXVI. Jako wpodłe wyspy złodziejskiej na rozkaz Pantagruela pozdrowiono Muzy

Wśród pomyslnego wciąż wiatru i wesołych pogwarek Pan-tagruel ujrzał z dala i rozpoznał jakowyś górzysty ląd. Za-czym, ukazał go Ksenomanesowi i spytał:

— Widzisz tu przed nami, po lewej, tę wysoką skałę o dwóch grzbietach, bardzo podobną do góry Parnasu w Focydzie?

— Widzę bardzo dobrze — odparł Ksenomanes. — To wyspa złodziejska. Chcecie tam, panie, wylądować?

— Nie — odparł Pantagruel.

— Dobrze czynicie — rzekł Ksenomanes. — Nie ma niegodnego widzenia. Mieszkańcy złodzieje i opryszkowie. Wszelako tam, koło lewego wzgórka, jest najpiękniejsze źródło w świecie i dookoła wielki las. Nasi ludzie będą tam mogli zaopatrzyć się w wodę i drzewo.

— Pięknie i mądrze powiedziane — rzekł Panurg. — Ha, ha, ha! Nie lądujemy nigdy w ziemi opryszków i złodziei. Ręczę wam, że ten kraj tutaj jest zupełnie podobien wyspom Cerk i Herm między Bretanią a Anglią, które zwiedzałem niegdyś, lub też Poneropli Filipa w Tracji; to są wszystko wyspy hulajów i opryszków, rzezimieszków, morderców i złoczyńców: szczere potomstwo mieszkańców najgłębszych zakątków kryminału. Nie lądujemy tam, zaklinam. Wierście, panie, jeżeli nie mnie, to bodaj radom tego zacnego i roztropnego Ksenomanesa. Dalibóg, to ludzie gorsi jeszcze niż Kannibale. Zjedliby nas żywcem. Nie lądujemy tam, na miłosierdzie nieba. Bezpieczniej by już było lądować w Owernii. Słuchaj pan. Słyszysz, jak mi Bóg miły, jakiś straszliwy tumult, taki, jaki niedawno podnieśli Gaskończycy w Bordo przeciw poborcóm i komisarzóm. Tak, nie mylę się; chyba że mi w uszach dzwoni. Zmykajmy stąd! Hej tam, zwawiej!

— Wylądujemy — rzekł brat Jan — wylądujemy. Jedźmy, jedźmy do brzegu, nuże. Oszczędzimy zapłaty za nocleg. Jedźmy. Wygarbujemy im skórę jak należy. Lądujemy.

— Bierzże cię czort — rzekł Panurg. — Ten mnich diabelski, ten wściekły diabeł omniszony niczego się nie boi. Ryzykant jest jak wszyscy diabli i nie troszczy się wcale o innych. Myśli sobie, że świat się składa z mnichów jak on.

— Idźże, wszarzu zielony — rzekł brat Jan — do wszystkich milionów diabłów i oby ci zanatomizowali twoją mózgowicę i porobili z niej klepki do beczek. Ten wariat diabelski jest taki tchórz i niepotem, że posrywa się jeno co chwila z piekielnego strachu. Jeśli cię tchórz taki oblatuje, nie wysiadaj, zostań tu przy prowiancie. Albo idź się ukryj pod kieckę Prozerpiny, do wszystkich milionów diabłów.

Na te słowa Panurg wymknął się z kompanii i wsunął się w najostatniejszy zasięg między skórki, ośródkie i okruszyny chleba.

— Czuję — rzekł Pantagruel — w duszy jakiś nagły skurecz, jak gdybym z dala słyszał głos mówiący mi, iż nie powinniśmy lądować. Skoro tylko i ilekroć razy uczulem w duchu taki głos, zawsze dobrze wyszedłem na tym, zrzekając się i niechając rzeczy, którą mi odradzał: a przeciwnie, chwaliłem sobie, ilekroć poszedłem w stronę, w którą mnie popychał, i nigdy nie przyszło mi tego żałować.

— To coś — rzekł Epistemon — jakoby demon Sokratesa, tak wsławiony między akademikami.

— Słuchajcież no — rzekł brat Jan — podczas gdy załoga zaopatruje się w wodę, Panurg tam pod pokładem zaszył się jak wilk w słomę. Chcecie się uśmiać? Każcie dać ognia z tej tu bazyliki, która obrócona jest na skały. W ten sposób pozdrowimy muzy na górze Antyparnasu. Proch się w niej i tak marnuje.

— Dobra myśl — odparł Pantagruel. — Każcie sprowadzić fajermistrza.

Fajermistrz przybył niebawem. Pantagruel kazał dać ognia z bazyliki i naładować ją, od wszelkiego wypadku, świeżym prochem. Co też bezzwłocznie wykonano. Fajermistrze innych okrętów, wiosłowców, żaglowców i galionów, usłyszawszy wystrzał z okrętu Pantagruela, dali podobnież ognia, każdy z największego działa, jakie tylko posiadał. Możecie sobie wyobrazić, że pukanina była sroga.

*LXVII. Jako Panurg pofajdał się z piekielnego strachu
i na wielkiego kota Sadłożreja myślał, że to diabeł*

Na ten huk Panurg, jak zwariowany kozieł, wypadł w koszu ze swej kryjówki, z jedną tylko nogą odzianą w płudry, z brodą całą oprószoną okruszynami chleba; w garści zaś trzymał potężnego kota czepiającego się silnie drugiej nogawicy. I ruszając wargami jak małpa, która szuka wszy na głowie, trzęsąc się i dzwoniąc zębami, biegał prosto ku bratu Janowi siedzącemu w kuczki wpodłe steru i żarliwie prosił go, aby ulitował się nad nim i wziął go pod ochronę swego kordelasa. Zarazem przysięgał i zaklinał się na swe posiadłości w Papimani, iż w tej chwili widział wszystkich diabłów hasających po okręcie.

— Patrz, przyjacielu — mówił — mój bracie, mój ojciec duchowny, wszyscy diabli zmówili się tu dziś na wesele. Jeszcze w życiu nie widział takich przygotowań do piekielnego bankietu. Widzisz ten dym z kuchen piekielnych? (To mówiąc pokazywał dym z armat, wznoszący się ponad okręty). W życiu nie widział tylu dusz potępionych. I wiesz ty co? Patrz, mój przyjacielu, takie są słodkie, takie przylepeczki, takie gładyszki; powiedziałbyś, doprawdy, że to jakaś ambrozja styksowa. Myślałem (niech mi Bóg odpuści), że to są dusze angielskie. I rozumiem, że tego rana musieli panowie Ternes i Dessay spustoszyć i w pień wyciąć Wyspę Końską kole Szkocji, wraz z wszystkimi Anglikami, którzy niegdyś zdobyli ją podstępem.

Brat Jan zbliżywszy się uczuł jakowyś zapach, całkiem odmienny niż woń armatniego prochu. Za czym wyciągnął Panurga na środek i spostrzegł, że koszulę ma całkiem ofajdaną i świeżo ubabraną lajnem. Jako iż siła kurczliwa nerwu zaciskającego mięsień nazwany *sphincter* (to jest dziurę w zadku) rozluźniła się wskutek gwałtownej trwogi, jaką powziął ze swoich fantastycznych wizji, zważywszy, iż odgłos takiej kanonady straszliwszy jest jeszcze słyszany w dolnych kajutach niż na pokła-

dzie. Jest to bowiem jeden z objawów i przypadłości strachu, iż otwiera się zazwyczaj od niego zasuwka owego eeraju, w którym czasowo przechowuje się materia kałowa.

Jako przykład może służyć messer Pandolf z Kassyny, sienieńczyk, który przejeżdżając pocztą przez Szambery i zajechawszy do roztropnego oberżysty Wineta, wziął widły z obory i rzekł doń: *Da Roma in qua io non son andato del corpo. Di gratia, piglia in mano questa forcha, et fa mi paura.* Winet ujął widły i począł nimi wywijać, jakoby udając, iż zamierza go uderzyć. Ale sienieńczyk rzekł mu: *Se tu non fai altramente, tu non fai nulla. Pero sforzati di adoperarli piu gunliardamente.* Za czym Winet zadał mu widłami cios tak potężny między kark i szyję, iż powalił go na ziemię z zadartymi nogami. Następnie, krztusząc się i śmiejąc na całe gardło, rzekł mu: „Tam do kroćset diabłów! to się nazywa *Datum Camberiaci*“. I ledwie zdążył sienieńczyk spuścić płudry, w jednej chwili bowiem sfajdał się bardziej obficie, niżby to sprawiło dzieśięć bawołów i czternastu Ostiackich pralatów. Za czym ów sienieńczyk podziękował uprzejmie Winetowi i rzekł mu: *Io ti ringratio, bel messere. Così facendo tu m'hai esparmiata la speza d'un servitiale.*

Drugim przykładem jest król angielski Edward Piąty. Mistrz Franciszek Wilon, wygnany z Francji, szukał u niego schronienia. Król przyjął go tak poufale, iż nic mu nie ukrywał z najdrobniejszych spraw swego domu. Jednego dnia ów król załatwiając swoje potrzeby pokazał Wilonowi herby Francji wymalowane na ścianie i rzekł: „Widzisz w jakiej rewerencji mam twoich królów francuskich. Nie gdzie indziej chowam ich godła, jeno w tym ustępie, koło mego stolca“. — „Tam do kroćset! — odparł Wilon. — Bardzo Wasza Królewska Mość jest przezorna, roztropna, uważna i baczna na swoje zdrowie i bardzo dobrze obsłużona od swego uczonego lekarza, imię Tomasz Linacera! Ów widząc, iż W. K. M. z natury, na stare lata, cierpisz na zatwardzenie żołądka i że codziennie trzeba Jej do

zadka pchać aptekarza, chcę powiedzieć lewatywę, gdyż inaczej nie łatwo wam jest sobie ulżyć, kazał z wielką bystrością umysłu, w osobliwej a znacznej przezorności, tutaj a nie gdzie indziej wymalować owe godła Francji.. Bowiem od samego pozierania na nie dostajesz W. K. M. takiego pietra i strachu tak przeraźliwego, iż wraz fajdasz pod siebie jak osiemnaście berneńskich bawolów. Gdyby były wymalowane w innym miejscu waszego domu, w komnacie, sali, kaplicy, galerii albo gdzie indziej, do kroćset bomb! fajdalbyś Wasza Królewska Mość, gdziebyś stał, natychmiast, skorobyś je tylko ujrzał. I mniemam, że gdybyś W. K. M. miał jeszcze tu wymalowaną wielką oryflamę Francji, na jej widok wypuściłbyś W. K. M. zadkiem wszystkie flaki z brzucha, do samej podszewki. I hem, hem, *atque iterum hem!*

*Na toż hodował mnie Paryż-matka
I strzegli święci anieli,
Abym dziś ciężar swojego zadka
Na własnej ważył gardzieli?*

Tedy ja, powiadam, obwieś spod ciemnej gwiazdy, nie znający świata, nie świadom obyczajów, przybywszy tu z W. K. M. dziwiłem się, że w Waszym kabinecie dałeś W. K. M. rozpiąć sobie pludry. Daję słowo, myślałem, że tam za tapetą albo we framudze łóżka znajduje się twój stolec. Inaczej bardzo by mi się zdało osobliwe rozpinać się w pokoju, aby tak daleko prowadzić się na wychód. Czy to nie była prawdziwie głupia myśl? W tym tkwiła całkiem inna tajemnica, dalibóg! Dobrześ W. K. M. uczynił czyniąc w ten sposób. Powiadam: tak dobrze, że lepiej byś nie mógł uczynić. Każ się W. K. M. zawsze wcześniej, z daleka, zawczasu rozpinać. Gdybyś bowiem W. K. M. wszedł nie będąc rozpięty i ujrzał te tu godła (zważ to W. K. M. dobrze), dno waszych pludrów spełniłoby czynności wychodu, basenu i krzesła stolcowego“.

Brat Jan, zatykając nos lewą ręką, wskazującym palcem prawej pokazywał Pantagruełowi koszulę Panurga. Pantagrueł wi-

dząc go tak wzruszonym, przerażonym, drżącym, nieprzytomnym, ofajdanym i podrapanym pazurami słynnego kota Sadlożreja, nie mógł się wstrzymać od śmiechu i rzekł:

— Co ty wyprawiasz z tym kotem?

— Z kotem? — odparł Panurg — niech mnie lichy porwie, jeśli nie myślał, że to jest mały, ledwie wypieczony diabelek, którego udało mi się przyłapać ukradkiem. Do diabła z tym diablem! Rozorał mi skórę na kształt raczej brody. — To mówiąc prasnął kotem o ziemię.

— Idźże — rzekł Pantagrueł — idźże, na Boga, obmyć się, oczyścić, ochłonać, wziąć czystą koszulę i przebrać się.

— Myślicie — rzekł Panurg — że ja się bałem? Ani podobieństwa. Mam, dalibóg, więcej odwagi, niż gdybym tyle much połknął, ile się ich zarobi w pasztecie w całym Paryżu od świętego Jana aż do Wszystkich Świętych. Ha, ha, ha!

— Hej! cóż to takiego, u diabła? Wy to nazywacie łajnem, gównem, nawozem, bobkiem, gnojem, bździnami? A ja twierdzę, że to jest szafran hibernijski. Ho, ho, hi, hi. To szafran hibernijski. Hej, ha! Pijmy.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

PRZYPISY

Str. 7, w. 3. Poseł, który imieniem wdzięcznych czytelników wręczył Rabelais'emu, świeżo upieczonemu proboszczowi z Meudon, flaszkę w formie brewiarza. Tego rodzaju flaszki były wówczas bardzo rozpowszechnione.

Str. 7, w. 26. Wyrażenie francuskie: *croquer pie*. Całe to opowiadanie, mało zresztą zajmujące, wspiera się na tym kalamburze, obcym polskiemu językowi.

Str. 8, w. 5. Istotnie francuscy kronikarze opowiadają o takiej walnej bitwie srok i szpaków, stoczonej na kilka dni przed bitwą w r. 1488.

Str. 13, w. 8. Amficyrtyczny: o dwóch rogach.

Str. 14, w. 1. Głośna hetera.

Str. 14, w. 4. Starszy brat wodza hugonotów, admirała Coligny, kardynał Odet de Chatillon był wielkim admirałem i przyjacielem pisarza. Sam sprzyjał potajemnie nauce Kalwina; na schyłku życia złożył purpurę i poślubił Izabelę de Hauteville.

Str. 14, w. 20. Soranus, aleksandryjski lekarz za Tracjana. Orybazjusz, lekarz przyboczny Juliusza Apostaty. Hali Abbas, perski lekarz w 10 wieku.

Str. 15, w. 20. Cały ten ustęp jest niemal dosłownym powtórzeniem ustępu pierwotnej przedmowy.

Str. 16, w. 10. Scena w farsie *Avocat Patelin*.

Str. 17, w. 16. Anagnosta, w starożytności niewolnik, którego zadaniem było czytać głośno podczas uczy. Tutaj wskazany jest pod tym mianem Petrus Castellanus, biskup orleański, przyjaciel Rabelais'go.

Str. 17, w. 21. Rabelais ma tu na myśli ową grę słów *âne* zamiast *dne*, kilkakrotnie powtarzającą się w III księdze. Przypierany przez wrogów, Rabelais złożył ten koncept na niedbalstwo drukarzy.

Str. 19, w. 29. Umarł w r. 201 po Chr., jako starzec siedemdziesięcioletni.

Str. 21, w. 2. Przysłowie prawnicze: *le mort saisit le vif*, tj., że umarli, samym faktem śmierci, wiedzie spadkobiercę do dziedzictwa.

Str. 21, w. 34. Przysł. franc. „*jeter la manche après la coignée*“.

Str. 22, w. 13. Niektórzy historycy wywodzili Francuzów od Trojan. Pades, uczony mnich grecki w XIV w. w Konstantynopolu.

Str. 22, w. 16. Wioska w rodzinnych stronach Rabelais'go.

Str. 23, w. 9. Aluzja do zdobycia przez Moskali na Tatarach miasta Kazania (1550). Cały ten ustęp zawiera aluzje do współczesnych wypadków politycznych.

Str. 23, w. 15. Krwawe powstanie w Gaskonii (w r. 1548). Wsiom, które wzięły udział w rozruchach, zabrano dzwony z kościołów i dopiero r. 1550 pozwolono je zawiesić na nowo.

Str. 23, w. 20. Dwaj humaniści, współcześni i znajomi Rabelais'go. Pierwszy, Piotr Ramée (1515—72) nauczyciel filozofii, antyarystotelik; drugi Piotr Galland († 1559) rektor Kolegium w Boncourt.

Str. 23, w. 31. Bóg czynności rozrodczych, którego Rabelais przedstawia w postaci członka męskiego.

Str. 23, w. 33. *Mentula*, użyte w znaczeniu członka męskiego.

Str. 25, w. 22. Księża, papieża.

Str. 25, w. 27. Prawdopodobnie Rzym.

Str. 25, w. 30. Od dźwięków dzwonów *dyn-dyn*.

Str. 26, w. 28. *Coignée*, siekiera, i jako rzeczownik, i jako czasownik *coigner*, służy w języku francuskim do sprośnych dwuznaczników. Po polsku oczywiście ostrze tej gry słów tępieje.

Str. 27, w. 6. Święta Marsa i Wulkana, 23 marca i 23 maja.

Str. 27, w. 28. Nazwiska te, z których część jest dziś nieznana, oznaczają przeważnie wybitnych muzyków ze szkoły niderlandzkiej, słynnej w owym czasie.

Str. 29, w. 10. Marcin z Cambray, skazany na szubienicę za zgwałcenie, został wedle legendy ułaskawiony przez wzgląd, iż po powieszeniu spostrzeżono u niego ślady erekcji.

Str. 32, w. 14. „Zdrowia i zysku“, pozdrowienie wówczas powszechne we Włoszech.

Str. 32, w. 15. Tomasz Guadaigne, bogaty kupiec paryski, pożyczył królowi Franciszkowi I po bitwie pod Pawią 50 tys. talarów.

Str. 32, w. 21. *Bakbuk* = po hebrajsku butelka; znak używany jako symbol prawdy.

Str. 32, w. 22. Dnia 9 czerwca.

Str. 32, w. 24. Triumwir, który z Pompejuszem i Cezarem dzielił jakiś czas władztwo świata.

Str. 34, w. 17. Psalm 114.

Str. 35, w. 23. Prawdopodobnie w oryg. błąd drukarski zamiast: Suewów.

Str. 35, w. 26. = Wyspa *Nigdzie*.

Str. 36, w. 1. *Cabo di Nada* = przykład Nic, jak ochrzczili Kanadę Hiszpanie, którzy odkryli ją zrazu i nie tam nie znaleźli. W całej księdze IV i V spotykamy ciągle aluzje do współczesnego rozkwitu pod różniczego i odkrywczego.

Str. 36, w. 3—5. Filofanes = zwodny przyjaciel; Filoteamon = ciekawy oglądać; Engys = sąsiednie.

Str. 36, w. 17. Franciszek I, albo Henryk II.

Str. 37, w. 10. Prawdopodobnie renifer.

Str. 37, w. 12. Lykaon, gatunek wilka.

Str. 38, w. 7. Przysłowie francuskie „osieł z Meung“, od osiadłych tam „szarych braci“ franciszkanów.

Str. 38, w. 15. Chelidon = jaskółka.

Str. 38, w. 17. Latająca ryba.

Str. 44, w. 17. Aluzja do soboru lateraneńskiego albo do zbierającego się wówczas soboru trydenckiego.

Str. 44, w. 22. Być może Francja; *gebarim* = kraj kogutów; *Ohabe* = hebr. luby, kochający.

Str. 45, w. 9. Sprośna aluzja, której sens łatwo odgadnąć.

Str. 46, w. 25. Złote runo, ustanowione przez Filipa Burgundzkiego w r. 1429.

Str. 48, w. 32. Róża, przeciwko której ten święty był patronem.

Str. 50, w. 30. Cancale, miasteczko w Bretanii sławne z potowu ostryg i ze smakoszostwa mieszkańców.

Str. 52, w. 13. Załoga z hrabstwa Gruyère, w bitwie w r. 1544 z wojskami cesarza.

Str. 52, w. 25. Psalm 94, 1.

Str. 52, w. 27. Wedle komentatorów, kraina duchownej i moralnej płaskości.

Str. 52, w. 28. Pokrewieństwa te polegają przeważnie na niewybrednych kalamburach. Dowcip ich i w oryginale nader skąpy, w przekładzie tym bardziej wietrzeje.

Str. 56, w. 5—6. Znaczenie *Szeli* i *Panigona* jest ciemne.

Str. 57, w. 20. La Guerche, małe miasteczko w Turenii.

Str. 58, w. 10. „Błogosławieni, którzy nie splamią się w drodze“, Psalm 119.

Str. 59, w. 6. Wówczas najbogatszy człowiek we Florencji.

Str. 60, w. 7. Villandry, ulubieniec i sekretarz Franciszka I i Henryka II.

Str. 60, w. 23. „Pozwańcy“ (w oryg. *Chicanous*), czyli woźni, często obrywali przy swej drażliwej czynności, a nawiązka za ból była ich głównym dochodem.

Str. 60, w. 32. Mieszkańcy Rzymu.

Str. 61, w. 6. Dwuznacznik o sprośnym znaczeniu.

Str. 61, w. 25. W oryg. *p. de Basché*. Opowiadanie to, tryskające werwą i humorem, stanowi ciekawy przyczynek do ówczesnych stosunków prawnych.

Str. 61, w. 28. W r. 1510.

Str. 62, w. 18. Starofrancuski obyczaj weselny.

Str. 64, w. 15. W Poitou.

Str. 71, w. 5. W istocie woźni trybunału nosili ten tytuł, ponieważ pozywali w imieniu króla.

Str. 71, w. 16. Dialog Lukiana: *Symposion* czyli *Lapitowie*.

Str. 74, w. 10. Znaczenie tej aluzji ciemne.

Str. 74, w. 15 i 16. „Pusta“ i „niezamieszkała“, hebrajskie słowa w I rozdziale *Genesis*.

Str. 76, w. 3. Babtysta Fulgozjusz, doża wenecki (1478—1483), napisał książkę o niezwykłych wypadkach śmierci.

Str. 77, w. 9. *Belima*, hebr. „nic“.

Str. 77, w. 11. *Teneliabin*, *Geneliabin*. Arabskie słowa, z których pierwsze oznacza płynną maśnię, drugie miód różany: substancje wchodzące często w skład lewatyw.

Str. 77, w. 13. Aluzja do udanej kapitulacji, z pomocą której Karol IV po bitwie pod Mühlberg (1547), dostał w ręce landgrafa heskiego.

Str. 77, w. 17. Jakobini = Dominikanie.

Str. 77, w. 20. *Szezyl*, po hebr. nazwa gwiazdy Orion. Gwiazda ta uchodziła u starożytnych za wznecającą burzę.

Str. 80. Rozdz. XIX. Charakter Panurga, ogólnie zarysowany w I księdze Pantagruela, wzbogaca się w dalszych coraz nowymi rysami, kontrastowo wydobytymi zeń przez sąsiedztwo brata Jana. Tu występuje w nim w całej pełni tchórzostwo i zabobonność przy zupełnym braku wiary i moralności, tak jak znów w bracie Janie widzimy spokojną i niezłomną wiarę przy wzgardzie dla zewnętrznych jej płaszczyków.

Str. 86, w. 21. Początek I Psalmu: „Błogosławiony, który nie błądzi...“

Str. 86, w. 23. „Straszliwa burza wydeła stromą górę“.

Str. 88, w. 1. Przydomek Kastora.

Str. 90, w. 13. List do Koryntian I, 3, 9.

Str. 91, w. 7. „*Les quinze joyes du Mariage*“, tytuł książeczki przypisywanej Antoniemu de la Salle, której pierwsze wydanie ukazało się w r. 1480, w Lyonie.

Str. 91, w. 9. Wilhelm Drugi angielski (1060—1100).

Str. 93, w. 10. „Skoro minie niebezpieczeństwo, drwi się ze świętego“.

Str. 93, w. 12. Makreoni = długowieczni.

Str. 94, w. 15. Makarela = rajfurka.

Str. 94, w. 31. Maumusson, cieśnina koło ujścia Żyromy; Wir Satalijski (dawna Attalia) naprzeciw Cypru; Montargentan, zatoka toskańska; *Piombino* tamże; Capo Melio, staroż. *Malleum promontorium* w Peloponezie.

Str. 95, w. 5. Morze Egejskie, też nazwane Karpackim od wyspy Karpatos.

Str. 96, w. 9. Drepanum.

Str. 96, w. 13. *Phytirius* = wesz.

Str. 98, w. 16. Wilhelm du Bellay, pan de Langey, brat kardynała, protektor i przyjaciel Rabelais'go i sam mu wielce przyjazny (patrz: Od tłumacza).

Str. 99, w. 7. Rzymski powieściopisarz z V stulecia.

Str. 99, w. 7. Hamadriady, nimfy drzewne.

Str. 99, w. 30. Rodak i nauczyciel Plutarcha.

Str. 100, w. 4. *Thamons*, syryjskie imię Adonisa, którego śmierć opłakiwali co rok jego czciciele, wymawiając po trzykroć jego imię i dodając: wielki bóg umarł. To słynne opowiadanie, powtórzone przez Pantagruela, znajduje się w Plutarchu.

Str. 101, w. 22. Rabelais ma na myśli znienawidzonych świętoszków, obłudników.

Str. 102, w. 8. Ichtiograf = rybożerca.

Str. 102, w. 12. Podczas postu wzbronione jest odprawianie wesel.

Str. 103. Rozdz. XXX i nast. Cała ta rozwlekła i dość mdła satyra wymierzona jest przeciw ascetycznym pozorom, kryjącym często pod swym płaszczem wyuzdanie i obżarstwo, i w ogóle przeciw wypaczaniu natury, jak to jaśniej się tłumaczy w dalszym ciągu z przypowieści o Physis i Antyphysis. Kwestia postów była za czasu Rabelais'go tematem wielce aktualnym i rozpalającym umysły. Wydaje się zbytecznym rozwodzić się w komentarzach nad szczegółami tych litanii, które zapewne czytelnik z czystym sumieniem tylko przekartkuje pobieżnie.

Str. 111, w. 1. Wieloryb.

Str. 112, w. 21. Jerzy, książę Klarencji, utopiony na rozkaz Edwarda IV w r. 1478.

Str. 115. Rodz. XXXV. Ten i następne rozdziały są aluzją do współczesnych sporów religijnych. Nie należą one z pewnością do najcenniejszych w dziele Rabelais'go.

Str. 116, w. 26. Sobór trydencki.

Str. 120, w. 7. Dialog, poświęcony całemu znaczeniu imion.

Str. 123, w. 3. Członek męski.

Str. 125, w. 18. Rodzaj maszyny wojennej, używanej przed wynalezieniem prochu.

Str. 127, w. 1. W języku francuskim przysłowiowe wyrażenie na określenie czegoś niemożliwego.

Str. 128, w. 20. Flaming.

Str. 128, w. 24. Popularna postać legendy.

Str. 129, w. 3. *Niphleseth* oznacza w jęz. hebrajskim członek rodny.

Str. 129, w. 23. We Francji jadano kiełbasę tylko przez 6 miesięcy w roku.

Str. 130, w. 5. Wówczas przedmiot w handlu bardzo poszukiwany.

Str. 130, w. 19. Po hebrajsku: *wiatr*. Sens tego błahego rozdziału jest dość ciemny. Wedle komentatorów ma Rabelais na myśli licznych fabrykantów wachlarzy, których użycie było nader rozpowszechnione.

Str. 131, w. 5. Star. *Circius*.

Str. 131, w. 6. Skurron, profesor i kanclerz uniwersytetu w Montpelier za czasu Rabelais'go.

Str. 131, w. 21. „O wzdęciach“.

Str. 131, w. 29. Wedle wierzenia ludu żyją wiatrem.

Str. 132, w. 15. Hypenemian: „podwietrzny“.

Str. 134, w. 5. „Papfigowie“, wedle jednych komentatorów protestanci, wedle drugich wprost Niemcy.

Str. 134, w. 23. *Thacor* po hebr. kieszka stołowa.

Str. 135, w. 7. „Oto figa“.

Str. 135, w. 2. Aluzja do klątw papieskich.

Str. 135, w. 32. *Gréler sur le persil*, przysł. francuskie na oznaczenie srożenia się wobec słabych.

Str. 138, w. 18. Szczegół ten jest ze strony Rabelais'go zuchwałstwem, czytanie bowiem Biblii, które przedstawia jako ratunek ze szponów diabła, było równoznaczne z protestantyzmem.

Str. 140. Rozdz. XLVIII. Ten i następne rozdziały kierują ostrze satyry przeciw Kościołowi Rzymskiemu i to z niełatwą śmiałością.

Str. 141, w. 1. Cztery stany: kler, szlachta, stan urzędniczy i chłopski.

Str. 141, w. 31. Może aluzja do kardynała Lotaryńskiego, który bywał w misjach politycznych u trzech papieży (Klemensa VII, Pawła III i Juliusza III), bez wielkiego skutku.

Str. 143, w. 11. *Ekstrawaganty* były to rozporządzenia Jana XXII (1340).

Str. 144, w. 23. „Znaj siebie samego“.

Str. 147, w. 6. Surowe, barbarzyńskie.

Str. 147, w. 13. Hebrajskie i greckie określenie zgangrenowanych członków.

Str. 147, w. 32. Aluzja do Juliusza II.

Str. 148, w. 31. *Cochons du bon Dieu*, szyderczy epitet dawany kanonikom.

Str. 149, w. 2. Gra słów oparta na słowie *farce*: po franc. mogącym za równo znaczyć *farsz* jak *blażeństwo*.

Str. 149, w. 29. *Sextus decretalium liber*, trzecia część księgi prawa kanonicznego.

Str. 149, w. 31. *Clementinae constitutiones*, czwarta część tegoż prawa.

Str. 154, w. 29. Gra słów na słowie *dekretalia* (*alae*, skrzydła).

Str. 155, w. 5 i nast. Początkowe słowa często cytowanych ustępów.

Str. 158, w. 3. Nadliczbowe dobre uczynki.

Str. 158, w. 10. Jak jest obyczajem pobożnych w braku krzyża.

Str. 158, w. 11. *Poire de bon chrétien*, nazwa gatunku gruszek we Francji.

Str. 158, w. 17. Z winnicy, którą papież Klemens V (1304—1314), będący rodem z Bordeaux, założył opodal, w Bessac.

Str. 159, w. 22 „Jeśli nie chcesz dać, pożycz przynajmniej, prosimy“.

Str. 160, w. 6. Baśń ta o odtajanych wyrazach sięga odległej starożytności. Między innymi znajdujemy ją u Plutarcha *De profect. virt. sent.* i w *Cortigiano* Baltazara Castiglione.

Str. 162, w. 20. Bajeczne ludy.

Str. 164, w. 12. Gaster = brzuch.

Str. 165, w. 21. Egipski symbol słońca, w przesileniu zimowym. Kreślono je z palcem na ustach, przyroda bowiem w zimie milczy.

Str. 166, w. 6. Spory te o pierwszeństwo miejsca między posłami znane są z historii soboru; jak również obecność w mieście 75 pasztetników, 250 piekarzy papieża i kardynałów etc.

Str. 167, w. 8. Engastrimyci = brzuchomówcy; Gastrolatry = czciciele brzucha.

Str. 167, w. 13. Ateński brzuchomówca-wróżbita.

Str. 175, w. 8. Nadworny budowniczy Henryka II, jeden z największych architektów Francji, twórca planu Tuilerii.

Str. 175, w. 16. Bajeczny lud indyjski.

Str. 171, w. 13. Rabelais podrwiwa sobie z mnóstwa niedorzecznych przesądów, które za jego czasu znajdowały powszechną wiarę.

Str. 178, w. 30. *Chaneph*, hebr. = wyspa obludy.

Str. 179, w. 24. W oryg. *Hausser le temps*, co oznacza zarówno wyjaśniającą się pogodę, jak również w przenośni tęgie pijaństwo. Cały ten dialog, najeżony błahymi kalamburami, już w oryginale niezbyt zajmujący, w przekładzie staje się tym bardziej mało zrozumiały.

Str. 181, w. 21. Staroegipski matematyk.

Str. 186, w. 15. „Miasto złodziejów“, miejsce deportacji za Filipa Macedońskiego.

Str. 188, w. 24. Za Henryka II, w r. 1548.

Str. 189, w. 7. „Od Rzymu aż dotąd nie byłem ze stolicem. Proszę cię, weź do garści te widły i nastrasz mnie“

Str. 189, w. 10. „Jeżeli nie weźmiesz się do tego inaczej, nic nie wskórasz. Dlatego wyteż się, aby się zabrać ostrzej do rzeczy“.

Str. 189, w. 15. „Dan w Chamberi“; parodia terminu edyktów królewskich.

Str. 189, w. 19. „Dziękuję wam, zacny panie. Tak czyniąc oszczędziłem mi wydatku na lewatywę“.

Str. 189, w. 33. Lekarz nadworny Henryka VII i VIII.

Str. 190, w. 15. Wolny przekład wiersza, który wedle legendy poeta Villon miał zaimprovizować, gdy go powiadomiono o wyroku śmierci na szubienicy.



27709

Magazyn 3

Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



001036459